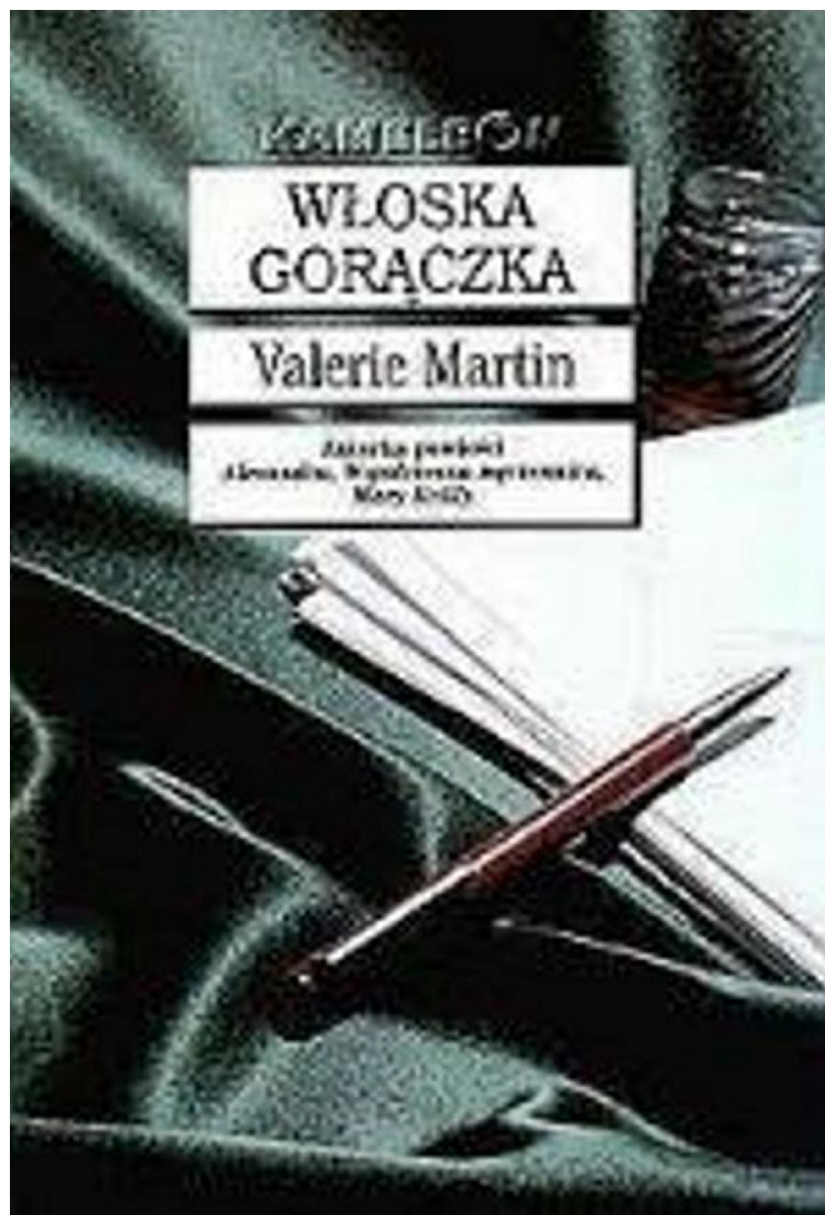


WYBIEG 11

WŁOSKA GORACZKA

Valerie Martin

Złota powieść
Akademii Włoskiej w Rzymie,
Maj 1992



Valerie Martin

WŁOSKA
GORĄCZKA

Tłumaczyła Katarzyna Krawczyk



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału
ITALIAN FEVER

Copyright © 1999 by Valerie Martin
All rights reserved

Copyright © 2001 for the Polish translation by Zysk i Ska Wydawnictwo s.c,
Poznań

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki
Lucyna Talejko- Kwiatkowska

Fotografia na okładce
Piotr Chojnacki

Redaktor serii
Tadeusz Zysk

Redakcja
Marzena Demska

Wydanie I

ISBN 83-7150-953-7

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, ul. Zgoda 54, 60-122 Poznań
tel. (0-61) 864 14 03, 864 14 04
e-mail: sklep@zysk.com.pl
nasza strona: www.zysk.com.pl
DRUKARNIA OS: Kraków, tel (012) 63 65 902

„Pozwól jej jechać do Włoch!” – zawołał.
„Pozwól jej wtrącać się w sprawy, których nie rozumie!”

E.M. Forster, *Tam, gdzie anioły boją się chodzić*

*Dla Antonelli Centaro i Sergia Perroniego,
wielkodusznych włoskich przyjaciół, którzy
nie przypominają nikogo z tej książki*

PROLOG

DV siedział przy biurku i przecierał zmęczone, piekące oczy. Między jego łokciami leżała kartka papieru, na niej – zamknięte pióro. Niespodziewanie w szklance zatrzęszczała pływająca w bourbonie kostka lodu. Chłodne nocne powietrze wpływające przez okno poruszyło kartkę, która podniosła się i opadła. DV zaklął, wymówił kobiecie imię, zaniechał przecierania oczu i oparł podbródek na dłoni, ze zmęczeniem wpatrując się w ciemnogrnatowe niebo.

Kiedyś przychodziło mu to łatwo. Teraz noc w noc siedział przy swoich niegdysiejszych sprzymierzeńcach – kartkach papieru i bourbonie, czekając, aż zjawią się słowa – ale nic nie nadchodziło. Z obowiązku wziął szklankę i napił się. Nie poczuł smaku alkoholu, tylko jego moc, delikatne zmiany w świadomości, złagodzenie odruchów, stłumienie bólu. Wciąż trzymał szklankę przy ustach, kiedy usłyszał z zewnątrz wyraźny i znajomy odgłos skrzypiącego pod nogami żwiru. Dwa kroki, przerwa, znów krok.

Był już na nogach, na schodach, szybko, choć niepewnie przebiegł przez salon do drzwi wejściowych, które bez trudu otworzył, gdyż nie zamknięto ich na klucz. Mężczyzna stał na końcu podjazdu, spoglądając w kierunku domu. Miał na ramieniu strzelbę, ale w jego rozluźnionej postaci nic nie przypominało żołnierza. DV postąpił kilka kroków do przodu, poza oceniający drzwi żywopłot. Chciał, żeby go dostrzeżono.

– Zaczekaj – powiedział. Głos go zawiódł. Oczywiście angielskie słowo okazało się bezużyteczne. Poszukał w pamięci włoskiego, odpowiednika. – *Aspetta!* – dodał.

Jednak człowiek odwrócił się i zaczął się oddalać, schodząc zбочem w dół w kierunku gaju oliwnego. Za chwilę zniknie mu z oczu.

– Nie tym razem, kolego – powiedział DV, rzucając się za nim. Mimo ciemności i unoszącej się z wilgotnej ziemi mgły widział, jak

jego zdobycz się oddala. Zawołał znów: – *Aspetta!* – i pobiegł tak szybko, jak tylko mógł. Zbyt dużo wypił. Idąc, czuł otępiający efekt działania alkoholu. Coraz bardziej możliwe stawało się to, że przegra walkę z prawem ciężenia. Mężczyzna zatrzymał się, spojrzął za siebie, po czym ruszył dalej w dół, pomiędzy srebrzystymi drzewami.

– Chce, żebym go gonił – mruknął DV, potknął się o korzeń i przytrzymał gałęzi, odzyskując równowagę. Grunt był coraz bardziej równy. Zatoczyli szerokie półkole, gdyż tuż przed nimi zamajaczył długi, niski mur osłaniający dom. Mężczyzna pobiegł wzdłuż muru, po czym nagle skręcił w stronę drogi. Teraz DV wiedział, gdzie się znajdują; widział światła okien domu swego gospodarza. W dali przed sobą miał bramę, strzegącą wjazdu do domu Cinich, w którym zapewne siedzieli nawet teraz, bez wątpienia spiskując przeciw niemu. Kiedy przebiegał obok bramy, zerknął przez żelazny ornament, jednak za nim panowała ciemność. Wysadzona cyprysami ścieżka skręcała w bok i ginęła we mgle, jak we śnie lub w filmie, jednocześnie pociągająca i złowieszcza. Człowiek ze strzelbą przeszedł przez drogę i wszedł na zaorane pole. DV podązał za nim, przypominając sobie, że znalazł się tu w konkretnym celu. Jego myśli krążyły jednak wokół wnuka Cinich, jego zmęczonego światem uśmiechu, kiedy otwierał zapalniczkę, jego usłużnego „proszę pozwolić”, śliskiego, poufałego pochylania głowy nad jej ramieniem, gdy podawał jej ogień. „Nie – pomyślał DV, kiedy jego buty ugrzęzły w miękkiej ziemi pola – w Ameryce nie ma nic podobnego do rodziny Cinich. Dzięki Bogu”.

Trudno było poruszać się po polu. By nie utknąć w błocie, biegł truchtem, wysoko podnosząc nogi, co okazało się równie skuteczne, jak męczące. Po drugiej stronie majaczyła niska furtka; DV widział, jak mężczyzna opiera o nią strzelbę, a potem schylony przeciska się pomiędzy skrzyżowanymi sztachetami. Obejrzał się, biorąc broń, a DV, ślizgając się w błocie, nagle z upokorzeniem ujrzał siebie w roli bezbronnego i zabawnego celu. Mężczyzna miał na sobie staromodny filcowy kapelusz z szerokim rondem, nie przypominający nakrycia

głowy, jakiego można było oczekiwać na wsi. Odwracając się, dotknął palcami runda, jak w geście pozdrowienia, po czym zszedł w dół – najwyraźniej w tym miejscu pole kończyło się skarżą – i zarzuciwszy strzelbę na plecy, odszedł.

Zanim DV dotarł do furtki, stracił nieznanego z oczu. Po drugiej stronie biegła sucha droga. Zszedł na nią pośpiesznie i przez chwilę stał w miejscu, strząsając błoto z butów. Wysilek rozgrzał go i niemal otrzeźwił. Teraz mógł rozważyć pytanie, czy rozsądnie będzie kontynuować pościg. Nie znał drogi, nie wiedział, dokąd może trafić i czy będzie potrafił wrócić. Jednak zaniechanie pościgu w tym miejscu oznaczało przeprawę przez błotniste pole. Gdyby poszedł drogą, może trafiłby na łatwiejszą ścieżkę. Jakby na potwierdzenie tej myśli zobaczył niknącą postać człowieka skręcającego w prawo, z powrotem w kierunku willi. Ruszył nierównym truchtem; bieg po twardej nawierzchni przyniósł mu ulgę. Choć stracił mężczyznę z oczu, nie wątpił, że za zakrętem znów go dostrzeże. Jednak kiedy do niego dotarł, ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że droga rozwidła się, a nieznanego nigdzie nie widać. Stał bez tchu, zdziwiony, i rozglądał się, usiłując dojrzeć coś poprzez parę własnego oddechu w chłodnym nocnym powietrzu. Jedna droga wiodła pod górę, zakręcając w stronę, z której przyszedł, druga zaś w dół, znikając w gęstwinie niskich krzewów i drzew. Wpatrywał się w ciemność w poszukiwaniu śladu ruchu, błysku bieli, gdyż to na pewno wskazałoby człowieka ze strzelbą. Kiedy szybko skręcił w dolną odnogę, przemknęła mu przez głowę podświadoma, ulotna, szybka jak błyskawica myśl, że gdyby mężczyzna miał na sobie cokolwiek białego, już wcześniej zauważyłby to. Droga zwężała się coraz bardziej; w końcu zaczął zaczepiać nogawkami o krzewy z obu jej stron, jednak szedł dalej. Wkrótce pozostała jedynie wąska ścieżka, tak zarośnięta roślinnością, iż musiał patrzeć pod nogi, by ją odnaleźć. Grunt się podnosił, ścieżka skręciła najpierw w prawo, potem w lewo, aż w końcu stracił poczucie orientacji. Mężczyzna ze strzelbą zniknął. DV szedł z uporem naprzód, jednak coraz wolniej. Gdy potknął się o

korzeń, jego gniew i zmęczenie znalazły ujście w potoku przekleństw. Znów przystanął, spojrzął za siebie, potem przed siebie. Czy naprawdę musiał zawrócić, pójść po własnych śladach i znów przeprawić się przez to przekłete pole? Powietrze było ciężkie; stopniowo zdał sobie sprawę z mdlącego fetoru, mocniejszego niż smród gnijących roślin. Zdecydował się pójść kawałek dalej, a jeśli ścieżka nadal będzie trudna do przejścia, zawrócić.

Kiedy podjął tę decyzję, usłyszał na prawo od siebie suchy odgłos wystrzału. Pierwszy odruch – paść na ziemię – ustąpił miejsca wściekłości; ze schyloną głową i wyciągniętymi do przodu rękami pobiegł w kierunku, skąd usłyszał huk, jakby chciał gołymi rękami złapać przeciwnika. Przebiegł kilka metrów pośród krzewów, po czym stanął, stwierdziwszy, że znalazł się na pustej, dużej polanie. Obrócił się powoli, nasłuchując, starając się ocenić jej wielkość, co w ciemnościach było trudne. Nad głową widział jasno świecące gwiazdy, których blasku nie tłumilo żadne naziemne światło. Zapach, ostry i nieprzyjemny, stawał się coraz bardziej przenikliwy. Zasłonił nos dłonią. Cokolwiek to było, znajdowało się w pobliżu. „Przypuśćmy – pomyślał – że to zwłoki, może innego Amerykanina, zwabionego tutaj, jak ja sam, przez mężczyznę ze strzelbą, i zamordowanego, jak ja zostałbym zabity, gdybym nie zaprzestał pogoni”.

Kiedy tak stał na polanie, poczuł nagle strach – zrozumiał, że się zgubił. Nie pamiętał, którędy przyszedł, a roślinność zamknęła się wokół niego jak pokój pozbawiony drzwi. Podszedł do miejsca, skąd, jak przypuszczał, wszedł na polanę, lecz nie potrafił się zorientować, czy to było tutaj – nie dostrzegł połamanych gałęzi i liści, a nie widział ziemi na tyle dobrze, by dostrzec ślady stóp. Odór go zaniepokoił; wydawał się napływać do niego falami. Poczul, jak żołądek mu się ściska, a w gardle zasycha. Co tutaj robił? Jak trafił do tego niezdrowego miejsca? Znów zasłonił dłonią nos i stał ze spuszczoną głową, wsłuchany w intensywną ciszę lasu. Jeśli uda mu się przejść kawałek prosto w jakimkolwiek kierunku, na pewno wreszcie dojdzie do jakiejś drogi. W końcu to Włochy, a nie pustkowia, białe plamy na

mapie. Przyjrzał się niebu, starając się odnaleźć punkty orientacyjne, lecz prawdę mówiąc, nie miał pojęcia o kierowaniu się za pomocą gwiazd, a księżycy nie widział. Jeśli będzie cały czas szedł, przynajmniej oddali się od przyprawiającego go o mdłości zapachu. Przeszedł się przez liście, które dość łatwo ustąpiły pod naciskiem, i przeszedł kilka kroków. Droga przed nim otwierała się równie szybko, jak zamykała za nim. Podążał dalej – nie miał wyboru – choć poruszanie się było coraz trudniejsze, a fetor wciskał się do nosa i piekł w oczy. Znów ruszył energicznie, starając się ignorować przyspieszone bicie serca. Zbiegał w dół zbocza, czuł to i pocieszało go to z jakiegoś powodu – może dlatego, że był to określony, łatwy do odnalezienia kierunek. Po chwili przez prześwit pomiędzy drzewami ujrzał obiecujący widok: niskie, porośnięte krzewami wzgórze, a na jego wierzchołku biały budynek – może należący do jakiegoś gospodarstwa. Czekają go jeszcze trudności – będzie musiał wyjaśnić, kim jest, dokąd chce się dostać, ale jeśli cały czas będzie powtarzał: „villa Cini”, na pewno znajdzie kogoś, kto go aż tam zaprowadzi. Te pełne nadziei myśli dodały mu otuchy i siły. Przyśpieszył kroku.

Wtedy jednocześnie wydarzyło się kilka rzeczy. Wynurzył się na wąskiej, otwartej przestrzeni, a zbocze nagle stało się bardzo strome. Odór otoczył go jak rój rozłożyszonych owadów. Kiedy stracił równowagę i rozłożył ramiona, próbując ją odzyskać, poczuł gwałtowny skurcz w żołądku, potknął się i zwymiotował, padając najpierw na kolana, a potem koziółkując, gdy ziemia usunęła mu się spod nóg. Myśli wirowały mu w głowie, wszystkie narządy spięły się w oczekiwaniu, ale był bezsilny wobec siły ciężenia, wleczony bezlitośnie w dół, podczas gdy wskutek prerażenia i nagłego uwolnienia adrenaliny jego zmysły nagle wyostrzyły się od bólu, a czas stanął w miejscu. Dostrzegł ślizgającą się podeszwę swego buta i z żalem pomyślał o butach treningowych schowanych w szafie. Jego upadek spowodował obsunięcie się kamyków, które uderzały go w policzki, i podniesienie chmury pyłu drapiącego w gardle. Poczuł wilgoć na podbródku. Krew czy wymiociny? Jedną ręką uwięzła mu za plecami

– w chorym ramieniu odezwał się nieznosny ból mięśni. Przez kilka tygodni będzie czuł skutki upadku. Gdyby tylko udało mu się przestać koziółkować, może mógłby zatrzymać to nieskończone obsuwanie się w dół zbocza. Jego głowa i klatka piersiowa znalazły się na górze; tuż przed sobą dostrzegł coś białego, wystającego z ziemi, i usłyszał słowo „beton” tak wyraźnie, jakby ktoś powiedział je prosto do jego ucha. Przyjazd do Włoch nie był chyba najlepszym pomysłem. Najpierw odeszła ona, a teraz to. Wypowiedział jej imię. Usłyszał ostry huk, nie wystrzału, lecz coś o wiele gorszego, bardzo blisko. Potem, w ostatniej chwili, zdał sobie sprawę, że całkowicie uwolnił się od ziemi, a ciemność, w którą wchodzi, nie ma nic wspólnego z czymkolwiek znajdującym się na zewnątrz jego zmiażdżonej czaszki.

ROZDZIAŁ 1

– Na miłość boską, to powieść o duchach! – zawołała Lucy. Upuściła czytana przed chwilą stronę na stos papierów, zajmujących całą wolną powierzchnię jej zagraconego biurka. Rękopis – pierwsza część najnowszej powieści DV – dotarł dzień wcześniej z Włoch. Paczka była pognieciona i poplamiona, a znaczek nosił stempel sprzed miesiąca. Dlaczego DV wysłał ją statkiem? Przygotowując się do wpisania tekstu w komputer, Lucy spędziła rano, czytając, wskutek czego, jak zawsze po zapoznaniu się z kolejnym dziełem literackim pracodawcy, wzrosło jej ciśnienie krwi, a szczęki zacisnęły się tak, że teraz bolała ją twarz. Następną kartkę, którą wzięła do ręki, pokrywały linie, przekreślenia i tajemnicze kleksy, co upodabniało ją do lotniczego zdjęcia ogarniętego wojną kraju. Zastanowiła się, jak to się działo, że DV wkładał tyle wysiłku w to, żeby tak kiepsko pisać.

Mimo różnych imion i rozmaitych okoliczności narrator powieści DV był wciąż tym samym człowiekiem: egocentrycznym, pretensjonalnym nudziarzem, zawsze tkwiącym w tragicznym, lecz pełnym namiętności związku z neurotyczną, piękną kobietą, zawsze wplątu-

jącym się w niewiarygodne przygody, by ją ratować, czasem zstępującym do półświatka przestępców i najemnych morderców, a czasem wspinającym się na towarzyskie wyżyny, czyli do lśniących pałaców elity. Całą tę nonsensowną akcję autor przytykał banalnymi, sentymentalnymi peanami pod jego adresem, zachwycając się tym, jaki jest silny, odważny i mądry, podczas gdy inni byli słabi i nieporadni. Parał się on zwykle dziennikarstwem lub pisarstwem, czasami podróżował. Kiedy podróżował, zawsze dochodził do siebie po kryzysie emocjonalnym i zawsze był sam. Tym razem nazywał się Malcolm Manx i na początku książki sam przedstawił się jako „dość znany amerykański pisarz”. Złamany przez rozpad namiętnego, lecz tragicznego małżeństwa zaszył się w odludnej willi w Toskanii, gdzie miał nadzieję znaleźć spokój, natchnienie i odzyskać chęć do życia.

Lucy ostrożnie położyła na kartkach przycisk do papieru w kształcie żaby i podreptała do kuchni. Żeby móc dalej przez to brnąć, potrzebowała filiżanki ziół, szklanki wody i dwóch aspiryn. Zawsze uważała, że książki DV są okropne, ale ta pewnie będzie jeszcze gorsza. Wprowadził w niej nowy wątek, który zapewne miał podnieść sprzedaż: w willi straszył duch. DV usiłował napisać horror. Nie wystarczyło mu, iż niewinni, nieświadomi niczego Włosi musieli poddać się przemożnemu, niezwykle urokowi złamanego życiem amerykańskiego pisarza – teraz zaczął prześladować także zmarłych.

Duch był niegdyś bojownikiem ruchu oporu, partyzantem zabitym przez faszystów na własnym podwórku. O dziwo, owego zabitego żołnierza łączyło z Malcolmem zarówno umiłowanie wolności, jak i wspólny przodek pochodzący z surowej krainy Basków. Obecność przyjaznej duszy, spacerującej po rodowym gaju oliwnym w poszukiwaniu spokoju i mądrości starego świata, tak zachwyliła zabitego partyzanta, że wstał z grobu i zaczął włóczyć się po okolicy, wskazując na to i owo, zawsze w środku nocy, kiedy spali wszyscy oprócz Malcolma zmagającego się z wielkimi, trudnymi pytaniami o sztukę i życie.

Z powodów, o których Lucy starała się nie myśleć, książki DV

dobrze się sprzedawały. Kilka z nich zekranizowano; wszyscy znajomi zachęcali go, żeby pisał dalej. Recenzje ukazywały się rzadko, pozytywne jeszcze rzadziej, co rozgoryczało go, lecz wkrótce DV nauczył się czerpać satysfakcję ze stanu swego konta.

Lucy Stark pracowała dla DV od ośmiu lat i pięciu powieści. Nigdy nie zapytał jej, co sądzi o jego książkach, a ona nigdy mu tego nie powiedziała. Zgodnie z jego słowami była asystentką, a czasami, dokładniej rzecz ujmując – biurem. Zajmowała się wszystkim, pilnowała, by nie docierały do niego najgorsze recenzje, broniła przed byłymi żonami, prowadziła korespondencję, czuwała nad przepływem wielkich sum pieniędzy i przepisywała każde słowo jego okropnej prozy z postrzępionych, niemożliwych do odczytania kartek, jakie jej przesyłał, gdyż sam nigdy nie nauczył się obsługiwać komputera.

Początkowo usiłowała poprawiać najbardziej koślawe zdania; opuszczała ręce, kiedy natrafiała na metaforę, w której DV usiłował zawrzeć czwarty, kompletnie nieprzystający element, jednak te czasy dawno minęły. DV poskarżył się wydawcy, Stantonowi Cutlerowi, a ten wezwał do siebie Lucy i uprzejmie, lecz stanowczo wyjaśnił jej, że musi powstrzymać swój niewątpliwie chwalebny entuzjazm. „Myśl o tym jak o szkicu” – poradził jej.

Zaopatrzona w napar, po zażyciu tabletek przeciwbólowych, wróciła do biurka i wzięła stronę, która wcześniej zmusiła ją do wyjścia z pokoju.

„Ciemna, unosząca się nad podjazdem postać skinęła na niego w niesamowitym świetle księżyca. Malcolm poczuł, że krew ścina mu się w żyłach”.

– Boże – powiedziała Lucy.

Zadzwoił telefon. Położyła kartkę, sięgnęła nad lampą, rękawem swetra zaczepiła o filiżankę i z przerażeniem patrzyła, jak jej zawartość rozlewa się po rękopisie. Jedną ręką podniosła słuchawkę, a drugą – ociekającą stronę, usiłując zlać gorący napar do kosza na śmieci. Płyn ściekł na dywan.

- Czy pani Lucy Stark? – zapytał kobiecy głos.
- To ja.
- Dzwoni amerykańska ambasada w Rzymie. Proszę się nie rozłączać.

W następnej chwili, kiedy klęczała przy biurku i w pośpiechu wycierała plamy stroną recenzji z zeszłego tygodnia, usłyszała nieprzyjazny, oschły, męski głos, który przekazał jej niewiarygodną nowinę, że DV nie żyje.

ROZDZIAŁ 2

- Wpadł do studni.
- To okropne. – Jean McKay, agentka DV, była pierwszą osobą, którą Lucy powiadomiła o jego nieoczekiwanej śmierci. – Jak dorosły człowiek może wpaść do studni?
 - Nie wiem – odparła Lucy. – Człowiek z ambasady nie przekazał mi zbyt dużo informacji. Wydawał się oburzony na DV za to, że zginął. Nawet nie powiedział, kiedy to się stało, a jedynie: „To nie zdarzyło się wczoraj”. I chyba nic nie wiedział o Catherine. Gdzie ona jest? Dlaczego nie dzwoniła?
 - Wygląda to tajemniczo – zauważyła Jean.
 - Owszem – zgodziła się Lucy.
 - DV podobałoby się to. Zawsze chciał być tajemniczy.

Kobiety podzieliły między siebie obowiązki. Jean zgodziła się oddzwonić do Włoch, skontaktować z adwokatem i wydawcą. Lucy miała zawiadomić księgowego i byłe żony pisarza. Potem miały się znów spotkać i zdecydować, co robić dalej.

Całą resztę poranka zajęło Lucy telefonowanie. Ziółową herbatę zastąpiła kawą i powróciła do biurka, gdzie leżała powieść o duchach, wciąż wilgotna po rozlaniu herbaty, o zawiniętych w niemym oskarżeniu rogach. Czy to możliwe? Czy teraz nie była grubsza niż przed telefonem z ambasady?

„Nawet jeśli tak, to nie ma znaczenia” – pomyślała. Nie przepisze nawet jednego słowa. Po co? Powieść i tak nigdy nie zostanie ukończona. Horror DV pozostanie jedynie w pamięci jego asystentki. Lucy usiłowała wyrzesać z siebie jakieś uczucia z tego powodu. Martwiło ją, że nikt, z kim do tej pory rozmawiała, nie wyraził czegoś więcej niż tylko rozdrażnienie z powodu przedwczesnej śmierci DV. Wyjątkowy chłód okazały zwłaszcza żony.

Biedny DV. Jean miała rację; zawsze chciał być tajemniczy, ale nigdy mu się to nie udawało. Był przezroczysty jak woda w sadzawce. Czasem, ponieważ w ogóle nie zdawał sobie sprawy ze swoich ograniczeń i braku głębi, na powierzchni wody pojawiały się fale. Lucy uważała, że przeprowadzka do Włoch stanowiła właśnie taką falę – a teraz się okazało, jak drogo za to zapłacił. Co go opętało, że zdecydował się na tak widowiskowy, niepraktyczny ruch?

Z zadumy wyrwał ją dźwięk telefonu. Jean skontaktowała się z ambasadą oraz – przez tłumacza – z właścicielem domu i nawet miejscowym koronerem, który chciał wysłać ciało DV do domu.

– Nikt tego nie chce – powiedziała Lucy. – To zbyt makabryczne.
– Wiem – zgodziła się Jean. – Zatem ktoś musi tam pojechać i go pochować. Ja nie mogę, muszę zostać tutaj. Zorganizuję mszę żałobną.

– Udało ci się dowiedzieć czegoś o Catherine?
– Odeszła. – Jean przerwała na chwilę. Lucy usłyszała, jak coś popija, zapewne kawę. – Właściciel nie powiedział nic pewnego. Nie wiedział, kiedy wyjechała, ale twierdził, że od pewnego czasu DV mieszkał sam.

– Naprawdę? – Lucy usiłowała wyobrazić sobie DV samotnie przemierzającego przestronne korytarze ponurej willi, którą opisał w swej książce – starej, kamiennej budowli z gobelinami, portretami przodków i niesamowitą kaplicą, gdzie chrzczono zdegenerowanych arystokratów i skąd wynoszono ich trumny. Nie mogła w to uwierzyć.

- Czy któraś z jego żon chce tam pojechać? – zapytała Jean.
- Nie. Chcą tylko wiedzieć, co się stanie z pieniędzmi.

– A może ty mogłabyś pojechać?

Lucy była raz we Włoszech, jeszcze w czasie studiów. Przez miesiąc podróżowała z plecakiem pociągami w towarzystwie dwóch koleżanek ze szkoły. W czasie wycieczki opędały się od podszczyptywania i dwuznacznych spojrzeń przystojniaków od Neapolu po Triest. Panował upał, a one miały tak mało pieniędzy, że żywiły się porcjowaną pizzą oraz kanapkami i spały w ciasnych pokojach wyposażonych tylko w niezbędne sprzęty, z łazienką na końcu korytarza. W kościołach, na placach i w muzeach Wenecji, Florencji, Rzymu i Neapolu Lucy szukała arcydzieł, o których czytała, a za każdym razem, kiedy je odnalazła, dziwiła się niedoskonałości reprodukcji, nawet w przybliżeniu nie oddających majestatycznego piękna oryginału. „Sztuka u siebie w domu – myślała – w swym naturalnym otoczeniu. To jak spotkanie tygrysa, którego wcześniej widziało się nerwowo spacerującego za kratami w zoo, teraz śpiącego spokojnie w legowisku”. Pod koniec wycieczki trzy przyjaciółki zafundowały sobie ogromny posiłek w *trattorii*. Po nim, nieco chwiejnym krokiem, wyszły na rozgrzaną ulicę, najedzone i oślepione łzami na myśl o powrocie do domu.

– Tak – odparła Lucy. – Mogę jechać.

Uzgodniły szczegóły: miała lecieć wieczorem, Jean obiecała, że na lotnisku w Rzymie będzie na nią czekał tłumacz i odwiezie ją do willi w Ugolino. Lucy odwiedziła sąsiada. Zawarła z nim umowę o wzajemnej pomocy w razie konieczności zaopiekowania się kotem, odwołała jeden obiad i nagrała nową wiadomość na automatycznej sekretarce.

Później, w czasie pakowania, zastanawiała się nad pytaniami, na które dotąd nie znalazła odpowiedzi. Dlaczego DV został po odejściu Catherine? I dlaczego nigdy nie wspomniał o jej odejściu? Kontaktował się z Lucy przez pocztę kurierską, przysyłając jej listy i lakoniczne polecenia; rzadko pojawiała się w nich uwaga bardziej osobista. Nawet jeśli czuł się nieszczęśliwy i zmartwiony, nie trudził się powiadamianiem jej – może zresztą nie chciał. Ale jeżeli Catherine go

zostawiła, musiał być bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem; sam w willi z duchem.

A nawet duch nie mógł stanowić towarzystwa; DV nigdy nie nauczył się po włosku więcej niż dziesięciu słów.

W samolocie Lucy niemal nie zmrużyła oka. Było ciasno i hałaśliwie, jak zwykle podano okropne jedzenie. Niektórzy pasażerowie wyglądali na zrezygnowanych, inni nie. Lucy usiłowała skupić się na książce *Sztuka ekstazy: Teresa, Bernini i Crashaw*, ale po obejrzeniu doskonałych zdjęć świętej Teresy Berniniego stwierdziła, że jej myśli wędrują w zupełnie innym kierunku, dała za wygraną i podążyła za nimi. Myślała o DV i jego pisarstwie. Skoro nie napisze więcej powieści, straciła pracę, choć uporządkowanie wszystkiego zajmie jeszcze miesiąc lub dwa. To jej nie martwiło, gdyż była pewna, że znajdzie inne zajęcie. Lata spędzone z DV pozwoliły jej nawiązać wiele kontaktów i nauczyły mnóstwa pożytecznych rzeczy. Czując olbrzymią ulgę, że nowa książka nigdy nie ujrzy światła dziennego, gdyż różniła się od innych tak, że wprawiała ją w zakłopotanie.

Wszyscy wiedzieli, że powieści DV to lekko podretuszowane relacje z jego własnego życia – tak DV rozumiał pojęcie realizmu. Chętnie przyznawał się do tego w wywiadach, jakby niedostatek wyobraźni czynił jego książki bardziej wartościowymi. Oczywiście każdy, kto choć trochę znał DV, wiedział, iż niektóre cechy autor doprowadzał do absurdałnej przesady, zwłaszcza fizyczny urok swych bohaterów. Byli to zawsze wysocy, silni mężczyźni o wielkich apetytach i równie wielkich ideach. DV nie miał nawet metra dziewięćdziesięciu wzrostu. Nie odznaczał się wyjątkową siłą, często chorował i tak zniszczył sobie winem przewód pokarmowy, że musiał poprzestać na skromnej diecie złożonej z gotowanego mięsa i ryżu. Rzeczywiście miał dużą, kształtną głowę i atrakcyjną twarz – na jego korzyść pokazywaną na zdjęciach na obwolutach książek – ciemne, gęste włosy i brwi, mocny, długi nos, kształtne usta i bystre, pełne wyrazu oczy. Umiał się głośno śmiać, co przydawało mu się do

zwrócenia na siebie uwagi, gdy nie mógł tego dokonać w inny sposób. Słysząc go było głównie w miejscach publicznych, na odczytach i kolacjach, kiedy śmiał się, by pokryć kłopotliwe przerwy w rozmowie.

Trzy razy był żonaty, nigdy zbyt długo. Według niego wszystkie jego żony okazały się obłąkane, a on starał się uratować je przed nimi samymi. Jednak zawsze wysiłek okazywał się próżny. Mimo szczerego przywiązania, musiał w końcu ratować siebie samego. Jednak nie udało mu się ocalić znacznej części swych dochodów, która co miesiąc odpływała w postaci alimentów i zasiłków na utrzymanie dzieci. Według Lucy jego żony były wciąż takimi samymi głupimi kobietami o ciasnych umysłach, które upatrzyły sobie łatwą zdobycz. Z dwiema z nich DV miał dzieci – dziesięcioletniego syna i dwunastoletnią córkę. Zapewne one odziedziczą jego majątek.

Lucy kilka razy spotkała Catherine Bultman; raz pogawędziły krótko o Caravaggiu, ulubionym malarzu Catherine. Nikt nie potrafił sobie wyobrazić, jak DV zdołał ją do siebie przyciągnąć i co w nim widziała. Nie stanowiło zagadki, co on w niej widział. Była piękna, zdolna, inteligentna i najwyraźniej znajdowała się przy zdrowych zmysłach. Odrzuciła jego oświadczenia; przeprowadzka do Włoch stanowiła część planu, który miał ją skłonić do zmiany decyzji. Studiowała kiedyś malarstwo we Florencji i doskonale mówiła po włosku. DV obiecał jej pracownię; on miał pisać, ona malować – raj dwojga artystów.

Pierwsze dwa rozdziały powieści o duchach opisywały życie w willi: złamany życiem amerykański pisarz zdobywał sobie sympatię uczynnych miejscowych ludzi, pracujących dla niego, arystokraci uwielbiali zapraszać go na długie, eleganckie kolacje, po których samotnie wracał pieszo do domu poprzez gaje oliwne i rzędy cyprysów oceniające wjazd do willi. Podczas jednego z takich spacerów, kiedy analizował w myślach burzliwy romans z piękną artystką, po raz pierwszy zobaczył ducha.

Lucy zdziwił opis samego romansu Malcolma Manxa – wyjąt-

kowo gorzkiego i pełnego bólu. Ze wszystkich swoich dzieł, w tym DV najbardziej zbliżył się do opisu prawdziwego ludzkiego cierpienia. Nie było to w żadnym razie dobre – opisy scen miłosnych jak zwykle polegały na nagromadzeniu nieprawdopodobnych przenośni, lecz w jednej ze scen, po gwałtownej kłótni, piękna artystka spokojnie i z zimną krwią zamyka drzwi przed pisarzem, on zaś nie może się zdecydować, czy biec do okna i obserwować jej odjazd, czy zostać z głową przyciśniętą do drzwi. Lucy musiała przyznać, że ten opis różnił się od poprzednich opisów DV. Był bezpośredni, smutny i poruszał do głębi.

Czy to możliwe, że przed upadkiem do studni DV rzeczywiście doświadczył tortury miłości i utraty, całkowitego przewartościowania, nocnej konfrontacji z własną duszą, w której codzienne, powszednie kłamstewka już nie zdołają ukryć prawdy, iż przez własną głupotę straciło się kochaną osobę, a bez niej nie ma światła i nie ma życia?

Wydawało się to nieprawdopodobne.

Godziny wlokły się jedna za drugą. Lucy wyłączyła film i usiłowała zasnąć, lecz uniemożliwiał jej to zwalisty mężczyzna chrapiący obok. Klimatyzacja szwankowała; ciągły kaszel kobiety siedzącej dwa rzędy przed nią gwarantował reszcie pasażerów złapanie czegoś absolutnie wyniszczającego i na pewno zaraźliwego. Stewardesy uwijały się, roznosząc kawę i twarde bułki, a krawędzie zasłoniętych rolet na oknach rozjaśniły się lekko. Poprzez noc wlecieli w świt. Lucy podniosła roletę i spojrzała w blade światło górnej warstwy atmosfery. Wkrótce samolot zacznie się zniżać nad Francją, potem krótki zakręt nad Morzem Śródziemnym i zejście na dół we Włoszech. Mimo poważnego charakteru podróży poczuła dreszcz emocji.

W pierwszych rozdziałach swej powieści o duchach DV zawsze nazywał Włochy Italią, Lucy gardziła taką manierą. Italia niezmiennie odkrywała swoje skarby, zwracała ku gościom uśmiechniętą twarz, zastawiała bogato stół darami, zadziwiała gościnnością, strzegła sekretów, kusząc wielbicieli błyskami mrocznej wiedzy na temat swej

niezmierzonej, tajemniczej, złowrogiej przeszłości. Była matką, siostrą, kapłanką, prostytutką – hojną, dobroduszną, ale złośliwą dziwką. DV nie mógł się pozbyć tego języka. Lucy poczuła takie rozdrażnienie na samą tę myśl, że dla uspokojenia poszła stanąć w kolejce do łazienki.

Italia. *La Bell'Italia*. Uśmiechnięte twarze jej kochających słońce mieszkańców. Język jak z przewodnika. Zanim Lucy wróciła na miejsce, samolot przecinał już jej zanieczyszczone, niemożliwe do opisanego wybrzeże. Gdzieś tam w dole leżał DV, na razie poza tym światem, lecz wkrótce znów miał do niego wrócić – jednak tym razem nie będzie już mógł opisać swych przeżyć. Umilkł na zawsze – jak by mu się to spodobało – złożony w jej odwiecznym, wszechogarniającym łonie.

Stał na przodzie podnieconego tłumu, opierając o poręcz dzielącą przyjeżdżających od oczekujących mały kartonowy prostokąt z nabazgranym jej nazwiskiem. W przeciwieństwie do sąsiadów nie przyglądał się z nadzieją pasażerom; nawet nie patrzył w ich kierunku. Był całkowicie pochłonięty płamą na rękawie swej eleganckiej marynarki. Zmarszczył groźnie brwi i w skupieniu czyścił ją kciukiem. Lucy podeszła do barierki i stanęła naprzeciw niego. Powoli, niechętnie, uświadomił sobie jej obecność i spojrzał na nią chłodno.

– To ja – powiedziała, wskazując tabliczkę.

– Signora Stark – odrzekł bez entuzjazmu. Wymawiał jej nazwisko jak „stak”. Wskazał ręką na koniec barierki. – Proszę pójść tędy – dodał. – Tam się spotkamy.

Lucy zawróciła wózek z bagażem z powrotem w kierunku tłumu pasażerów, zadowolona z kilku chwil wytchnienia umożliwiających jej uporządkowanie niepokojąco mieszanych uczuć, o jakie przyprawił ją jego chłodny sposób bycia połączony z wyjątkowo atrakcyjnym wyglądem. Nie był wysoki, ale dobrze zbudowany i silny, w typie tragarza, który zawsze ją pociągał. Miał wspaniale opaloną skórę i gęste, czarne włosy (jakie zwykle kojarzą się z mieszkańcami kraju,

do którego właśnie przyjechała), ale jasnozielone oczy, wywołujące wstrząs przy pierwszym spotkaniu – jakby u psa pasterskiego dojrzało się oczy wilka. Zauważyła jego ponury, znużony i pozbawiony poczucia humoru wyraz twarzy. Oceniała go na czterdzieści kilka lat, w każdym razie kilka lat więcej niż sama miała. Z pewnością ostatnie, na co miał ochotę, to zajmowanie się Amerykanką. Lucy zastanawiała się, co wiedział o celu jej przybycia.

Przeszła przez barierkę i podeszła do niego.

– Nazywam się Massimo Compitelli – poinformował ją, szarmancko biorąc jej wózek. – Zawiozę panią do Ugolino.

– Czy zostanie pan tam ze mną?

Rzucił jej szybkie, taksujące spojrzenie.

– Zostanę, póki nie zakończy pani załatwiać formalności.

– Świetnie – odparła. – To duża ulga. Jak daleko jest do Ugolino?

– Samochodem jakieś trzy godziny.

Spojrzała na zegarek. Na miejsce dotrą dawno po obiedzie. Kawa i kanapka, którą zjadła w samolocie, przyprawiły ją o mdłości i zawrót głowy. Nie miała ochoty rozpoznawać ciała DV z pustym, buntującym się żołądkiem.

– Czy mogłabym dostać po drodze coś do zjedzenia, signor Compitelli? – zapytała. – Wystarczy kanapka.

Doszli do windy prowadzącej na parking. Rzucił jej długie, dziwne spojrzenie. Uniknęła go, skupiając się na zamku portfela. Wydawało się ono pytać: kim jest ta cudzoziemka, którą mam się zajmować?

– Czuję się bardzo zmęczona – powiedziała.

Z lekko zaciśniętymi w zamyśleniu ustami kontynuował swoją obserwację.

– Tak – odezwał się wreszcie, kiedy otworzyły się drzwi windy i wysypała się z nich zadziwiająca liczba ludzi i wózków z bagażami. – Znam miejsce niedaleko stąd, gdzie możemy się zatrzymać.

Weszła za nim do wąskiej windy. Za nimi wsunęło się kilku innych pasażerów, przyciskając Lucy do tylnej ściany, między dwoma wózkami. Kiedy zaczęli zjeżdżać na parking, odwrócił się do niej.

– Proszę mi mówić Massimo – powiedział.
„Świetnie” – pomyślała, opierając się o ścianę. „Zdecydował się nawiązać ze mną znajomość”.

ROZDZIAŁ 3

Książki DV nie sprzedawały się we Włoszech najlepiej, choć przetłumaczono i wydano trzy z nich – dwie sfilmowano, a ostatnią sprzedano za granicę na poczet umowy o adaptację filmową, do której jednak nie doszło. Massimo Compitelli pracował dla włoskiego wydawcy, choć Lucy nie potrafiła określić, jakie zajmował stanowisko. Nie wyglądał na redaktora. Pracował chyba jako wolny strzelec, być może jako agent wydawcy. Może wyszukiwał nowe talenty. Wypytywała go o to nad tostem z oberżyną w lśniącym barze na przedmieściach Rzymu, dokąd ją zawiózł, jednak odpowiadał półsłówkami. Najwyraźniej bulwersował go jej upór w kwestii picia cappuccino do posiłku, jednak uprzejmość nie pozwalała mu tego skomentować. Lucy spróbowała zmienić temat.

- Mieszkasz w Rzymie?
- Tak.
- A twoja rodzina też tam mieszka?

Z jego rzeźbionych nozdrzy wydobyło się pełne oburzenia prychnięcie.

- Moja rodzina jest w Rzymie od tysiąca lat.

„Snobizm na tle przodków” – pomyślała Lucy. Jedzenie, doskonała kawa, słońce ogrzewające kamienie na podeście, na którym dość ryzykownie ustawiono stół, zmęczenie podróży i stereotypowe zachowanie mężczyzny przyprawiły ją o zawrót głowy.

- A papież? – zapytała.
- Co takiego?
- W twojej rodzinie. Zdarzali się papież?

Spojrzał na nią podejrzliwie. Czy kpiała z jego rodziny?

– Owszem – odparł. – Dawno temu. Przez krótki czas jeden z moich przodków był papieżem.

– Dobrym?

– Nie. – Wyjął z kieszeni papierosa i zaczął szukać zapalniczki. – Był bardzo złym papieżem. Chyba został zamordowany.

Lucy skończyła kawę, przeprosiła i wyszła w poszukiwaniu łazienki, pozostawiając Massima z wyciągniętymi w słońcu nogami, najwyraźniej zadowolonego, że może w samotności delektować się smakiem papierosa. Kiedy wróciła, wstał niechętnie i rzucił niedopałek na ulicę. Poszli do samochodu.

Od opuszczenia lotniska jechali zatłoczonymi autostradami i przeciskali się przez nieprzyjemne przedmieścia, ale teraz nagle wyjechali poza miasto, pomiędzy faliste winnice, gaje oliwne, rzędy cyprysów i sosen, strome, spadziste wzgórza, na nich otoczone murami stare miasta, które zachwyciłyby nawet najbardziej znużonych i zobojętniałych obserwatorów. Gdyby nawet piękno krajobrazów nie pozbawiło jej tchu, dokonałaby tego na pewno szybkość, z jaką jechali. Jednak, jak zauważyła Lucy, Massimo nikogo nie wyprzedzał. Wręcz przeciwnie, czasem to na nich trąbiono, zostawiając ich w tyle. Na Massimie nie robiło to żadnego wrażenia. Lucy rozłożyła siedzenie i z rozmarzeniem przyglądała się okolicy, zastanawiając się nad swą nieoczekiwaną podróżą. Poczowała cień wdzięczności dla DV, że zmarł właśnie tutaj.

– Signora Stark, jest pani zamężna? – zapytał Massimo.

Odwróciła w jego kierunku głowę. Zdawał się pochłonięty obserwacją drogi przed sobą.

– Nie – odpowiedziała. – Byłam, ale nie jestem.

Kiwnął głową. Oboje zauważyli szybkie spojrzenie, jakim omiotła szeroką złotą obrączkę na jego prawej dłoni.

– Może pani spać, jeśli pani chce – odezwał się.

– Dziękuję. Chyba tak zrobię.

I zrobiła.

Toskania usiana jest pięknymi miasteczkami, a każde z nich słusznie z czegoś słynie – czy to z doskonałej architektury piazza, uroku dzwonnicy, niezwykłych fresków w kościele, wyjątkowo świeżego powietrza, co zawdzięcza położeniu na szczycie wzgórza, widokowi ze starych murów miejskich, nieporównanemu *bistecca* podawanemu w miejscowej restauracji, która poprzednio była klasztorem, zamkiem lub gospodarstwem, gdzie można dojechać wzdłuż malowniczego jeziora, wysadzonej cyprysami alejki czy winnicy. Ugolino jednak do nich nie należy.

– Do wczoraj nigdy o nim nie słyszałem – odezwał się Massimo, skręcając w wyboistą, wąską drogę pomiędzy dwoma wysuszonymi, zaoranymi polami. – Jak pani przyjaciel tu trafił?

– Szukał spokoju.

– Spokoju – parsknął Massimo. – Spokój można znaleźć w grobie. – Po czym, kiedy dotarło do nich okrutne znaczenie jego uwagi, dodał: – Przepraszam, nie zastanowiłem się nad słowami.

– Nic się nie stało. Masz rację.

Przy końcu dwóch pól droga rozdzieliła się. Jedna odnoga, brukowana, prowadziła w górę, w stronę szeregu cyprysów, druga, bez nawierzchni, w dół, pomiędzy jeszcze bardziej wysuszonymi płatami ziemi. Massimo skręcił w tę ostatnią, podnosząc w chłodnym popołudniowym powietrzu tuman kurzu. Niebo miało kolor głębokiego, niemal zaskakującego błękitu i rozciągało się przed nimi jak coś stałego; wydawało się, że w każdej chwili mogą się o nie rozbić. „W takim jesiennym świetle umarł DV” – pomyślała Lucy. „Czy wpadł do studni pod niebem równie jasnym i spokojnym?” Dotarli do znaku z napisem „Ugolino – 2 kilometry”. Po chwili po obu stronach drogi pojawiły się nieciekawe współczesne budynki, a później droga poszerzyła się. Minęli bar, w którym przy dwóch plastikowych stolikach siedziało kilku mężczyzn. Teraz drogę wyznaczał rząd kamiennych domów z otwartymi okiennicami i mokrym praniem rozwieszonym na sznurkach przeciągniętych pomiędzy oknami. Z rzadka pojawiała się doniczka z kwiatami; wyglądająca przez okno

starszka upomniała naburmuszonego chłopca na rowerze. Chłopiec niechętnie zjechał im z drogi. Potem nagle wjechali na pozbawiony drzew, zakurzony rynek z rzędem budynków miejscowych instytucji: bar – *alimentari* – którego wnętrze chroniła od owadów spleśniała zasłona z kolorowych, plastikowych pasków w drzwiach, ratusz i posterunek policji ze schludnym czarnym napisem „Carabinieri” na białym tynku nad wejściem. Massimo przystanął, drzwi posterunku otworzyły się i wyszło z nich dwóch młodych, umundurowanych mężczyzn, pogrążonych w ożywionej rozmowie. Massimo wysiadł z samochodu, Lucy poszła za jego przykładem.

Policjanci, zajęci rozmową przerywaną wybuchami śmiechu, nie zwrócili na nich uwagi i skierowali się w stronę baru.

– Wejdźmy – odezwał się Massimo. – Czekają na panią.

Wkroczyli do długiego, niskiego pomieszczenia zakończzonego barierką, za którą stało w nieładzie kilka biurek i krzeseł o prostych oparciach. Na każdym biurku znajdowała się starego typu maszyna do pisania, przywodząca na myśl posępne kryminały z lat pięćdziesiątych. W pokoju panował półmrok, światło wpadało jedynie przez dwa długie okna w bocznej ścianie.

Nie było w nim również żywej duszy. Massimo przez kilka minut rozglądał się wokół, jakby oczekiwał, że jego spojrzenie wywabi kogoś z ukrycia, ale on też musiał po chwili przyznać, iż nikogo tu nie ma.

– Może poszli na obiad – próbowała zagadnąć Lucy.

Spojrzał na zegarek.

– Obiad? – zapytał niecierpliwie. – Jest wpół do piątej.

– Cóż, będziemy chyba musieli poczekać.

– Nie mam czasu na czekanie – zawołał i wyszedł z powrotem na ulicę. Lucy podążyła za nim. Patrzyła, jak idzie szybko w stronę baru – ulicą, gdyż chodnika nie było. „Mam szczęście, że jest ze mną” – pomyślała. Rozejrzała się wokoło; w miasteczku panowała niesamowita cisza. Nie rosły tu drzewa, więc spokoju nie zakłócał nawet śpiew ptaków. Po kilku chwilach drzwi baru otworzyły się gwałtow-

nie i na zalaną słońcem ulicę wyszło dwóch policjantów – za nimi, gestykulując, podążał Massimo. Prowadził ich w stronę Lucy; najwyraźniej nie mieli na to ochoty, woleliby uciec. Kiedy podeszli bliżej, zauważyła, że to właściwie chłopcy – mogli mieć osiemnaście lub dziewiętnaście lat – rozdarci pomiędzy świadomością własnego niedoświadczenia a przekonaniem, że doskonale skrojone i wyprasowane mundury zapewniają im autorytet. Jeden z nich leniwym krokiem minął Lucy, niemal jej nie zauważając, drugi podążył za nim, podniesionym głosem odpowiadając Massimowi. Wymachiwał gwałtownie ręką przed jego twarzą, jakby zadawał ciosy. Mijając Lucy, podkreślił ostatnie słowa uderzeniem otwartej dłoni; niemal ją trafił. Lucy uchyliła się, Massimo rzucił jej przerażone spojrzenie. Jakimś cudem zmieścili się w czwórce w drzwiach.

– To głupcy – powiedział bez ogródek Massimo, idąc za policjantami w kierunku przejścia w barierce. Jeden z funkcjonariuszy zaczął wyciągać z szuflad teczki, po czym starannie odkładać je z powrotem. Drugi z przesadną niechęcią padł na krzesło, wziął długopis i zaczął obracać go w dłoni.

– Co oni robią? – zapytała.

– Udają, że Amerykanie codziennie wpadają tu do studni – odparł Massimo.

– Czy pozwolą mi zobaczyć przyjaciela? Czy jest tutaj?

Massimo rozpoczął przemowę po włosku, lecz obaj mężczyźni niemal natychmiast wpadli mu w słowo. Mówili coraz głośniej, każdy starał się przekrzyczeć pozostałych. Potem nagle zamilkli. Massimo odwrócił się do Lucy.

– Nie może go pani zobaczyć... – przerwał na chwilę. Lucy miała wrażenie, że lekko się zmieszał, nie będąc pewny, co powiedzieć. – Przeprowadzili sekcję zwłok. – Zawahał się, wymawiając ostatnie słowo, zleje zaakcentował. – Nie powinna go pani oglądać.

– Ale muszę go zidentyfikować! – zaprotestowała Lucy. – Muszę mieć pewność, że to on.

Przyglądał się jej uważnie, szukając oznak hysterii.

– Signora Stark – odezwał się opanowanym, uspokajającym głosem. – Pani przyjaciel został zidentyfikowany przez swego gospodarza i na podstawie paszportu. To on, ponad wszelką wątpliwość. Sekcja zwłok to... nie powinna go pani oglądać.

– Ponieważ nie rozpoznałabym go?

– Obawiam się, że tak.

– Czy nie mogą mi czegoś pokazać? Czy nie ma innego dowodu oprócz słów?

Massimo zwrócił się do policjanta przy biurku z teczkami, który najwyraźniej znalazł to, czego szukał. Odbyła się krótka ceremonia przekazywaniateczki tłumaczowi, a potem Amerykance. Lucy poczuła lęk i odwróciła się tyłem do mężczyzn. Położyła teczkę na barierce i otworzyła ją.

Od razu wiedziała, że to DV, ale przez chwilę starała się przekonać samą siebie, że to pomyłka. Jak ów zadowolony, pewny siebie, arogancki i żywotny człowiek, którego znała, mógł wyglądać jak pomarszczone, wykrzywione uosobienie strachu?

Jego górna warga odstaniała zęby w sposób, jakiego Lucy nigdy u niego nie widziała, a czoło pomarszczyło się nad otwartymi, pustymi oczami. Gęste włosy, pełne teraz liści i kurzu, przylepiły się do czaszki. Tuż pod linią włosów biegło ciemne cięcie, a skóra wokół niego spuchła i posiniała. Znalazła trzy zdjęcia: dwa przedstawiały samą twarz, jedno – ciało ułożone na stole, wciąż ubrane, lecz bez butów. Lucy rozpoznała jego ulubiony niebieski kaszmirowy sweter, teraz podarty i poplamiony.

Chwycił ją tak silny atak mdłości, że przytrzymała się barierki i jęknęła. Zawsze mówiła o DV jako o pracodawcy. Czasem myślała o nim jako o pismaku lub wiecznym mężu, jednak teraz, kiedy patrzyła na ten niepodważalny dowód jego śmierci, przychodziło jej na myśl jedynie słowo „przyjaciel”. „Mój biedny przyjaciel” – pomyślała i rozplakała się.

Trzech kłótliwych i wyniosłych mężczyzn natychmiast przeobraziło się w grupę współczujących ciotek.

– Signora płacze. – Zrozumiała słowa Massima, po czym nastąpiło kilka krótkich poleceń, których sensu nie uchwyciła.

Obok niej zmaterializowało się krzesło, w dłoń wciśnięto jej czystą białą chusteczkę, nalano wody mineralnej i podano z łagodnymi słowami pocieszenia. Z wdzięcznością usiadła, wytarła oczy, przyjęła i wypila wodę.

– To mój przyjaciel – wydobyła z siebie, zanim rozplakała się ponownie. – Przepraszam – dodała, szlochając.

– Ależ proszę nie przepraszać – odezwał się Massimo. – To dla pani wielki wstrząs. – Młodzi policjanci bąkali jakieś nieśmiałe słowa, jak przypuszczała, wyrazy współczucia. Jeden stał nad nią, drugi poszedł odnieść pustą szklankę. Lucy płakała jeszcze przez kilka minut, a mężczyźni czekali cierpliwie. Nie wydawali się tym rozdrażnieni. W końcu przestała.

– Już dobrze – powiedziała do Massima, składając chusteczkę i po raz ostatni wycierając oczy. – Co mam zrobić?

Massimo cicho przemówił do policjanta wkładającego zdjęcia do szuflady.

– Musi pani podpisać papiery – odparł. – Potem, jeśli chce pani pochować przyjaciela tutaj...

– Chcę.

– Poszukamy miejsca na... jak to się mówi...

– Miejsca na cmentarzu – odpowiedziała.

– Właśnie. Czy życzy sobie pani księdza?

– Nie. DV nie był wierzący.

– Nie będzie żadnej ceremonii? – Wydawał się zmartwiony.

– Będzie w Stanach – wyjaśniła. – Dla rodziny i przyjaciół.

Jego zmartwienie przerodziło się w zdziwienie.

– Rozumiem.

Kto przyszedłby na ceremonię żałobną DV? Jego wydawca, agent, ludzie, którzy zarabiali na jego książkach, może jedna czy dwie z jego żon – te z dziećmi – może nie? Jego rodzice nie żyli, a z bratem nie utrzymywał kontaktu. Mogło się pokazać paru znajomych pisarzy; w

końcu DV naprawdę nie miał przyjaciół. Na tę myśl Lucy znów poczuła łzy pod powiekami.

- Czy mogę zatrzymać chusteczkę? – zapytała, wstając.
- Oczywiście – odparł Massimo.
- Dziękuję. Co dalej?

Przedsiębiorstwo pogrzebowe we Włoszech to nie profesjonalny, dochodowy interes jak w Stanach. Modlitwy przy zmarłym odbywają się na ogół w jego domu, a nad grobem nie czuwa specjalny mistrz ceremonii. Ugolino było małe; Lucy udało się załatwić wszystko na posterunku policji. Trochę kłopotu sprawiły pieniądze – policja okazała się nie przygotowana do przyjmowania płatności kartą kredytową, a czek amerykańskiego banku nie miał dla nich wartości. Lucy wyjaśniła Massimowi, że może poprosić bank DV o telegraficzne przesłanie pieniędzy i następnego dnia będzie miała potrzebną kwotę w lirach.

– Jak wypłaci pani pieniądze bez jego podpisu? – zapytał Massimo.

- Znam wszystkie hasła – odpowiedziała.

Jego oczy pociemniały na ten dowód zaawansowania amerykańskiej techniki. Powiedział kilka słów do policjantów, którzy zapewnili, że zorganizują pogrzeb, jak tylko dostaną pieniądze. Wezwano grabarza. Przybył tak szybko, że Lucy uznała, iż musiał siedzieć w barze. Był to zgarbiony, pomarszczony, gadatliwy stary człowiek, rozsiewający nieprzyjemny zapach – postać żywcem wyjęta z Szekspira. Kiedy się odzywał, Massimo z wyrazem głębokiego niesmaku na przystojnej twarzy ciasniej owijał się płaszczem. Po długiej rozmowie zdecydowano, że Lucy musi zaaprobować miejsce pochówku.

- A co z trumną? – zapytała. – Czy nie muszę jakiejś wybrać?
- Już to załatwiliśmy – odparł krótko Massimo.

Po uściśnięciu rąk i uzgodnieniu terminu pogrzebu na następny dzień Massimo, Lucy i grabarz wyszli na mały cmentarz – przyszły dom sławnego amerykańskiego pisarza. Słońce chyliło się już ku zachodowi; zrobiło się dużo chłodniej i wilgotniej, zerwał się pory-

wisty wiatr. Lucy zapięła kurtkę. Cmentarz – skromny i ładny – mieścił się na końcu nie utwardzonej drogi. Otaczał go betonowy mur, wyższy z tyłu z powodu nierówności terenu. W każdym jego rogu rósł cyprys. Groby zaznaczono płytami lub niewielkimi urnami; na wielu z nich umieszczono pod szkłem fotografie zmarłych, którzy uśmiechali się pobłaźliwie i nieustająco do przychodzących ich oplakiwać. Były też plastikowe kwiaty – w wazonach lub rozłożone bezpośrednio na płytach. Groby wyznaczało betonowe obmurowanie; właściwie wyglądały jak zapadnięte, zakurzone betonowe pudełka. Stary grabarz, od momentu pojawienia się nie przestający gadać, wskazywał na groby, zapewne opisując tych, których w nich pochowano. Przy jednym z nich – jedynym pokrytym świeżymi kwiatami – zatrzymał się i nagle zamilkł.

– Tu leży młoda kobieta. Kilka miesięcy temu popełniła samobójstwo – wyjaśnił Massimo.

– Okropne – odpowiedziała Lucy.

Stary człowiek, stojący z lekko pochyloną głową i brudnymi rękami splecionymi nad masywnymi udami, podniósł na nią wzrok i skrzywił się w bezzębnym, lubieżnym uśmiechu. Potem zasypał Massima gradem słów. Lucy wyłowila dwa: *straniera* i *la signora*. „Mówi o mnie” – pomyślała.

– Co powiedział? – zapytała Massimo.

– Trudno go zrozumieć – odparł. – Jest głupi i nie ma zębów.

Miejsce przeznaczone dla DV znajdowało się na tyłach cmentarza, w części położonej wyżej. Lucy nie miała ochoty dłużej nad nim stać – wyglądało tak jak inne. Massimo chyba wyczuł jej niechęć, gdyż po chwili przerwał nie kończący się monolog grabarza i skierował się ku wyjściu. Mężczyzna odprowadził ich do bramy, potem wziął leżącą obok łopatę i wrócił, wciąż mamrocząc do uważnych słuchaczy spoczywających pod powierzchnią jego ponurego terenu.

Włoch i jego amerykańska podopieczna bez słowa ruszyli z powrotem. Lucy nie czuła się najlepiej, przygnębiona sprawą, którą przyszło się jej zająć, i brakiem snu. Marzyła o prysznicu, kieliszku

wina, posiłku – nieważne jakim – i długim śnie. Nie wiedziała, co znajdzie w willi DV, gdzie miała zamieszkać, i nieco się tego bała. Kiedy wsiedli do samochodu, Massimo wyjął plan i przyjrzał mu się w milczeniu.

– Czy do willi jest daleko? – zapytała.

– Nie – odparł. – Tylko kilka minut. *Casa colonica* stoi zaraz za nią. Musimy wziąć klucze od właściciela, który mieszka naprzeciwko willi.

Informacja wprawiła ją w zmieszanie, choć nie była nieoczekiwana – jak wiadomość o kolejnym aresztowaniu niepoprawnego krewnego.

– Co to jest *casa colonica*! – zapytała.

– To dom... jak to się mówi? Gospodarstwo, gdzie pani zamieszka.

– Myślałam, że zamieszkam w willi.

– Nie, na planie oznaczono to inaczej. Pani przyjaciel wynajął wiejski dom i tam panią zabieram.

– Dziwne – powiedziała. – On nazywał to willą.

– Ci ludzie wszystko nazywają willą, nawet zadaszoną szopę dla bydła. To agroturystyka. To okropne.

– Rozumiem – odparła Lucy, chociaż nie rozumiała. – Jeśli tylko znajdę tam gorącą wodę i prysznic, dam sobie radę.

Massimo starannie złożył kartkę z instrukcjami i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Tam jest chłodniej niż w mieście – powiedział. – Poproszę, żeby włączono ogrzewanie.

– A gdzie ty się zatrzymasz?

– W Sansepolcro. Mam tam kuzyna. Przyjadę jutro i zabiorę panią do miasta.

– Dzięki Bogu – odrzekła z wdzięcznością, zapadając głębiej w wygodny fotel. – Dzięki Bogu za ciebie, Massimo.

Uśmiechnął się lekko, po czym zaczął uruchamiać samochód.

Mimo że nic było zbyt zimno, kiedy jechali wokół maleńkiego

placyku i w górę wzgórza do ostatniego oficjalnego miejsca pobytu DV na ziemi, włączył ogrzewanie na maksimum.

ROZDZIAŁ 4

Massimo zatrzymał się przed niewielkim kamiennym domem, którego podwórko ogrodzono niskim, kamiennym murem i siatką. Na podwórku kręciło się niespokojnie kilka kurcząt. Mężczyzna podszedł do drzwi; chciał odebrać klucze, nie mieszając w to Lucy, lecz okazało się to niemożliwe. Para staruszków i ich syn, niecierpliwie oczekujący przybycia gościa, wymogli na nim, by wprowadził Lucy do domu, usadzili ją przy stole w kuchni, podali kieliszek *vino santo* i twardego *biscotto*, po czym pełnym szacunku tonem zaczęli wypowiadać się na temat tragicznego końca signora Vandama. Massimo streszczał ich uwagi, nie przejmując się szczegółami, więc lawina zdań starej damy, skierowana do Massima, męża gospodyni, sufitu – Lucy uznała to za wezwanie zainteresowanego bóstwa – i w końcu do Amerykanki została krótko przetłumaczona jako „wyraży współczucia”.

Lucy wypowiedziała swoje wielofunkcyjne *grazie, molto gentile*. Zadawoleni gospodarze uznali, że wobec tego najwyraźniej świetnie rozumie wszystko, co mówią, i zaczęli mówić jednocześnie, jeszcze głośniej i jeszcze szybciej. Uśmiechnęła się słabo, obronnym gestem podnosząc ręce; Massimo wtrącił kilka słów, uspokajając rozemocjonowanych gospodarzy. „Pewnie powiedział im, że jako głupia Amerykanka nie rozumiem ani słowa” – pomyślała Lucy, gryząc nerwowo ciastko, które opierało się jej wysiłkom, jakby zrobiono je z kamienia.

– Musi pani umoczyć je w winie – poradził Massimo, jednocześnie pokazując jej, w jaki sposób.

– Czy możesz im powiedzieć, że jestem bardzo zmęczona i chciałabym jak najszybciej pojechać do domu? – zapytała Lucy.

– Tak okazują swoją gościnność – zganił ją. – To uprzejmość z ich strony. Byłoby nieładnie wyjść zbyt szybko. – Po czym zwrócił się do syna gospodarzy, pytając go o coś – może, jak miała nadzieję Lucy, o ogrzewanie w domu. Pani domu wskazała Lucy szklaną karafkę, gdyż jej kieliszek stał już pusty.

Inne, jak zauważyła, wciąż były pełne.

– *Volentieri* – odparła Lucy, wyciągając rękę z kieliszkiem.

Massimo rzucił jej szybkie spojrzenie i zmarszczył brwi. „Dlaczego nie?” – odpowiedziała mu bezgłośnie. Jego dezaprobata zamieniła się w pobłażliwość, pełną rozbawienia ciekawość lub po prostu zdziwienie. Zakończył rozmowy – gdyż wydawał się zdolny do prowadzenia jednocześnie dwóch czy trzech, a Lucy popijała słodkie wino. Ku jej uldze młody mężczyzna wydobył ciężkie od kluczy kółko i podał je Massimowi. Gospodyni znów zaproponowała Lucy wino.

– Nie – odparła. – Dziękuję. To bardzo miłe.

Massimo wstał, wypowiadając właściwe słowa do każdej osoby i ściskając im ręce. Lucy powtarzała jedynie *grazie*, jak on wyciągając dłoń i idąc za nim do drzwi. Po kilku chwilach znaleźli się na ciemnym podwórku, razem z kurczakami. Potknęła się na nierównej kamienistej drodze. Massimo chwycił ją za łokieć i doprowadził do samochodu. Wskazał na niski kamienny mur po drugiej stronie drogi – tak długi, że w nocnych ciemnościach Lucy nie widziała, gdzie się kończy. Wciąż trzymając ją za łokieć, Massimo skierował ją ku kunsztownej żelaznej bramie, teraz zamkniętej i zaryglowanej, z dwoma słupkami, na których stały obtłuczone figury. „Zwierzęta – pomyślała Lucy – może lwy”.

– Tam z tyłu znajduje się willa – powiedział Massimo, wskazując pomiędzy dwa rzędy cyprysów. Lucy kiwnęła głową, z ciekawością przyglądając się murowi. Zauważyła, że jego szczyt tworzyły jasne kamienie, częściowo uszkodzone, a w miejscu wyrw porośnięte dzikim winem. Massimo wsiadł do samochodu, Lucy poszła za jego przykładem.

- Kto tam mieszka? – zapytała.
- Rodzina Cinich, bardzo stara – odparł. – Dom, do którego jedziemy, należał do nich. Kilka lat temu signor Panatella, pracujący w banku, odkupił go od nich, zresztą w bardzo złym stanie. Wyremontował go i teraz wynajmuje cudzoziemcom.
- Zatem DV nie był w żaden sposób związany z willą?
- Nie, ale mógł tam bywać. Rodzina Cinich z pewnością interesowała się domem, to naturalne.
- Rozumiem.
- Signor Panatella uznał za bardzo dziwne to, co zrobił pani przyjaciel.
- To, że wpadł do studni? Dziwne.
- Nie, nie to. O tym nie rozmawialiśmy. Powiedział, że dom podzielono na dwa mieszkania. Pani przyjaciel wynajął oba, gdyż nie chciał, by obok ktoś mieszkał.
- Z wyjątkiem Catherine – powiedziała.
- Kogo?
- Był z kobietą. Przynajmniej wtedy, kiedy tu przyjechał. Nazywa się Catherine Bultman.
- Nie – odparł Massimo. – Signor Panatella nie wspominał o tym. Jechali wzdłuż muru otaczającego willę, skręcającego z wdziękiem w lewo. Zaraz za zakrętem dotarli do długiej, wąskiej i wyboistej drogi, właściwie niewiele szerszej od ścieżki biegnącej pod górę przez gaj oliwny. Jasnoszare liście drzew szeleściły na wietrze i wydawały się migotać w bladym świetle księżyca.
- Przynajmniej są tu prawdziwe oliwki – odezwała się Lucy, kiedy Massimo skrzyphiał rączką biegów, szukając takiego, na którym zdoła podjechać, po czym skręcił na ścieżkę i zaczął się mozolnie wspinać.
- Dlaczego miałoby ich nie być? – zapytał, wymawiając dziwnie nazwę drzew.
- Ponieważ DV twierdził, że są, a mam wrażenie, iż wszystko, co do tej pory pisał, to kłamstwa.

- Dlaczego miałyby kłamać w takiej sprawie?
- Kłamał we wszystkim – powiedziała smutno Lucy. – Zawsze.

Zmyślał wszystko.

- W taki sposób nie mówi się o przyjacielu.
- Tak naprawdę nie byliśmy przyjaciółmi – wyznała Lucy. – Był moim szefem.

Massimo rzucił jej pytające spojrzenie i zatrzymał samochód obok czerwonego forda stojącego na podjeździe.

- To chyba wynajęty samochód DV – zauważyła Lucy.

Dom wynurzył się przed nimi nagle, wydobyty z ciemności światłami samochodu. „Nie jest to willa – pomyślała Lucy – ale robi wrażenie”.

– Jesteśmy – odezwał się Massimo, wyłączając silnik. – To ten dom.

Obudziła się nagle, gdy chrapliwy głos wymówił jej imię. Leżała spokojnie, rozglądając się po nieznanym pokoju, i przypominała sobie, gdzie jest i co tu robi. Promienie porannego słońca wpadały do środka przez pozbawione zasłon okno i tworzyły na podłodze z terakoty złote plamy; smuga kremowego światła przebiła się przez stolik obok łóżka i padła na blade haftowane róże na poduszce, tuż obok jej policzka. Lucy sięgnęła po swój podróżny zegarek; nastawiła go poprzedniego wieczoru, zanim położyła się w obcym łóżku tak wyczerpana, że bała się, iż prześpi cały następny dzień – i pogrzeb DV.

Spojrzenie na zegarek uspokoiło ją. Dopiero dziesiąta, ma jeszcze mnóstwo czasu. Przeciągnęła się, ziewnęła i z powrotem zwinęła pod kołdrą. Dlaczego stawy bolały ją tak, jakby dzień wcześniej przesadziła z gimnastyką? W pokoju panował chłód i myśl o postawieniu stóp na zimnych płytkach wcale nie zachęcała do wstawania. Walizka leżała otwarta na podłodze obok drzwi, które, jak przypomniawszy sobie Lucy, prowadziły do wyłożonej mieniącymi się kafelkami łazienki, gdzie poprzedniego wieczoru wzięła odpowiedni, choć nie luksusowy

prysznic. Woda miała żalosne ciśnienie, ale była przynajmniej gorąca.

Massimo załatwił wszystko poprzedniego wieczoru. Wniósł jej torby i zapalił piecyk gazowy o wyglądzie nie budzącym zaufania, rozmawiał nawet przez telefon z Jean McKay i uzgodnił telegraficzny przekaz pieniędzy bezpośrednio do jego banku w Rzymie. Obejrzał wraz z Lucy mieszkanie, zaglądał do komórek, otwierał szafki, chwalił remont, który opisał jako „dokładny i w dobrym guście”.

– Dobrze mówisz po angielsku – powiedziała Lucy. Przyjął pochwałę z lekceważącym wzruszeniem ramion.

Najlepsza była zimna kolacja i butelka czerwonego wina, którą znaleźli w przykrytym ściereczką koszyku na kuchennym stole. Jak wyjaśnił Massimo, signora Panatella zostawiła ją dla niej. Lucy głodnym wzrokiem przejrzała zawartość koszyka: ser, chleb, kilka grubych plastrów pieczonej wieprzowiny i talerz czegoś zielonego, lśniącego od oleju i upstrzonego drobinami prażonego czosnku – czy to szpinak?

– *Cicoria* – wyjaśnił Massimo. Ku jej uldze odmówił towarzyszenia jej w tym prostym posiłku. Wyjaśnił, że dla niego jest za wcześnie na kolację, zresztą, zje ją z kuzynem w Sansepolcro. Dał jej klucze, uściśnął dłoń i przyjął kolejne podziękowania. Wydawał się roztargniony, jakby chciał już jechać. Lucy patrzyła, jak szedł szybko do samochodu po wysypanej żwirem ścieżce. Potem, sama rozkojarzona myślą o pieczeni wieprzowej, zamknęła drzwi na klucz i poszła prosto do kuchni;

Kiedy zjadła i wypła kilka kieliszków wina, obeszła całe mieszkanie, bogate w płytki i odkryte belki, lecz ubogie w wygodne meble. Zaprojektowano je z myślą o wczasowiczach – wyposażono w przedmioty lśniąco, praktyczne i jak najtańsze. Jednak łóżko okazało się solidne i stare, a materac twardy. Był to słoneczny dom – a raczej stanie się taki, kiedy wszędzie słońce. Stare okna wymieniono na nowe, izolowane i z mosiężnymi klamkami. Pod wpływem impulsu Lucy otworzyła jedno i wyjrzała w chłodną, czarną, absolutnie cichą noc – panowała taka cisza, że niemal się ją czuło. Nad głową migotały

zimno gwiazdy. Daleko przed sobą widziała rząd czarnych cyprysów, stojących jak wysocy strażnicy na szczycie szarego wzgórza, a jeszcze dalej – kolejne wzniesienia, które nikły w oddali jak namalowany czarną akwarelę obraz, jeszcze mokry od farby. Po tych wzgórzach chodził od miasta do miasta święty Franciszek, żebrząc i głosząc kazania; później nadszedł Giotto – a za nim jego pomocnicy, niosący jego słoiki i garnki z farbami – krocząc krętą drogą do Asyżu, by unieśmiertelnić historię świętego. A może to Cavallini, a nie Giotto – nie udowodniono jeszcze ostatecznie autorstwa fresków w Asyżu. Lucy zamknęła okno, czując dreszcz emocji, i poszła wypróbować prysznic.

Teraz, na wspomnienie przepięknego widoku, zrezygnowała z dalszego snu, odrzuciła kołdrę i usiadła na brzegu łóżka.

W kuchni został chleb; widziała też ekspres do kawy, na pewno znajdzie więc i kawę. Dotykając stopami starych płytek, krzyknęła cicho z zaskoczenia. Nagle przypomniała sobie głos, który usłyszała – chrapliwy, pełen złości, mówiący jej imię prosto do ucha. Obudziła się przerażona, teraz też odtworzyła go w pamięci, gdyż rozpoznała od razu, kto tak niecierpliwie wołał ją we śnie.

To był DV.

ROZDZIAŁ 5

Telefon zadzwonił cztery razy, zanim Lucy znalazła aparat zainstalowany niewygodnie pomiędzy lodówką a framugą drzwi kuchennych. Na jej pełne wahania „halo” odpowiedział znajomy, głęboki głos.

- Signora Stark, tu Massimo.
- Dzień dobry – odparła. – Jak się masz?

Świetnie, lecz dzwonił, by powiadomić ją o zmianie godziny pogrzebu. Przesunięto go na później, by zdążył przylecieć Stanton Cutler, wydawca DV, który poprzedniego wieczoru wyleciał z No-

wego Jorku do Florencji. Poprosił, by ceremonię, taką, jaką przygotowano, odłożono do jego przybycia. Wydawca DV z Mediolanu również zdecydował się przyjechać i dołączy do nich w Ugolino. Jeśli nie znajdą inne zmiany, co zawsze jest możliwe Massimo przyjedzie po nią o czwartej. Miał nadzieję, że spała dobrze i do tego czasu będzie gotowa.

– Świetnie – odparła. – Będę gotowa.

„Stanton Cutler – pomyślała, odkładając słuchawkę – albo Cootler, przez »u« zamiast »a«, jak wymawiał go Massimo”. Zobaczyć go, jak góruje nad mieszkańcami Ugolino, to naprawdę coś. On i policjanci ubrani będą w garnitury Armaniego, ale poza tym tak niepodobni. Cutler, nowojorczyk do szpiku kości, przyzwyczajony do podróżowania pierwszą klasą, z największą szybkością, bez zahamowań i żalów – znamienita, bardzo poszukiwana figura w zabieganym świecie wydawców – miał reputację człowieka posiadającego wyrafinowaną, pielęgnowaną wrażliwość połączoną z niezawodnym wyczuciem tego, jaką dawkę inteligencji zniesie masowy odbiorca. Wysoki, bezpośredni, czarujący, dobrze wykształcony i zamożny, fascynował Lucy, która nie mogła zrozumieć, jak człowiek na takim poziomie mógł poświęcić tyle czasu, energii i inteligencji nie kończącym się, męczącym płodom pisarza tak słabo znającego własny język jak DV. Dzięki temu szczególnemu zamiłowaniu Cutler zgromadził całkiem niezłą fortunę dla firmy i dla siebie; on najbardziej ze wszystkich mógł odczuwać ukłucie prawdziwego żalu na myśl, że cykl powieści Vandama już nie będzie kontynuowany. Dobrze, że zdobył się na wysiłek, by stanąć nad jego grobem i powiedzieć słowa dodające odwagi, ale i pełne szacunku do zgromadzonych żałobników, niezależnie od tego, jak będą nieliczni i niezainteresowani. Lucy poszła przejrzeć swą garderobę. W obecności Stantona Cutlera pogrzeb przekształcił się w prawdziwą ceremonię, a nie nędzny substytut, jakiego się spodziewała. Jak mocno pogniótł się czarny jedwabny komplet? Czy w domu znajdzie żelazko?

Przed pierwszą walizką była już rozpakowana, komplet wisiał w

zaparowanej łazience, a Lucy pozwoliła sobie na kolejny gorący prysznic. Potem włożyła najwygodniejsze ubranie i chodziła po pokojach, wycierając włosy. Słyszała ćwierkanie ptaków wśród drzew za oknem, poza tym spokojne i czyste powietrze wypełniała cisza. „Słynne światło” – pomyślała, przyglądając się swojej dłoni w nim, obrysowującym kształt stołu w pokoju gościnnym. Przy niewygodnym plastikowym krześle, na stojaku, leżało kilka czasopism, dwa po niemiecku, trzy po włosku. Zapewne rodzina Panatellich posprzątała po śmierci DV. Niemal nie zostawili śladów świadczących o tym, że ktoś tu mieszkał. Gdzie podziały się choćby ubrania DV?

Wtedy zaświtało jej, że DV nie korzystał z tego mieszkania. Miał przecież dwa, a to, złożone z saloniku, sypialni i kuchni, było zapewne mniejsze. Lucy rzuciła ręcznik w łazience i poszła do kuchni, gdzie Massimo zostawił klucze. Na kółku znalazła ich sześć, jedno nowe, inne stare, wygładzone i pociemniałe od długiego używania. Na pewno nikt nie sprzeciwi się, jeśli uporządkuje rzeczy DV; prędzej czy później i tak jej przypadłoby to w udziale.

Drzwi kuchenne prowadziły na mały kamienny taras. Poprzedniej nocy niemal go nie zauważyła. Stały na nim wielkie doniczki z geranium, a pod okapem dachu postawiono kuty żelazny stół i dwa krzesła. Z jednej strony kamienne schody wiodły na podjazd. Lucy poszła nimi do miejsca, gdzie Massimo zaparkował samochód. Stamtąd będzie mogła zobaczyć cały dom.

Był to przepiękny stary budynek w malowniczym otoczeniu, zlokalizowany na zboczu niskiego wzgórza pomiędzy rozrzuconymi cyprysami i sosnami. Kamień miał kolor ochry; nad głównym wejściem zwieszało się pnącze purpurowej bugenwilli. Delikatne kwiaty drżały w lekkim wietrze, jakby oddychały. Mieszkania sprytnie zaprojektowano tak, by miały osobne wejścia; każde z własnym tarasem. To, w którym spała Lucy, zajmowało część domu wysuwającą się nad podniesieniem terenu, co dawało mu więcej prywatności – można się było do niego dostać tylko kamiennymi schodami.

Pobrzękując kluczami, Lucy podeszła do oplecionych pnączem drzwi. Zauważyła w nich dwa zamki, stary i nowy; po kilku próbach udało się jej otworzyć oba. Weszła do długiego pokoju o białych ścianach. Wzdłuż sufitu biegła jedna odsłonięta belka, wręcz pień drzewa. Na skromne umeblowanie składały się: sofa z narzutą w kratkę, dwa krzesła, takie same, jak te w pokoju Lucy, i barek na kółkach. Ustawiono je wokół dużego kominka pełnego popiołu i resztek spalonego drewna. Para żelaznych szczypiec do ognia i pogrzebacz były do połowy zanurzone w popiele, a reszta spoczywała na ceglach przed kominkiem. Lucy stanęła obok drzwi, przypominając sobie Złotowłosą i trzy niedźwiadki. Rozejrzała się wokół, a następnie szybko przeszła przez pokój i pobiegła po schodach na górę.

Na półpiętrze zobaczyła troje drzwi. Jedne z nich były otwarte i ukazywały ekstrawagancką łazienkę od podłogi po sufit wyłożoną jaskrawymi szmaragdowozielonymi płytkami. Uchyliła najbliższe drzwi i zajrzała do środka, po czym otworzyła je szerzej i weszła, gdyż znalazła to, czego szukała. Pod przeciwległą ścianą stała szeroka sosnowa biblioteczka pełna książek – zawartość trzydziestu pudeł, które DV ogromnym kosztem sprowadził ze Stanów, obok zaś – z białym na równym poziomie z oknem – długi stół na krzyżakach pokryty ułożonymi w równe stosiki papierami i notatnikami. W jednym końcu zobaczyła starą maszynę do pisania Royal, a pod drugim oknem wąskie żelazne łóżko i stolik, a na nim dwie złożone kartki. Zaczęła od nich – jedną pokrywały cyfry, a druga okazała się listą zakupów zapisanych pajęczym pismem DV. Zauważyła, że nawet napisanie tej listy stanowiło dla niego wyzwanie. Przekreślił słowo „mleko”, po czym znów zapisał je obok.

Podeszła do stołu i otworzyła oprawiony w skórę kalendarz, który natychmiast rozpoznała; DV zawsze nosił go przy sobie. Podczas sześciu miesięcy spędzonych we Włoszech nic w nim nie zapisał.

– Cóż za bujne życie towarzyskie – powiedziała, przerzucając puste strony. Podeszła ku stosom papieru. Jednym z nich był oryginał rękopisu, który przesłał jej DV. Drugi najwyraźniej zawierał ciąg

dalszy; na górnej stronie napisał: „Duchy”. Przeczytała pierwsze zdanie: „Malcolm z wprawą prowadził potężnego porsche poprzez sinusoidalne zakręty wijącej się tokańskiej drogi”. Leżały tam również puste notesy, teczki pełne kwitków z kart kredytowych, dokumentów ubezpieczeniowych i najróżniejszych przesyłek; nowe, nie napoczęte paczki papieru maszynowego, szklanka pełna długopisów i ołówków – wszystko uporządkowane. To nie przypominało postępowania DV. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jakichś śladów, lecz nic nie znalazła. Przeszła więc do drugiego pokoju.

Była to sypialnia, z meblami równo ustawionymi pod jedną ścianą: szafa, stolik, podwójne łóżko – wszystko z tego samego żółtawego drewna, w te same rzeźbione owocowe wzory. Pod szafą zauważyła rząd drogich butów, które rozpoznała jako własność DV. Otworzyła podwójne drzwi, mimowolnie przyprawiając siebie samą o nerwowy podskok na widok własnego odbicia w lustrze. Szafę wypełniały jego ubrania. Swetry, płaszcze i spodnie wisiały po jednej stronie, skarpetki, koszulki i bielizna, starannie złożone, zapępiały boczne półki. Pod wpływem widoku złożonej bielizny ogarnął ją niewypowiedziany smutek. Uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie zastanawiała się, jaką bieliznę nosi DV. Teraz wiedziała: wołał krótkie slipy od bokserek i lubił pastelowe kolory.

Miała zamknąć szafę, kiedy jej wzrok padł na coś, co częściowo zakrywały wiszące wyżej płaszcze. Był to blok rysunkowy – tani, używany przez malarzy do szkiców. Lucy wyjęła go ostrożnie i odwróciła papierową okładkę.

Stronę wypełniała postać nagiego mężczyzny; dzięki umiejętnościom autora poczucie kompletności i rozmiary rysunku osiągnięto przez zastosowanie bardzo oszczędnej kreski. Włosy stały mu dęba, zamiast oczu miał czarne dziury, a usta wykrzywione w grymasie bólu. Przyczyna jego cierpienia była widoczna: jego tułów od szyi w dół płonął. Jak gdyby chcąc podkreślić ogrom swego bólu, mężczyzna na rysunku trzymał w dłoniach rozdarte na pół ciało, ukazując wnętrze jamy brzusznej oraz klatkę białych żeber i pod nimi czarną plamę

serca. Rysunek budził przerażenie – miał wstrząsać widzom – ale najbardziej przestraszyła Lucy twarz mężczyzny, którą natychmiast rozpoznała pomimo karykaturalnych zniekształceń, oczodołów zamiast oczu i odsłoniętych zębów przypominających końskie – zobaczyła DV.

Zaniosła rysunek do łóżka, włączyła nocną lampkę, gdyż rolety były spuszczone, a światło słabe, i stała, wpatrując się w niego przez kilka chwil. Zatem Catherine przebywała tu. Czy ta koszmarna wizja to jej pożegnalny prezent dla DV? Przekartkowała resztę bloku, ale nic nie znalazła. Wyciągnęła rękę, by zgasić lampę, ale przedtem, pod wpływem impulsu, otworzyła szufladę nocnej szafki.

Wewnątrz leżała tylko koperta. Lucy wyjęła ją i odwróciła – żadnego adresu ani znaczka. Wyjmując i rozkładając dwie kartki ze środka, zauważyła jednocześnie kilka rzeczy: nie było na nich daty, litery pogrubiono – pismo wyglądało na męskie – list napisano po włosku, a nagłówek brzmiał cieplej niż w oficjalnych listach: *Carissima, amatissima Caterina*. Dotarła wzrokiem do podpisu: *Ti abbraccio, tesoro mio, Antonio*.

Lucy widziała Catherine i DV razem tylko kilka razy, ale to jej wystarczyło, by dojść do wniosku, że Catherine miała naturę bardziej żywiołową i wolę o wiele silniejszą niż DV. Na jakiś czas udało mu się skłonić ją – Lucy nie miała pojęcia, w jaki sposób – by przyjęła jego zaloty. Ustępował jej, chciał zmienić dla niej swoje życie. Związek z „prawdziwą” artystką, jak wyznał Lucy w rzadkiej chwili szczerości, zmienił wszystko. Czuł, jakby oddychał świeższym, bardziej bogatym w tlen powietrzem. Był pełen życia, zachłystywał się nim; wierzył, że jest zakochany.

Przenosząc spojrzenie z listu na obrazek, Lucy poczuła mrowienie biegnące wzdłuż kręgosłupa. Ślepe przerażenie DV wydawało się wybiegać poza kartkę, sięgać po nią i wciągać ją w siebie.

– Co tu się stało, DV? – zapytała.

Nagle serce podskoczyło jej do gardła: usłyszała ciężkie kroki kogoś idącego szybko po schodach. Zanim zdołała się poruszyć, w

drzwiach stanęła stara kobieta, która poprzedniego wieczoru częstowała ją *vino santo*. Na jej twarzy gościł zwykły przymilny uśmiech, jednak nie do końca ukrywający również zawsze obecną podejrzliwość. Lucy wrzuciła list do szuflady i szybko zamknęła blok, a kobieta zarzuciła ją potokiem słów.

– *Non ho capito* – odezwała się Lucy, zamykając szufladę i idąc w kierunku gościa. – *Mi dispiace*.

Signora zaczęła trajkotać ponownie, jeszcze szybciej, ale tym razem Lucy zdołała wyłowić słowo *pranzo* i zrozumiała, że ma iść za nią, gdyż ta przygotowała dla niej posiłek. Zeszły razem na zalany światłem słońca podjazd; signora Panatella cały czas mówiła. Jej samochód, wyglądający na równie nieprzewidywalny i wybuchowy jak jego właścicielka – choć było to tylko przypuszczenie Lucy – stał przy wjeździe, z drzwiami po stronie kierowcy otwartymi na oścież. Zatem kobieta podjechała, dostrzegła drzwi, które Lucy zostawiła lekko uchylone – musiała mieć doskonały wzrok – i od razu weszła, by sprawdzić, co robi Amerykanka. Teraz podeszła do samochodu, przechyliła się nad siedzeniem kierowcy i wyjęła koszyk. Doleciał z niego tak kuszący aromat, że Lucy myślała już tylko o tym, by podejść bliżej.

– *Signora* – powiedziała – *grazie tante. Molto gentile*, to bardzo miło z pani strony.

Dno było ciepłe; kobieta pouczyła ją, by jedną ręką trzymała koszyk od spodu. Po czym, gwałtownie machając rękami w odpowiedzi na podziękowania i wyrzucając z siebie mnóstwo słów, z których udało się jej wychwycić kilka razy jedno – *niente* – wsiadła do swego wiekowego pojazdu, uruchomiła silnik i odjechała, zostawiając Lucy trzymającą koszyk i mrugającą nerwowo w popołudniowym słońcu. Czowała się zganiona, a jednocześnie dziwnie wdzięczna, jak dziecko odesłane z naganą do pokoju, jednak bez ostrych słów, a w końcu otrzymujące niespodziewany podarek, by zmniejszyć upokorzenie słusznej nagany.

Pogrzeb DV był prosty, bez księdza. Przyszli na niego ludzie w większości tylko luźno związani ze zmarłym.

Żałobnicy zebrali się na placu w Ugolino i po wzajemnym przywitaniu się przeszli na cmentarz, gdzie – na rusztowaniu z cienkich desek i sieci lin nad ciemną, głęboką dziurą w ziemi – stała już trumna. Lucy zdziwiła liczba miejscowych, ubranych jak przystało w czerń, którzy przyszli pożegnać amerykańskiego pisarza. Była cała trójka Panatellich i rodzina Cinich („Arystokraci” – pomyślała Lucy. „DV by się to podobało”): babcia – maleńka, białowłosa, czarnooka dama o ostrym nosie z laską w dłoni, jej syn, którego wiek Lucy określiła na jakieś siedemdziesiąt lat – choć był to bardzo żwawy i czerstwy siedemdziesięciolatek, nie trapiiony żadnymi dolegliwościami ani otyłością, z masą siwych włosów, które musiały stanowić codzienne wyzwanie dla trzeciego członka rodziny Cinich; jego syn, spadkobierca, doskonale ubrany, lecz mimo to źle wyglądający czterdziestolatek. Siwiejące włosy miał gładko zaczesane do tyłu, jednak na skroniach były bardziej przerzedzone niż u jego ojca i zostały bardzo starannie ułożone, by ukryć łysinę.

Wydawca DV z Mediolanu, Paolo Braggio, który na przywitanie entuzjastycznie objął Massima i radośnie potrząsnął jej ręką, jakby czekał na tę okazję od wielu lat – choć Lucy była przekonana, że nie miał pojęcia, kim ona jest i skąd się wzięła na pogrzebie – łatwo zrezygnował z prób dowiedzenia się o niej czegokolwiek, kiedy przybył Stanton Cutler, który rzeczywiście wydawał się go znać. Signor Braggio był niskim, krępy męczyzną o błyszczących oczach, gwałtownym sposobie bycia i przesadnych gestach. Kiedy Lucy obserwowała, jak obejmuje eleganckiego Cutlera w pasie, uznała, że wyglądają tak, jakby specjalnie mieli stanowić przykład różnorodności typów ludzkich. Leniwe spojrzenie Stantona Cutlera błędziło po zgromadzonych, kiedy nowojorczyk usiłował się uwolnić od swego włoskiego kolegi, z rozbawieniem wzruszając ramionami. „Cóż można poradzić na Włochów?” – wydawała się mówić Lucy jego twarz. Trzeba to po prostu wytrzymać.

Wyszli parami. Lucy naturalną koleją rzeczy podeszła do rodaka.

– To bardzo smutne – powiedział. – I tak nagle.

– Dobrze, że przyjechałeś – odpowiedziała. – Niestety zorganizowaliśmy to w pośpiechu; nie chcieliśmy, by za długo leżał tu w czyjejs łódówce.

– Racja – przytaknął. – Po pogrzebie spokojnie uporządkujesz jego sprawy. Doskonale dałaś sobie radę. To na pewno nie było łatwe.

– Właściwie zrobił to Massimo – przyznała. – Ja tylko podpisałam dokumenty, by mógł dostać telegraficznie pieniądze.

– Zostaniesz w willi?

– To nie willa, tylko budynek gospodarczy – skorygowała Lucy z pełnym politowania uśmiechem.

– Hm. – Stanton spojrział na grupę Włochów przed nimi, wchodzących na wzgórze, gdyż oboje zostali z tyłu. – Spójrz na tę zadziwiającą starą kobietę – powiedział. – Ma pewnie ze sto lat, a wyprzedziła wszystkich.

– Ale jest i willa – ciągnęła Lucy. – Należy właśnie do niej ; DV tam nie mieszkał.

Stanton obdarzył ją współczującym uśmiechem. Od dwudziestu lat był wydawcą DV i lepiej niż ktokolwiek inny znał jego niedbały stosunek do rzeczywistości.

– Czy miałaś czas zajrzeć do jego papierów?

– Tylko chwilę – odparła. – Nie ma tego zbyt dużo.

Stanton szeroko otworzył niebieskie oczy.

– Znalazłaś drugą część rękopisu?

– Nie – odpowiedziała. – Czy go skończył?

– Chyba tak. Miał mi go przysłać w ciągu tygodnia. DV nigdy się nie spóźniał, gdyż zawsze potrzebował pieniędzy.

– To prawda – zgodziła się. – Dzień przed jego śmiercią dostałam pierwszą połowę, ale nie powiedział, że skończył. Może w domu znajduje chociaż szkic. Będę musiała sprawdzić.

– Może ci pomogę – zaproponował Stanton. – Jeśli będziemy mieli czas po pogrzebie.

W tej chwili doszli do bramy cmentarza, przy której stał brudny grabarz i machał ręką, jakby witał zaproszonych na kolację gości. Znaleźli drogę wśród grobów i ustawili się wokół trumny.

Lucy stała po stronie głowy, a może zresztą w nogach – nie potrafiła tego rozróżnić, gdyż prosta trumna nie dawała żadnej wskazówki – pomiędzy Massimem a Stantonem Cutlerem. Czuła się źle. Bolało ją gardło, stawy, było jej niewygodnie i gorąco, chociaż świeże powietrze cudownie ją chłodziło. Z leżących wokół pól dolatywał ponad murami cmentarza zapach świeżo skoszonego siana.

Pierwszy miał przemawiać Paolo Braggio, tłumaczony przez Massima, potem Stanton Cutler. Lucy zrezygnowała z okazji wygłoszenia komentarza do życia i śmierci swego pracodawcy. Ktoś, zapewne Stanton, zdołał zamówić ogromne bukiety kwiatów – jeden z nich niemal zakrywał wieko trumny. Przy drugim końcu stały na drucianych podporach dwa kolejne. Były wielkie i pochłonęły pewnie mnóstwo pracy oraz pieniędzy; po otrzymaniu zamówienia właściciele miejscowej kwiaciarni musieli odłożyć słuchawkę z okrzykiem radości.

Paolo Braggio zaczął przemówienie – wolno i poważnie, przy końcu każdego zdania przerywając, by dać Massimowi czas na przetłumaczenie. To smutna okazja, stwierdził, choć nie wyglądał na przygnębionego; były od niego żywotność, zdrowie i energia. Był to człowiek, który uwielbiał mówić i zawsze miał coś do powiedzenia; dar wymowy nigdy go nie zawodził. Lucy obserwowała innych żałobników. Słuchali uważnie, przyciągnięci jego pewnością siebie. Nawet stara signora Cini, której niestrudzone spojrzenie nie zatrzymywało się nigdzie na dłużej, zmierzyla go pełnym satysfakcji wzrokiem. Massimo zdawał się bardziej ożywiony niż kiedykolwiek przedtem; tłumaczył bardzo wiernie. Czasami zatrzymywał się, by znaleźć najlepszy angielski odpowiednik włoskiego słowa. Jego jasne oczy rozbłysły, kiedy napotkały jej spojrzenie, jakby chciały przyciągnąć jej umykającą uwagę. Braggio rozwodził się nad związkami literatury amerykańskiej z włoską i emocjami, jakich dostarczało jego

zajęcie – wymiana myśli pomiędzy dwiema kulturami, jedną uosabiającą mądrość przeszłości, drugą – nadzieję na przyszłość. Według niego DV przyciągnęło do Włoch to samo, co innych amerykańskich pisarzy – tu wymienił kilka nazwisk – i co nadal będzie ich przyciągać.

Jednym z wymienionych pisarzy był Henry James – i Braggio, i Massimo wymówili jego imię i nazwisko jak jedno słowo: „ęridzajms”. Absurdalne brzmienie tego słowa, pomysł porównania wielkiego kronikarza amerykańskiej niewinności i doświadczenia z DV rozbawiły Lucy. Spuściła wzrok, usiłując zapanować nad uśmiechem. Przywołując się do porządku, zmusiła się do skupienia uwagi na trumnie i przypomniała sobie, że jej zawartość była kiedyś jej pracodawcą.

Podziałało; spoważniała natychmiast tak bardzo, że znów poczuła się źle. Signor Braggio nadal gadał, ale ona już go nie słuchała.

Na tym pogrzebie nie będzie mowy o wierze, żadnych wzmianek o życiu przyszłym ani przypomnienia obietnic czynionych przez tego, kto podobno pokonał bezgraniczne królestwo śmierci. Według DV – i pod tym względem Lucy się z nim zgadzała – wszelkie wyobrażenia o życiu przyszłym to pobożne życzenia. Byłoby to bardzo radosne i pocieszające, gdyby koniec naszego zabieganego życia oznaczał początek czegoś nowego. Sama natura zdawała się przyjmować ideę śmierci i zmartwychwstania – obecną w porach roku i nieskończonym cyklu dni i nocy. Bycie jedynie stosem kości i ścięgien – jak teraz DV – bez czucia i życia, formą pozbawioną świadomej siły, która stanowiła DV – była to nieprzenikniona, okrutna i gorzka tajemnica. „Wszyscy staniemy się kiedyś pustymi skorupami – pomyślała Lucy, wyobrażając sobie śmiertelne szczątki wewnątrz trumny – i nigdy nie zobaczymy piękna świata. Nie, wszystko jest lepsze od tego”.

Wszystko prócz piekła.

Może właśnie na tej drodze Dante natknął się na przewodnika po podziemiach, gdzie cienie potępionych wyrzucały z siebie pełen męki krzyk w próżnym oczekiwaniu żywych. Przypomniała sobie, że

brama do piekła znajduje się gdzieś w Toskanii.

Paolo Braggio zakończył przemówienie, wyrażając żarliwą nadzieję, iż rodacy DV będą pielgrzymować do tej pełnej spokoju doliny, do prostej wsi i skromnego grobu, które poprzez ocean zwały do siebie DV.

„Brzmi to tak, jakby DV miał szczęście, że wpadł do studni” – pomyślała Lucy. Zapanowała cisza. Spojrzała zimno na signora Braggia, ale ten stał ze spuszczoneymi oczami, w pełnej szacunku ciszy, co najwyraźniej było dla niego trudne – póki Stanton Cutler nie poczuł się zobowiązany przemówić.

Stanton patrzył ponad grób na cyprys, którego wierzchołek kołysał się lekko w przyjemnym wietrzyku. Wyglądał na odprężonego, ale czujnego – jak zwykle. Pracował w świecie pełnym histeryków i gadułów, ale nigdy nie wydawał się zaskoczony ani obrażony ich wybrykami. Jak sobie z tym radzi? – zastanawiała się Lucy. Czy to wzrost pomaga mu pozbyć się przyziemnych trosk? Stanton spojrział w dół na Paola Braggia, stojącego w ciszy, zaciskającego dłonie, chrząkającego, wyciągającego szyję, jakby dla uniknięcia ciosu pięści. Zaczął przemowę. Mówił wolniej i ciszej niż Włoch, ale było go doskonale słyhać. Po zakończeniu zdania czekał, by Massimo zdążył je przetłumaczyć. Powiedział, że przyjaźnił się z DV, pracowali wspólnie od wielu lat i będzie boleśnie odczuwał stratę. Wspominał hojność i energię DV. Lucy zauważyła, że nie powiedział nic o jego książkach. DV według niego kochał Włochy i podziwiał mieszkańców kraju za to, że posiadali te same cechy. Lucy uznała to za naciąganie prawdy, ale nie posunięte zbyt daleko. DV rzeczywiście kochał miejsca, w których przebywał, i myślał jak najlepiej o tamtejszych ludziach, co wynikało z jego przekonania, iż oni go podziwiają i ufają mu. Może jego sposób myślenia nie był najgorszy, ale grzeszył niemal karalną naiwnością. Według Lucy to stwierdzenie najlepiej chyba wyjaśniało popularność jego książek. Rozejrzała się wokół po twarzach żałobników. Czy nie lepiej założyć, że ich nieprzenikniony wyraz maskuje jedynie dobre intencje i przyjazne

uczucia? Rodzina Panatellich nie spuszczała oczu z Massima, kierującego do nich swoje tłumaczenie. Rodzice byli parą flegmatyków o twarzach ogorzałych od pracy na dworze w każdą pogodę i zaczerwienionych od pracy rękach zwisających bezwładnie po bokach; nosili spłowiała czerni. Ich syn, Lucio, wyglądał na poważnego, budzącego szacunek mieszczanina, który na pewno spełnił wszystkie nadzieje rodziców, a teraz kierował ich życiem z takim samym namiętnym zainteresowaniem, z jakim oni kiedyś odnosili się do niego. Naprzeciwko nich, po drugiej stronie grobu, rodzina Cinich roztaczała zupełnie inną aurę – ziemiańskiej arystokracji. Wydawali się ją wydychać i wdychać z powrotem. Usiłowania Lucy, by wyobrazić sobie jakkolwiek możliwy do kształtowania wewnętrzny krajobraz, kryjący się za tymi twarzami z wyrazem wystudiowanej arogancji, spotkały się z jeszcze większym oporem. Nie, zdecydowała. Ci ludzie nie dali się podbić DV. Nie oczarowało ich nic w ciągu ostatnich kilkuset lat. Stary mężczyzna miał postawę i wygląd drapieżnego ptaka. Syn studiował Stantona Cutlera ze zmęczonym uśmiechem; wyglądał na sprytnego jak lis dekadenta. Stanton zakończył przemówienie podziękowaniami dla zebranych cudzoziemców, którzy przyszli, by pochować przybysza. Włosi zebrali się razem, rozmawiając cicho. Grabarz i ciemny, cuchnący mężczyzna, najpewniej jego syn, zaczęli ciągnąć i popychać deski. Ludzie rozproszyli się, podążając przez cmentarz do miasta. Za sobą słyszeli szorstkie uwagi, skrzypienie i trzeszczenie desek, po których trumnę umiejętnie spuszczano do grobu.

Przy bramie cmentarza Stanton i Massimo zatrzymali się, by uściśnąć dłonie przybyłym. Najpierw podeszła rodzina Panatellich, mruczając kondolencje, których Massimo już nawet nie tłumaczył. Paolo Braggio mówił dość sporo, ale chodziło mu głównie o to, że wraca do Mediolanu i spotka się ze Stantonem za kilka tygodni, na targach książki we Frankfurcie. Kiedy mówił, Cini czekali spokojnie na swoją kolej. Stojący niedaleko Lucy ich syn zamienił kilka słów z ojcem, po czym, ku jej zdziwieniu, zwrócił się do niej po angielsku,

choć z silnym akcentem.

- Czy jest pani agentką tego pisarza?
- Nie – odparła. – Jego asystentką.
- Pomagała mu pani pisać? – Uniósł ze zdziwieniem brwi.
- Nie – odpowiedziała Lucy, zdając sobie sprawę z niewłaściwości użycia czasu teraźniejszego. – Zajmowałam się jego sprawami, na przykład pocztą. I przepisywałam jego powieści na komputerze.

Signor Cini uśmiechnął się lekko, zamykając na chwilę oczy, jakby spotkał się z nieoczekiwaną nieprzyzwoitością.

- A, tak – powiedział. – Komputer.

W tej chwili jego ojciec przerwał mu szorstkim pytaniem, na co syn odpowiedział ostro czymś, co Lucy uznała za odpowiednik „zamknij się”. Paolo Braggio uwolnił w końcu dłoń Stantonowi i Cini przesunęli się do przodu. Lucy została w niezręcznym miejscu obok latorośli rodu i jego matki, która mierzyła ją nieufnym spojrzeniem, nie odzywając się. Syn zwrócił się do niej i zaprosił ją na kolację do willi.

- Będziemy szczęśliwi, jeśli pani do nas dołączy – zakończył.

Massimo, którzy chyba uznał to za doskonały pomysł, zaproponował Stantonowi:

- Zawiozę pana później do Florencji. Ruch na drodze będzie mniejszy, a ja i tak zostaję tam na noc.

Uzgodniono zatem, że Massimo, Stanton i Lucy wrócą do domu, a o dziewiątej – była to pora kolacji Cinich – przyjadą do willi. Nastąpiło kolejne potrząsanie dłońmi, wymiana wymuszonych uśmiechów i uprzejmych uwag. Wyszli przez bramę na zakurzoną drogę wiodącą na plac. Stara para prowadziła, za nią szli Stanton i Massimo, potem Lucy i mężczyzna, o którym myślała jako o synu Cinich.

- Obawiam się, że wśród wszystkich osób, jakie mi przedstawiano, pani imię umknęło mojej pamięci – odezwał się.

- Lucy – odparła. – Lucy Stark.

- Lucy – powtórzył na próbę, ale nie spodobało mu się. – Czy będzie pani przeszkadzać, jeśli będę nazywał panią Lucia?

- Absolutnie – odrzekła.
- *Santa Lucia...* – zanucił znaną piosenkę.
- Przedstawia się ją zawsze niosącą oczy na talerzu – zauważyła

Lucy.

– Studiuje pani świętych. – Miał zwyczaj wypowiedania stwierdzeń w taki sposób, że brzmiały jak pytania.

- Troszeczkę.

Dotarli do samochodów. Ojciec i babka wsiedli już do tyłu i czekali z kwaśnymi minami. Ich spadkobierca i kierowca spojrzali wymownie na Lucy, ukazując jej ciężar obowiązków, jakie na nim spoczywały. Lucy wyciągnęła rękę – ujął ją nieśmiało.

– Do zobaczenia, signor Cini – powiedziała. – Czekam z niecierpliwością.

– Lucia – powiedział, a jego rozbiegane spojrzenie po raz pierwszy napotkało jej wzrok. – Musisz mi mówić Antonio.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy Lucy stała w drzwiach do jadalni w domu Cinich i obserwowała zdumienie i nietolerancję wypisane na twarzy gospodarza, przyszło jej do głowy, że piękne przedmioty nie uszlachetniają duszy swych posiadaczy. Ona sarna mogłaby spędzić kilka godzin na oglądaniu zawartości wielkiego kredensu, o który Antonio Cini opierał swe arystokratyczne plecy. Przypomniała sobie słowa Teresy z Ávila, porównującej niebo do jadalni księżnej Alby, w której święta zobaczyła tyle pięknych przedmiotów, takie bogactwo srebra, złota, klejnotów – wszystko mistrzowsko wykończone – gobeliny, jedwabie, atłasy, barwy, faktury i oślepiające kontrasty światła i cienia, że po wyjściu nie potrafiła opisać niczego, choć wiedziała, iż doświadczenie było niebiańskie. Massimo, ani trochę nie zbity z tropu, przesunął się obok Lucy z ręką wyciągniętą do powitania, co skłoniło Antonia, by się poruszył i z wystudiowaną obojętnością podszedł do

gości. Lucy spojrzała przez ramię za siebie, na korytarz – długi, wysoki, zupełnie pusty z wyjątkiem dwóch figur nagich, lecz skromnie upozowanych młodych kobiet ustawionych po obu stronach olbrzymiej barokowej ramy otaczającej drzewo genealogiczne rodu Cinich. Stanton Cutler podszedł do niej ze zwykłą przyjazną swobodą; na widok gigantycznego drzewa uśmiechnął się krzywo, z zaskoczeniem. Signora Panatella, która wśród usłużnych ukłonów i pomruków przywitała gości w drzwiach, dreptała za nim ze wzrokiem wpatrzonym badawczo w marmurową posadzkę, jakby szukała śladów zniszczenia.

Massimo i Antonio rozpoczęli rozmowę; kiedy dołączyli do nich Stanton i Lucy, przeszli na angielski. Dyskutowali o domu DV i *agriturismo* – jak zauważyła Lucy, ten temat wywoływał silne emocje u jej rzymskiego znajomego. Jak wyjaśnił, jego rodzina, podobnie jak rodzina Cinich, wyprzedła swoje posiadłości poprzednim dzierżawcom i najemcom, niszcząc w ten sposób odwieczne relacje, które służyły wszystkim zainteresowanym. Na przykład jego kuzyn, Deodato Tacchino z Sansepolcro, sprzedał pięćset drzewek oliwnych i szopę wcześniej używaną do przechowywania zimą drzewek cytrynowych, by móc zapłacić podatki i podolać olbrzymim kosztom utrzymania starej willi. Kupiec, rolnik, teraz także współwłaściciel paskudnego supermarketu, zadeklarował, że chce odnowić budynek dla swoich rodziców, mieszkających w budzie przy ruchliwej drodze obok sklepu. Jednak po zakończeniu remontu (bardzo dokładnego, drogiego i najwyższej jakości) rodzice przekonali syna, by wynajął dom rojącym się w okolicy niemieckim turystom, napływającym z okolicznych wzgórz niemal przez cały rok, szukającym ucieczki od swych miłkich klimatów politycznych, społecznych i fizycznych. Zamierzenie zakończyło się natychmiastowym sukcesem: domek przez cały rok zapełniali cudzoziemcy. Istniała nawet lista oczekujących, a niemieckie marki płynęły nieprzerwanym strumieniem. Starzejący się rodzice opiekowali się posiadłością – teraz właściwie hotelem – dostarczali świeże pościele, czasami gotowali oraz zaj-

mowali się rozwiązywaniem problemów gości, których nadzwyczaj trudno było zadowolić. Stara kobieta – zbyt skąpa, by kupić nową pralkę – teraz, na starość, prała od świtu do nocy, gotowała i sprzątała dla dwóch rodzin. Pracowała ciężiej niż kiedykolwiek w życiu. Wszyscy znaleźli się w fatalnym położeniu, ale oczywiście na tym polega postęp. Dlaczego miałby poprawiać życie głupców, którzy za nim gonią?

Lucy z zainteresowaniem wysłuchiwała opowieści, choć jej uwaga wędrowała od Massima, ze swadą sypiącego szczegółami, do Antonia, słuchającego go z lekko zdziwioną miną, jakby dotyczyło to życia na odległej planecie. Na końcu roześmiała się uprzejmie, podobnie jak Stanton – była to przecież opowieść bardzo ironiczna – jednak Antonio Cini popatrzył na nich z zaskoczeniem. Z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, że nie zrozumiał, o co chodzi, ale nie dbał o to. Śmiech ucichł szybko i zapadła nerwowa cisza. „Zapowiada się długi wieczór” – pomyślała Lucy. Miała nadzieję, że usiądzie obok swego rodaka. Podczas rozmowy przemknęła obok nich signora Panatella i weszła do kuchni, zostawiając otwarte drzwi. Dobiegł z niej brzęk garnków i zastawy stołowej oraz wspaniały aromat pieczonego drobiu i ziół – przynajmniej to wyglądało obiecująco.

– Czy mogę zaproponować coś do picia? – odezwał się w końcu Antonio. – Wino czy aperitif? Dysponujemy wieloma rzeczami, które lubią Amerykanie. Jest także whisky, piwo i gin. Nie ma za wiele lodu. Amerykanie uwielbiają lód, prawda?

Stanton i Lucy wybrali czerwone wino, które Antonio nalał z pozbawionej etykiety butelki; określił je jako „własne”. Massimo chciał jedynie popielniczkę. Antonio nalał coś do kryształowej szklanki i skinął dłonią w kierunku rzeźbionych, podwójnych drzwi na końcu pokoju.

– Usiądźmy na zewnątrz, na tarasie – zaproponował. – Chyba że jest wam zimno.

Ku zaskoczeniu Lucy, Massimo, całe popołudnie narzekający na zimno, zgodził się z taką samą skwapliwością, z jaką przyjął pomysł

uczestniczenia w kolacji – a przecież zmuszało go to do dwugodzinnej jazdy powrotnej po krętych wiejskich drogach już dobrze po północy. Antonio zamasyżył ciężkie drzwi; wpadło przez nie zimne powietrze. Lucy poszła za innymi na szeroki kamienny balkon. Był piękny, choć niewygodny. Krzesła wykonano z kutego żelaza i ustawiono wokół stojącego niepewnie na popękanej posadzce stołu. Lucy owinęła się ciasniej kaszmirowym szalem, ciesząc się, że go zabrała, i zajęła wskazane przez Antonia miejsce. Oparła się o zimny kamień ściany domu, otoczony półkolistą balustradą, za którą migotanie gwiazd i krzyk nocnych ptaków przypominały o istnieniu świata natury.

Lucy natychmiast rozpoznała dom – była to willa Malcolma Manxa. Wejście z bliźniaczymi posągami, ponure portrety wyzierające ze ścian jadalni, olbrzymi stół z ciemnego drewna, szafka, na której Antonio nalewał drinki, a teraz taras, skąd Malcolm Manx po raz pierwszy dostrzegł ducha partyzanta. Oczywiście DV przesadził we wszystkim. W powieści przedstawił domostwo jako masywne, starożytne, popękane i złowrogie, podczas gdy w rzeczywistości roztaczało raczej aurę melancholii niż napięcia, a pokoje, choć bardzo przestronne i o niezwykle grubych ścianach, nosiły wyraźne ślady wielu stuleci przeróbek według zmieniających się gustów i stylów. Chociażby światło na balkonie – małe, niczym nie osłonięte żarówki w kształcie płomieni, umocowane na zakończeniach widocznych kabli elektrycznych w górnych rogach łoży, nie były ani praktyczne, ani estetyczne. Z tego powodu sufit tonął w półmroku. Przedstawiono na nim delikatnie namalowaną, beztroską scenę – tańczące kobiety, trzymające w uniesionych rękach girlandy z kwiatów; w centrum znajdował się iluzjonistyczny fresk – kopiała otwierająca się na wiecznie błękitne niebo. Lucy odchyliła się do tyłu, by przyjrzeć się temu cudowi, podczas gdy Stanton dziękował Antoniowi za obecność na pogrzebie DV.

- Czy dobrze go pan znał? – zagadnął.
- Prawie wcale – odparł Antonio.

– A jednak on tu był – wtrąciła Lucy, pochylając się do przodu, by rozluźnić mięśnie szyi napięte od wpatrywania się z podniesioną głową w sufit.

– Przepraszam? – zdziwił się Antonio.

Lucy spojrzała na Stanton, który odpowiedział jej uważnym spojrzeniem.

– Był w tym domu – powtórzyła. – Opisał go w książce.

Antonio poruszył się lekko. Może chciał jedynie rozprostować plecy lub pochylić ramiona w kierunku gościa – wykonał ledwie dostrzegalny, trwający krótką chwilę ruch, lecz zauważyli go oboje. Jak później uznała Lucy, stanowił deklarację wrogości.

– Napisał książkę o moim domu?

– Zaczął, ale jej nie skończył. Przynajmniej nic o tym nie wiemy. Stanton uważa, że mógł ją skończyć, ale nie znaleźliśmy drugiej części.

– Może już ją wysłał – rzucił przypuszczenie Stanton. Była to teoria nadziei.

– Może – zgodziła się Lucy. – Widziałam jedynie pierwszą część. Rozgrywa się tutaj, nie mam co do tego wątpliwości. Opisał ten pokój. – Rozejrzała się z uznaniem wokół. – Czy znajduje się tu kaplica?

– Owszem – odpowiedział Antonio. – Ale jestem pewien, że wasz przyjaciel nigdy w niej nie gościł. Jedyne wejście do niej prowadzi przez apartament mojego ojca.

– Większość dużych willi ma kaplice – zauważył Massimo, gasząc niedopałek papierosa w popielniczce trzymanej na kolanach. – Może widział podobną w innym miejscu.

– Mam nadzieję, że w książce nie opisano członków mojej rodziny – powiedział Antonio. Było to jedno z jego stwierdzeń-pytań, które, jak zauważyła Lucy, charakteryzowały jego wypowiedzi.

– Nie sądzę – odparła. – Chyba że macie ducha, który nocą spaceruje po podjeździe.

Massimo parsknął. Zapalał właśnie kolejnego papierosa i nagle dmuchnięcie przechyliło płomyk. Lucy zauważyła zmarszczki roz-

bawienia w kącikach jego oczu, kiedy wkładał bibułkę z tytoniem w uciekający płomień. Uśmiechnęła się do niego.

Antonio nie był w nastroju do żartów.

– Co za duch? – zapytał chłodno.

– Duch zmarłego partyzanta – wyjaśniła Lucy. – Baskijskiego pochodzenia. Zamordowany na podjeździe przez nazistów w czasie wojny.

– Muszę poprosić, abyście nie wspominali o tym w obecności mojego ojca.

Wypiwszy wino, Stanton pochylił się, by postawić kieliszek na stole.

– A więc duch istnieje?

– Oczywiście, że nie – zgromił go Antonio, po czym zwrócił się do Lucy: – Ale mój krewny został zabity w czasie wojny w bardzo podobnych okolicznościach. Jednak nie miał baskijskich przodków. Nie wiem, skąd wasz przyjaciel dowiedział się o tej smutnej rodzinnej historii, ale mój ojciec byłby oburzony, gdyby okazało się, że cudzoziemiec zrobił... – przerwał, szukając słowa oddającego w pełni jego uczucia – ...zrobił z tego sensację w podrzędnej powieści. Chodzi o stryja, brata ojca. Czuł się z nim bardzo związany.

– Oczywiście – zgodziła się Lucy. – Nie wspomnimy o tym.

Spojrzała na Stantoną, by sprawdzić, czy nie będzie próbował bronić powieści DV, ale jego uwagę przyciągnęło nagle poruszenie w jadalni. Antonio wyprostował się.

– Oto i mój ojciec – powiedział. – Wejdzmy.

Signor Cini wyłonił się z ciemnego korytarza, a za nim jego matka, mrucząc do niego z irytacją. Nie zwracał na nią uwagi, kierował się prosto do stołu, przy którym zajął swoje najwyraźniej stałe miejsce. Z kuchni nadeszła signora Panatella w towarzystwie kobiety mogącej być jej bliźniaczką, niosącej dwie wielkie plastikowe butelki z wodą. Siedzący dotąd w łoży weszli do pokoju; prowadził ich Antonio, wskazujący im miejsca przy stole. Lucy usadzono pomiędzy Massimem a babcią, Stantoną przy starym mężczyźnie po drugiej stronie

stołu, Antonio zaś zajął miejsce u szczytu. Zamieszanie, powitania starszych Cinich, zajmowanie miejsc, nalewanie wody i wina do kieliszków oraz pojawienie się pierwszego wielkiego półmiska rozproszyły leniwy, nieco ciężki nastrój, który zapanował na tarasie. Ku uldze Lucy signora Panatella na krótkie polecenie signory Cini przeszła przez pokój i zasunęła drzwi łoża. Przez kilka minut wszyscy zajęci byli podawaniem sobie półmisków i waz oraz nakładaniem potraw. Lucy, ze względu na to, że w ciągu dnia bardzo mało zjadła, czuła trzy zwalczające się uczucia: krańcowe zmęczenie, doskwierający głód i narastające mdłości. Poczęstowała się fasolą, tostem z pastą z wątroby, plastrem *prosciutto* i kilkoma oliwkami; każde danie brała od Massima i przekazywała je dalej do Antonia, który nakładał małe porcje swojej babci. Staruszka wbiła swe ostre spojrzenie w talerz. „Zmusza jedzenie do posłuszeństwa” – pomyślała Lucy. Ta myśl wywołała na jej twarzy uśmiech. Jej spojrzenie napotkało wzrok Antonia, obserwującego ją znad podawanego jej koszyka chleba. Miał zaciśnięte usta, lekko uniesione – jakby pytająco – brwi, lecz oczy pozbawione jakiegokolwiek zainteresowania czy rozbawienia. Lucy podała chleb dalej, do Massima, i przelknęła pół kieliszka doskonałego wina.

– Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za nieuprzejmego, Lucia – odezwał się Antonio – jeśli zapytam, jak długo masz zamiar z nami pozostać.

– Oczywiście – odparła. – Jednak nie sądzę, żebym potrafiła zadowalająco ci odpowiedzieć. Mam kilka spraw do uporządkowania: muszę zorganizować transport książek signora Vandama, oddać jego samochód, przejrzeć papiery, które pozostawił. Umowa najmu wygasa pod koniec miesiąca, jak mi się wydaje.

– Signor Panatella jest tym oczywiście bardzo zainteresowany – ciągnął Antonio. – Ma, jak to mówicie... – podniósł brodę, włączając w zasięg głosu Massima – ...listę oczekujących.

Podanie drugiego dania – jak stwierdziła Lucy, zaraz po pierwszym – odwróciło uwagę gospodarza od jej osoby. Potraw było tyle,

że do signory Panatelli i jej towarzyszkę dołączyła trzecia kobieta, zmysłowa brunetka o błyszczących oczach, z włosami ledwie podtrzymywanymi przez czerwoną wstążkę. Lucy zauważyła, że stary signor Cini na jej widok ożywił się. Usiadł wyprostowany na krześle, a kiedy kobieta stawała w pobliżu, wyciągał rękę, by jej dotknąć tam, gdzie mógł sięgnąć. Zaśmiała się, kiedy jego palce zacisnęły się na jej przedramieniu, i prowokacyjnie nachyliła się nad nim, by postawić talerz na stole. Podniósł głowę, wdychając jej zapach – najwyraźniej tak upajający, że całkiem się w nim zatracił. Zamknął oczy i rozluźnił uścisk; kobieta wyslizgnęła się. Po chwili stół został zastawiony półmiskami, a biesiadnicy znów rozpoczęli ceremonię podawania ich sobie nawzajem. W powietrzu rozeszły się apetyczne zapachy i zmieszały z cichymi okrzykami zachwytu wydawanymi przez tych, którzy już spróbowali potraw. Lucy zdecydowała się na duszone mięso; po skosztowaniu go wiedziała, że nigdy wcześniej nie jadła niczego takiego.

– *Cinghiale* – powiedział Antonio, a Massimo dodał: – Dzik. To specjalność tego regionu.

– To pasożyt powszechny w tym regionie – poprawił Antonio. – Przychodzą w nocy i niszczą winorośle, a nawet drzewa.

– Na szczęście są także bardzo smaczne – wtrącił Stanton Cutler. Z miernym powodzeniem usiłował zrobić miejsce dla szpinaku na swym przeładowanym talerzu. Jego oczy błyszczały, a policzki pokryły rumieńce. „Zapewne od lunchu nic nie jadł – pomyślała Lucy – a przecież ma co karmić”. Jak zauważyła, signor Cini nie nałożył sobie zbyt dużo, choć w pełni skorzystał z różnorodności potraw, podczas gdy jego syn, mniej umiśniony, nałożył sobie zaledwie jedną przepiórkę, którą obierał z tych niewielkich ilości mięsa, jakie miała, z szybkością i wprawą chirurga.

– Zastanawiam się, jakie sprawy trzeba uporządkować – zagadnęła, zadając pytanie w stronę na pół ogryzionych zwłok na talerzu.

– Zapewne otrzymam pytania z ambasady – odpowiedziała Lucy.
– Formularze do wypełnienia, tego rodzaju rzeczy. Mnie samą nurtuje

kilka pytań i chętnie znalazłabym na nie odpowiedzi.

– Z pewnością nie ma wątpliwości co do jego śmierci.

– Raczej nie.

– To wygląda naprawdę dziwnie – wtrącił Stanton. – Czy studia znajduje się na terenie tej posiadłości?

– Nie – odparł Antonio.

Lucy odcięła skrzydełko kurczaka. Srebra Cinich, jak zauważyła, były ciężkie, kunsztownie wykonane i ostre.

– Chciałabym się dowiedzieć – powiedziała – co się stało z Catherine Bultman.

Na dźwięk tego nazwiska Antonio i jego ojciec wymienili tak wymowne spojrzenia, że Lucy przypomniały się nieme filmy. „To będzie zbyt śmieszne – pomyślała – jeśli za chwilę Antonio stwierdzi, że jej nie zna”. Stary mężczyzna przygwoździł ją na chwilę swym spojrzeniem jastrzębia, po czym znów zajął się talerzem.

– Przebywała tu przez bardzo krótki czas – odezwał się Antonio.

– Jak się domyślam, nie czuła się tutaj szczęśliwa. Żyjemy w zbyt dużej izolacji. Może się nudziła... w każdym razie wyjechała.

– Czy wiesz, dokąd?

– Ledwo wiem, kiedy. Nasza rodzina spędza kwiecień w naszym domu w Firenzie. Jedyne w tym czasie można tam wytrzymać, miasto stało się naprawdę nie do zniesienia. Signora Bultman przebywała tu, gdy wyjeżdżaliśmy. Kiedy wróciliśmy, już jej nie było.

Massimo zgodził się z Antoniem, że Florencja, kiedyś przyjemne, wygodne, fascynujące miasto, staje się coraz bardziej nie do wytrzymania. Nawet stare florenckie rodziny, które znał, wyjeżdżają z niej co roku na coraz dłuższy czas, by mieszkać w *campagna*. To samo dzieje się w Rzymie: korki, autokary turystyczne, zanieczyszczone powietrze. Młodzież rzymska nosi maski chirurgiczne, jeżdżąc na swych *motorini*, by ochronić się przed zatrutym powietrzem.

Lucy obserwowała Antonia, jak nabierał ostatnie części przepiórki na widelec. Przypomniała sobie nagłówek listu – *Carissima, amatissima Caterina*. Oczywiście kłamał. Doskonale wiedział, kiedy

Catherine wyjechała – wiedział również, dlaczego. Na niespodziewaną myśl jej żołądek skurczył się tak mocno, że zakryła dłonią usta – a może Catherine nie żyje?

Po chwili wydało się jej to śmieszne. Dlaczego wyciągała tak niewiarygodne wnioski? Antonio zapewne mówił prawdę – Catherine znudziła się i odeszła. A jeśli wysyłał jej miłosne listy, nic dziwnego, że na wspomnienie jej imienia reagował tak ostro.

Massimo skończył mówić, ale Antonio nie podjął tematu przekleństwa wielkiego miasta. Wydawał się zdeterminowany, by nieufnie przyjmować wszelkie próby podtrzymania rozmowy. Zrobił przerwę na tyle długą, by dać do zrozumienia, że mimo wszystko nie do końca zgadza się z uwagami Massima, po czym zwrócił się do Stantonona z pytaniem, czy nie ma ochoty na kolejną porcję *cinghiale*. Lucy z żalem podawała dalej następne półmiski ; zjadła już zbyt dużo. W miarę przedłużania się posiłku czuła się coraz bardziej nieswojo. Nękające ją cały dzień mdłości przybrały na sile i zagłuszyły inne odczucia, nie dając się zignorować. W dolnej części jamy brzusznej poczuła kilka ukłuc bólu, którego nie mogła określić – czy to układ trawienny, czy narządy kobiece? Bolały ją stawy, w głowie pulsowało. Massimo znów coś mówił, tym razem do Stantonona Cutlera, chętnie podejmującego każdy temat. Słuchała z roztargnieniem; rozmawiali o młodym włoskim pisarzu, popieranym przez Paola Braggia. Czy Stantonon uważa, że jego ostatnia książka przemówiłaby do amerykańskiego czytelnika?

Lucy przestała ich słuchać. Zaczęła się zastanawiać nad tym, co musi zrobić następnego dnia. Massimo wyjedzie, ona odbędzie kilka rozmów telefonicznych. Poszuka kluczyków do samochodu DV. Może znajdzie je w kieszeni płaszcza.

Jednak najpierw musi się wyspać. Była tak zmęczona, że gdyby tylko uspokoił się jej żołądek, mogłaby spać kilka dni. Przypomniała sobie, by poprosić kogoś – Massima lub Antonia – żeby powiedzieli signorze Panatelli, iż nie potrzebuje dostaw posiłków. Chciała spędzić dzień samotnie, bez intruzów, a zjadła już tyle, że wystarczy jej na

kilka dni.

Antonio Cini wtrącił się do rozmowy z drobną uwagą, że jedyną powieścią wartą przeczytania w ciągu ostatnich stu lat był *Il Gattopardo* Giuseppe Tomasiego di Lampedusy. Lucy upiła łyk wina, co wywołało kolejną falę mdłości. By o tym zapomnieć, skupiła uwagę na towarzystwie. Stanton Cutler mówił o trudnościach publikowania książek obcojęzycznych autorów w tym najbardziej prowincjonalnym państwie, Stanach. Massimo wydawał się słuchać, ale ledwie mógł się powstrzymać od przerwania. Oczy mu płonęły, a usta poruszały się lekko, tak bardzo chciał wygłosić ripostę. Po drugiej stronie stołu signora Cini skończyła jeść i znów zaczęła mamrotać, zwracając się jedynie do wnuka. Ten patrzył na nią z góry ze zniecierpliwieniem i lekceważeniem wyraźnie wypisanym na twarzy. Powiedział kilka krótkich słów, które starsza pani zignorowała. Lucy patrzyła na niego, aż poczuł jej wzrok i spojrzał na nią. Myślała o tym, że to kłamca; tak ją to pochłonęło, iż nie odwróciła spojrzenia, co normalnie by uczyniła. Należał do ludzi – znała kilku takich, jednym z nich był DV – kłamiących rutynowo, o wszystkim, często bez innego powodu prócz pogardy dla praktycznej wartości prawdy. „Gdyby przyłapano go na kłamstwie – pomyślała – nie przejąłby się, po prostu przeszedłby do następnego”.

Wydawał się czytać w jej myślach i czerpać z nich zadowolenie – na jej zafascynowane i przerażone spojrzenie odpowiedział beznamiętną arogancją. Teraz nawet nie tyle na nią spojrzał, co zaprezentował całkowitą obojętność wobec zdania, które mógł wyczytać w jej wzroku. Było to jak wpatrywanie się w kota – jak zwykle to kot zwyciężył. Odwróciła wzrok, niejasno zdając sobie sprawę, że Massimo mówił do niej.

– Przepraszam – powiedziała.

Do czasu podania kawy i poobiednich drinków Lucy miała już tylko nadzieję, że zdoła wrócić do domu, nie wymiotując. Usiłowała przelknąć amaro, mające ponoć zbawienny wpływ na trawienie, lecz od razu wiedziała, że w jej stanie takie domowe środki już nie po-

mogą. Rozmowa ciągle trwała, choć pełna pauz i nowych wątków; Lucy usiłowała za nią nadążyć. Wysiłek tylko spotęgował tętnienie w głowie. Jednak załatwiono kilka spraw. Signora Panatella podeszła do stołu z, jak uzgodniono, ostatnim koszykiem jedzenia dla Lucy, a Massimo obiecał wrócić z Florencji na dwa dni, by pomóc jej w formalnościach. Kiedy wszyscy wstali od stołu, seniorzy rodu Cinich życzyli gościom dobrej nocy i zniknęli w korytarzu, z którego wcześniej nadeszli.

Antonio odprowadził gości do samochodu. Chłodne powietrze orzeźwiło Lucy; była nawet w stanie złożyć sensowne podziękowania i przyjąć od Antonia ofertę pomocy, gdyby kiedykolwiek znalazła się w kłopotach. Krótka, lecz nierówna droga pod górę była ciężką próbą, lecz udało się i Lucy wysiadła na podjeździe przy domu, czując mieszaninę ulgi i przymusu. Massimo i Stanton Cutler odjechali, machając rękami i uśmiechając się, najwyraźniej uszczęśliwieni perspektywą długiej jazdy, która ich czekała. Lucy przetrząsnęła torebkę w poszukiwaniu kluczy i pośpiesznie weszła po schodach. Na tarasie nie zatrzymała się, by podziwiać czyste niebo, jasne gwiazdy i napawać się świeżym, orzeźwiającym powietrzem. Szybko otworzyła drzwi, zatrzasnęła je biodrem, położyła torebkę i koszyk na stole w kuchni i pobiegła do łazienki.

ROZDZIAŁ 7

Lucy wróciła z kolacji tuż po północy. Była pewna, że do trzeciej nad ranem w jej żołądku nie został nawet ślad czegokolwiek, co zjadła w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Gwałtownemu, dokładnemu i wyczerpującemu pozbyciu się jedzenia towarzyszyły na przemian poty i dreszcze. Cokolwiek jej dolegało, wiedziała, że już się skończyło. Dowlokła się do łóżka, przerażona i zmuszona do pokory potęgą biologii własnego ciała, które, niezależnie od jej woli i abstrakcyjnych wzlotów wyobraźni, jasno i bezlitośnie wykazało

swoją przewagę: beze mnie jesteś niczym.

Słaba, pusta, wyczerpana do granic możliwości myślała, że natchmiast zaśnie. Jednak gdy tylko przykryła się cienką kołdrą, poczuła gwałtowne dreszcze. Słyszała szczękanie własnych zębów, co absurdalnie przypominało jej stukanie dzieciółów w lasach wokół domu w Concord, kiedy była dzieckiem.

– To śmieszne – powiedziała, wstając i biegnąc po zimnej podłodze do szuflady, w której schowała ciepłe ubrania. Nie miała ich zbyt dużo. Na szczęście wzięła pod uwagę możliwość napotkania na włoskich podłogach płytek i zapakowała najcieplejsze wełniane skarpetki. Najpierw włożyła skarpetki, potem bawełnianą koszulę z długimi rękawami i sweter z kapturem; zdjęła krótkie spodnie od piżamy, wciągnęła bawełniane legginsy i z powrotem włożyła na nie piżamę. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu dodatkowego koca, lecz go nie znalazła. Jej skarpetki ślizgały się po gładkich płytkach. Dotarła do łóżka i położyła się. Naciągnęła kaptur i przykryła się po uszy kołdrą, tworząc coś w rodzaju niskiego namiotu, który mogła ogrzewać własnym oddechem. Podkurczyła nogi, wciąż zmarznięta, czując lekki zawrót głowy po wysiłku. Wróciły do niej sceny z kolacji. Czy miała rację, przypuszczając, że Massimo czuł szacunek dla Antonia Ciniego i dlatego starał się zrobić na nim dobre wrażenie? Pomyślała o wilgotnej, bezwładnej dłoni Antonia, którą podał jej na pożegnanie, uśmiechając się gładko i powtarzając jej imię. Nazwał ją „drogą Lucią”. To wspomnienie przyprawiło ją o kolejny dreszcz. Poprawiła poduszkę, jeszcze raz naciągnęła kołdrę. Zaciążyła nad nią sugestywna cisza domu, jednocześnie kojąca i dobroczywna, ulotna jak myśl. Cisza to dźwięk, jaki wydaje myśl, zauważyła, po czym, usiłując znaleźć jakiś sens w tym nic nie znaczącym zdaniu, zasnęła.

Jednak nie na długo. Obudziła się po godzinie, płonąć gorączką. Odrzuciła kołdrę i sweter. Leżała na plecach, w oszołomieniu wpatrując się w ciemność. Gdzie była, co to za łóżko i skąd ten ogień? Z oddali dobiegło ją szczekanie psów; wydawało się na tyle ważne, by go nasłuchiwać. Doszła do wniosku, że psy znajdują się wciąż w tym

samym miejscu. Stoją i szczekają, i szczekają.

– Muszą być uwiązane – powiedziała. Stopniowo napływały wspomnienia, jednak bezładne i niektóre nie pasujące do sytuacji. Znajdowała się we Włoszech – tyle wiedziała na pewno. W wynajętym domu DV. DV nie żył, ona zaś rozchorowała się; gorączkowała i czuła się słaba. To jeszcze miało sens, ale dlaczego przypomniła jej się – ze szczegółami i towarzyszącą jej goryczą – kłótnia z mężem o pieniądze? Poruszyła ustami – wargi były spierzchnięte, w podniebieniu pulsowała krew. „Napiję się wody i wezmę lekarstwa” – pomyślała błyskotliwie, szukając po ciemku włącznika lampy. Przytłumione światło wydobyło z ciemności obcy pokój, jednak Lucy rozpoznała drzwi łazienki. Trawiła ją gorączka – miała wrażenie, że z gorąca sama mogłaby świecić – i opanował głupawo optymistyczny, niemal frywolny nastrój. Ostrożnie przesunęła nogi na skraj łóżka i usiadła na podłodze. Uznała, że posadzka jest o wiele za śliska, a ona sama zbyt niepewnie trzyma się na nogach. Żeby dotrzeć do łazienki, będzie musiała zdjąć skarpetki. Przez kilka chwil nie poruszała się. Twarda podłoga chłodziła ją. Lucy była pewna, że to nie sen, chociaż niektóre elementy – czerwonawa poświata na granicy pola widzenia, niesamowita cisza panująca w pokoju (psy przestały szczekać), brak panowania nad własnymi mięśniami – podejrzanie odbiegały od codziennej rzeczywistości. Żołądek miała pusty i podrażniony. Uznała, że to odmiana grypy. Zatrucie pokarmowe nie spowodowałoby gorączki. Musi uważać, żeby się nie odwodnić. Zdjęła skarpetki, po czym, trzymając się poręczy łóżka, wstała niepewnie. Łazienka zdawała jej się bardzo odległa. Powoli, drobnymi, niepewnymi krokami staruszki przebyła tę przestrzeń i dotarła do umywalki, na której mogła się oprzeć. Zapaliła światło, dla jakiegoś powodu ukryte za zasłoną ciężkiego, czystego plastiku – i stała, niepewnym wzrokiem przyglądając się swemu odbiciu w lustrze.

Wyglądała źle. Była blada, aż zielonkawa, oczy miała zapadnięte i otoczone ciemnymi obwódkami. Poszperała w kosmetyczce w poszukiwaniu aspiryny. Pakowała się w pośpiechu, zapomniała zabrać

podróżną apteczkę z lekarstwami na niestrawność, biegunkę, przeziębienie i alergię, którą zwykle wozila ze sobą. Nalała z kranu szklankę wody i wytrząsnęła na półkę kilka tabletek.

– `Oto i aspiryna – powiedziała, wrzucając dwie z nich do ust i szybko popijając wodą. Jednak usta miała tak wyschnięte, że tabletki zatrzymały się na końcu języka i nie dały spłukać wodą. Zakrztusiła się, zmusiła do kaszlu, usiłując je wykrztusić, lecz nic nie pomogło. Woda okazała się zaskakująco zimna. Lucy wyobraziła sobie całe bulgoczące jezioro zasilane głębokim podziemnym źródłem. Czowała, jak płyn spływa wewnątrz przełyku i wpada lodowatym wodospadem do przepaści jej pustego, podrażnionego żołądka. Kiedy woda uderzyła o dno, żołądek skurczył się gwałtownie. Jedną ręką chwytając za brzeg umywalki, a drugą podtrzymując z tyłu włosy, Lucy zwymiotowała do niej obie pastylki. Katastrofa pozbawiła ją resztki sił, usiadła bezwładnie na muszli klozetowej. „Tyle co do aspiryny” – pomyślała. Może najlepiej będzie pozwolić gorączce wypalić wszelkie zarazki. Jak postawi szklankę wody obok łóżka, aby ogrzała się do temperatury pokojowej, może zdoła utrzymać ją w żołądku. Oparła czoło o chłodną porcelanową umywalkę, zastanawiając się nad tym planem. Jeśli trzeba, zostanie cały dzień w łóżku. Nie spodziewała się niczyjej wizyty i nie miała do załatwienia nic pilnego. Przypomniała sobie, że w kuchennym kredensie zauważyła słoik z rosółem w kostkach. W dzień spróbuje się go napić. Miała również herbatę ziołową. Ale co to za zioła – mięta? koper? rumianek? Wysilek zastanawiania się pozbawił jej umysł reszty energii. Widziała wcześniej opakowanie, na pewno знаła odpowiedź. Jednak zdołała jedynie przypomnieć sobie ulubiony czajniczek, który miała w domu. Należał do jej babki, był ręcznie malowany w konwalie, z rączką w kształcie winorośli.

Kiedy tak siedziała w świetle nagich żarówek wokół lustra, stopniowo zaczęła zdawać sobie sprawę z powtarzającego się co chwilę dźwięku – odgłosu przypominającego drapanie paznokciami po murze. Od jak dawna go słyszała? Wstała i weszła do sypialni –

dochodził z tej strony. Wtedy jednak ucichł, a Lucy natknęła się na kolejny problem: była słaba i rozgorączkowana, ledwie trzymała się na nogach, nawet trzymając się futryny drzwi. Nie zważając na nic oprócz naglącej konieczności położenia się, powlokła się przez pokój, dotarła do łóżka i padła na nie, z jękiem wciągając nogi do góry. Niejasno uświadomiła sobie, że znów usłyszała powtarzający się dźwięk. Wbrew swojej woli uprzytomniła sobie, że dobiega on zza ściany obok łóżka. Potem doznała wstrząsu, stłumionego i złagodzonego przez gorączkę, gdyż przypomniała sobie, że znajdowała się tam sypialnia DV, gdzie odkryła straszliwy rysunek i listy. *Carissima, amatissima* – przypomniała sobie słowa, lecz głos wymawiający je nie należał do tłustego, zbyt pewnego siebie dziedzica fortuny Cinich. Brzmiał inaczej, niezwykle uwodzicielsko; wzbudził w Lucy pożądanie i tęsknotę. Mówił do niej, to ona była najdroższą, najbardziej ukochaną, *amatissima*. Słowa powtórzyły się jak ciepłe pieszczoty; ukołysały ją – poddała się im chętnie i odpłynęła w sen.

Kiedy znów się obudziła, było już jasno, choć ze względu na to, że niebo zakrywały gęste chmury, w pokoju panował półmrok i chłód. Podróżny budzik wskazywał, że spała aż do południa. Zastanowiła się nad swoim samopoczuciem: nadal gorączkowała, lecz nie tak bardzo, jak w nocy. W głowie jej pulsowało, stawy bolały, a żołądek miała podrażniony, lecz pusty – zatem nie stanowił bezpośredniego zagrożenia. Była słaba, spragniona i niespokojna. W końcu zdecydowała się wstać, umyć zęby i spróbować napić się herbaty. Cieszyła się, że jest sama. Mogła jęczeć i mruzczyć do woli; nie miała wcale ochoty rozmawiać z tymi, z którymi mogłaby się skontaktować. Po kuchni poruszała się wolno, lecz możliwość wykonywania czynności dawała jej satysfakcję. Zaparzyła sobie herbatę z kopru – najlepszy napój dla kogoś w jej stanie.

Koszyk z jedzeniem wciąż stał na stole, tam, gdzie zostawiła go poprzedniej nocy. Zajęła się opróżnianiem go. Przenosząc jego zawartość do lodówki, przyjrzała się jej nieufnie. Były to resztki z kolacji, w większości mokre i nieapetyczne, jednak znalazła między

nimi kilka owoców – pomarańcze i piękną złotą gruszkę. Odłożyła ją do miski. Kiedy znów będzie mogła jeść, zacznie od niej. Potem usiadła na stołku z filizanką w ręce, popijając małymi łydkami, by nie spowodować nagłej reakcji żołądka. Usłyszała bębnienie za oknem – początek lekkiego deszczu. Raz jeszcze rozważyła możliwość znalezienia kluczyków od samochodu DV w kieszeni jego marynarki – z tym będzie jednak musiała poczekać. Absolutnie nie czuła się na siłach, aby wyjść na deszcz i przejść do drugiego mieszkania.

Kiedy wypła połowę herbaty, narastająca fala mdłości zmusiła ją do wstania i pójścia chwiejnym krokiem do łazienki. Dotarła tam na czas, by klęknąć przed muszlą klozetową i poddać się na długie minuty mimowolnym spazmom wymiotów. Gdy wreszcie udało się jej przeczołgać po podłodze do łóżka i ułożyć na pościeli, jej nogi i ręce drżały, a twarz ociekała potem.

Spała niespokojnie, budząc się w dźwiękach deszczu. W miarę upływu czasu czuła, że gorączkuje coraz bardziej i jest coraz bardziej oszołomiona i zdezorientowana. Mamrotała jakieś uwagi, bezsensowne nawet dla niej samej. Czasami usiłowała wstać, ale z powrotem opadała bezsilnie na łóżko. Usta miała spękane; nie pamiętała, by kiedykolwiek w życiu czuła się tak spragniona. Jednak w przeblysku przytomności uznała, że najlepiej będzie pozostać na miejscu. W końcu gorączka spadnie i po przebudzeniu dojdzie do siebie.

Na razie zagubiła się w czasie. Rozmawiała z ludźmi, z którymi straciła kontakt – czasem w przeszłości, czasem, jak jej babka, już nie żyjącymi. Przypominała sobie czteroletnią kłótnię, jaką było jej małżeństwo; powiedziała kilka słów prawdy mężczyźnie – właścicielowi jej mieszkania w czasach szkolnych, który ją wykorzystał. Granica między snem a jawą zacierała się, coraz trudniej było ją zauważyć. Późnym popołudniem deszcz przestał padać, a Lucy obudziła się. Kilka promieni światła padło poziomo na podłogę; przypominały palce bladej dłoni. Potem, kiedy je obserwowała – na pół senna, na pół przytomna – palce przebiegły do łóżka i w jego

nogach wystrzeliły w dwa płomyki – czerwony i niebieski. Rozległ się dźwięk, jakby powiał wiatr, a potem syczenie i trzaskanie płonącego drewna. Lucy usiłowała się podnieść; przestraszona, chciała uciec, ale nieruchome i bezwładne ciało nie słuchało jej. Zrozumiała, że płomyki porozumiewają się, decydują o jej losie. Przeżyje czy umrze?

Później zapadła w ciemność. Obudziła się ponownie, mokra od potu, i przeczesła palcami włosy. Gorączka spadała. Teraz zacznie wracać do sił. Jednak czuła się tak osłabiona, pusta, spragniona i głodna... Ile czasu minęło od ostatniego posiłku? Wyciągnęła rękę w stronę lampy, znalazła przewód i przesunęła po nim palcami w poszukiwaniu włącznika. Jednak coś się nie zgadzało. Poprzednio wyłącznik miał małą dźwignię, teraz – guzik. Jednak nacisnęła go. Światło się nie zapaliło. Nagle – serce podskoczyło jej tak gwałtownie, że poczuła uderzenie w żebra – na jej dłoni zacisnęła się inna dłoń, a druga zerwała kołdrę z jej ramion. Krzyknęła: – Nie! – machając na oślep rękami, ale silne dłonie przycisnęły ją do materaca. Nad sobą usłyszała nieświeży, chrapliwy, gorący oddech. Dłonie trzymały ją za ramiona i potrząsały nią mocno. Dlaczego był tak rozgniewany? Usiłowała nie poruszać głową, ale nie zdołała. Czuła, że podbródek co chwilę uderza jej o klatkę piersiową. Mimowolnie ugryzła się mocno w język, przez chwilę wszystko zabarwiło się na czerwono.

– Lucy – powiedział z gniewem, potrząsając nią, jakby chciał złamać jej kark. Wokół cichy pokój zdawał się przyglądać walce; ciemność była współnikiem, wzmagała przerażenie. Rozpoznała głos. W bezsilnym zrozumieniu płynącym z najgłębszej istoty wiedziała, że dzieje się coś, co nie może się zdarzyć.

– DV! – zawołała. – Przestań!

Natychmiast ją puścił i poleciała w przestrzeń; spadała długi, długi czas w ciemność. Potem poczuła dotyk materaca, miękkie, uginający się pod głową materiał poduszki. „Pierze” – pomyślała z ulgą. Otworzyła oczy i spojrzała w ciemność pokoju. Deszcz znów się rozpadał, z daleka dobiegł słaby grzmot. Przesunęła językiem po

wargach, poczuła krew.

Przerażenie po spotkaniu przyłgnęło do niej w ciemności, a ona do niego, jak do przyjaciela. Dlaczego był tak rozgniewany? Wymyśliła paranoiczne wyjaśnienie: DV został zamordowany, a ona sama otruta. Wkrótce dołączy do niego na ponurym cmentarzu na końcu zakurzonej drogi w Ugolino, nikt nie zdoła temu zapobiec. Stanowiłoby to zadziwiający, ale nie całkiem niemożliwy zbieg okoliczności, gdyby przyjechała w celu przygotowania pogrzebu i skończyła jako bohaterka drugiej takiej ceremonii. Machnęła ręką na oczywisty problem motywu. Rodzina Cinich z pewnością była zdolna do tego, by zamordować Amerykankę dla samego zaspokojenia ciekawości procederem. A może przeszkadzało im to, że Panatella przekształcili gospodarstwo w hotel. Uznali, że upadnie, jeśli jego goście zaczną ginąć. Usiadła, starając się nie poddawać panice, włączyła światło – rzeczywiście, w przełączniku nie znalazła guzika – i odrzuciła przykrycie. Najbardziej na świetle chciała się wydostać z łóżka. Światło podkreśliło absurdalność jej wymysłów, a chłodna podłoga otrzeźwiła na tyle, żeby zwrócić myśli ku bardziej praktycznym sprawom. Jedną część jej snu – jeśli to był sen – okazała się prawdą. Gorączka spadła, teraz Lucy miała chłodną, mokrą skórę. Przerzuciła ubrania w poszukiwaniu swetra, narzuciła go sobie na ramiona i potykając się, poszła do łazienki. Niezależnie od skutków splotu sobie krew z ust i umyje zęby.

Udało się jej. Przy okazji zauważyła, że krew sączy się z dziąseł, a nie ze zranionego języka. Krwawienie nie było przyjemne, ale na pewno lepsze niż spotkanie z innym światem. Była sama, chora, ale przecież nie umierająca, DV zaś nie żył, jednak z pewnością nie został zamordowany. Czuła się śmiertelnie głodna i zmarznięta. Od wielu godzin nie myślała tak jasno. Przebiegały jej przez głowę całe zdania nie tylko mające sens, ale i gramatycznie poprawne – śledziła je z przyjemnością. Żołądek, choć pusty, nie dawał o sobie znać. Spróbowała przełknąć kilka łyków wody, uważając, by nie połknąć ich od razu, choć bardzo ją to kusilo.

– Jaka dobra woda – powiedziała, stawiając szklankę na blacie. Poczekala kilka chwil i nic się nie stało. Napiła się jeszcze, patrząc na swoje odbicie w lustrze: bladej, chorej kobiety w swetrze, sączącej wodę. Jej włosy domagały się mycia, a twarz wyglądała na zmęczoną, jednak oczy patrzyły przytomnie.

– Wracam do rzeczywistości – odezwała się. Postanowiła, że znów spróbuje wypić herbatę, a jeśli się to uda, może również filiżankę rosołu.

ROZDZIAŁ 8

Mimo częstych usiłowań Lucy nie umiała później przypomnieć sobie toku rozumowania, które doprowadziło ją do podjęcia decyzji o opuszczeniu pokoju tego wieczoru. Bez wątpienia przeceniła swoje możliwości, zniecierpliwiona chorobą i unieruchomieniem w łóżku. Wypiła herbatę, bulion, nawet przeżuła kilka krakersów, które znalazła w pojemniku na chleb – bez żadnych złych konsekwencji. Przeostało padać. Zagubione kluczyki do samochodu DV zaczęły ją prześladować do granic obsesji. Bała się nawrotu choroby, który rano mógłby uniemożliwić jej ich szukanie. Chociaż nie miała pojęcia, dokąd mogłaby pojechać, bez dostępu do samochodu czuła się jak w pułapce.

Włożyła więc dzinsy i buty, wzięła klucze od domu i wyszła na taras. Było chłodno, wilgotno i wietrznie. Powietrze przesycił zapach mokrych roślin. Geranium stało w swoich doniczkach, wysokie, na nabrzmiałych łodygach; na listkach lśniły jak klejnoty krople, których rośliny nie zdołały już wchłonać. Gęste, ciemne chmury przepływały po niebie jak woda, popychane prądami powietrza. Lepiej iść teraz, poradziła samej sobie, zanim spadnie kolejny deszcz.

Ostrożnie schodziła po mokrych, śliskich schodach. Wysięk, jaki w to włożyła, przypomniail jej, że wciąż niezbyt pewnie trzyma się na nogach. Równie trudno było podejść pod stromy zwirowy podjazd; w

końcu jednak bez wypadku dotarła do drugiego tarasu. Pod ociekającym wodą dachem z pnącza przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi skromnie umeblowanego salonu. Zamknęła je za sobą dokładnie – nie chciała, by znów zaskoczyła ją wizyta niespodziewanego gościa – i położyła pęk ciężkich kluczy na stole tuż przy wejściu. Poszła szybko do schodów. Przyszło jej do głowy, że ma drugi powód do wizyty: chciała jeszcze raz spojrzeć na list.

Kiedy zapaliła światło w sypialni DV, przypomniała sobie drapanie, które słyszała poprzedniej nocy. Oparła się o framugę i przyjrzała pustej gipsowej ścianie za łóżkiem. To myszy; taki stary dom musi być dla nich rajem. Dlatego wszystko w kuchni pochowano do słoików i pojemników. Podeszła do szafki nocnej, otworzyła szufladę, wyjęła list i strzepnęła, żeby go otworzyć.

Przeczytała znów płomienny nagłówek, po czym przebiegła wzrokiem pierwszy akapit w poszukiwaniu znajomych słów.

Były to głównie przymiotniki: *sincero*, *appassionato*, *furioso*, połączone z rzeczownikami: *i tuoi occhi sereni*, *i tuoi capelli come un fuoco d'oro*. Ostatni fragment – o włosach jak złoty ogień – stanowił niewątpliwy dowód, że po pierwsze – jest to list miłosny, po drugie – napisany do Catherine Bultman, która, jak pamiętała Lucy, patrzyła na świat spod burzy jasnych loków, powszechnie opisywanych w romansach jako grzywa. Odwróciła kartkę i spojrzała na zakończenie. Charakter pisma był wyrazisty, imię „Antonio” niemal odbite w papierze – Lucy poczuła wręcz nacisk pióra. Usiłowała wyobrazić sobie Antonia Ciniego opętanego namiętnością do amerykańskiej sąsiadki, pochylonego nad zabytkowym biurkiem w swym ponurym pałacu, kończącego swój poemat uwielbienia i tęsknoty wyraźnym, zdecydowanym podpisem.

Nie mogła sobie tego wyobrazić. Antonio wydawał się jej zbyt apatyczny i – choć z pewnością nie był wychudzony ani kruchy – za słaby. Dlaczego kobieta tak pewna siebie i energiczna jak Catherine Bultman miałaby spojrzeć na takiego mężczyznę, niezależnie od jego pochodzenia?

Ale tu Lucy natknęła się na kolejną zagadkę – przecież Catherine spojrzała na DV, nie mogącego się nawet podeprzeć imponującym drzewem genealogicznym, i najpewniej ich znajomość wykroczyła daleko poza spojrzenia. Skoro pociągnęły ją niezręczne zaloty DV, czyż nie poddałaby się tak otwartym błaganiom jak te, które ona trzymała właśnie w ręce?

Trudno powiedzieć. Lucy nigdy nie miała zbyt dużego powodzenia, nie prawiono jej komplementów – ustnie czy na piśmie – dotyczących spokoju jej twarzy czy urody włosów. „Twoje włosy – pomyślała – proste brązowe włosy”. Rzeczywiście, nic dziwnego, że nie usłyszała dotąd żadnego komplementu. Kiedy w ogóle – co się rzadko zdarzało – zaczynała się nad tym zastanawiać, dochodziła do wniosku, że nie uważa się za nieatrakcyjną, ale na pewno nie wzbudziłaby tego rodzaju namiętności, która prowadzi do sekretnych listów, spontanicznych spotkań i nierozważnych obietnic. Była stabilna – to właśnie mógł w niej dostrzec okazjonalny zalotnik. Rozsądna, godna zaufania, dość ładna. To przyciągnęło do niej jej męża: przyjemna, przyjazna młoda kobieta, kompetentna i inteligentna, zdolna utrzymać go w czasie studiów prawniczych – i tak się stało. Oznaczało to ciężką pracę i mało wolnego czasu. Lucy miała nadzieję, że zmieni się to po skończeniu przez niego studiów. I rzeczywiście, zmieniło się – jednak nie na lepsze, jak oczekiwała. Coraz rzadziej widywała swego odnoszącego coraz większe sukcesy męża, aż zrozumiała, że zżera go lęk przed porażką, ambicja, chciwość i nieposkromiona żądza zwracania na siebie uwagi. Te siły ścigały go jak furie, nie dając mu ani chwili spokoju. Małżeństwo stało się polem bitwy. Walczyli o pieniądze. Kiedy jeszcze studiował, nigdy nie było ich dosyć – lubił luksus, wołał jedwabną koszulę od ubezpieczenia medycznego, nie rozumiał konieczności płacenia na czas rachunków. Potem, gdy pracował i mieli ich całkiem sporo, wciąż mu nie wystarczało i krzywił się na każdy cent, jaki Lucy wydawała na siebie.

Zgłosiła się do pracy u DV pod wpływem impulsu. Jej kompeten-

cja i solidność zrobiły na nim wrażenie. Podczas rozmowy dowiedziała się, że jego poprzednia asystentka, która odeszła, gdyż wychodziła za męża za Finą, zwolniła niedrogie mieszkanie na Brooklynie. Lucy wyszła z ofertą dobrej pracy i numerem telefonu obiecującej stacji. Później tego popołudnia, kiedy stała w słonecznej kuchence swego przyszłego domu, spoglądając na spokojną, wysadzoną drzewami ulicę, wzięła, jak pomyślała, pierwszy głęboki oddech od czasu ślubu. W ten sposób nauczyła się wyżej cenić wolność niż namiętność.

Jednak teraz, kiedy opierała się o łóżko i patrzyła na list, którego nie rozumiała, uświadomiła sobie, że nie rozumie go nie tyle ze względu na obcy język, ile dlatego, że pochodził z innego wszechświata, świata pragnień, namiętności i opętania. Czyż to, że nigdy nie dostała podobnego, nie wynikało bezlitośnie z faktu, iż nie potrafiła sobie wyobrazić siebie piszącej taki list? Czy adresatka tych wyznań zamieszkiwała inny poziom świadomości, pełen burz i uniesień, na którym listonosze nie jeżdżą nieciekawymi szarymi furgonetkami, ale latają w chmurach i na skrzydłach? „Nie – pomyślała – nie ma racji”. Nie przedłożyła wolności nad namiętność. Namiętność nigdy nie była dla niej opcją do wyboru i prawdopodobnie nigdy nie będzie.

Po tym olśnieniu poczuła się zmęczona i pozbawiona złudzeń. Tak, jakby list ofiarował jej wejrzenie w dramatyczną intrygę, jednak ona mogła spojrzeć tylko przez dziurkę od klucza. Musiała klęknąć i zajrzeć przez szparę, wiedząc, że z powodu ograniczonego pola widzenia i tak nie zrozumie tego, co się dzieje. A drzwi są zamknięte na klucz. Zawsze były.

Wrzuciła list z powrotem do szuflady, odsunęła na bok blok rysunkowy Catherine, położyła się na łóżku i odpłynęła w lekki sen.

Obudziła się nagle. Ktoś strzelił z pistoletu – na zewnątrz domu, ale blisko, obok podjazdu. Skoczyła na równe nogi, potykając się, pobiegła do gabinetu DV i przechyliła się nad biurkiem, by wyrzec przez okno. Panowała ciemność. Jak długo spała? Żwir podjazdu odbijał nieco światła. Czy pomiędzy chmurami przeświecał księżyc,

czy nadchodził świt? Miała rację, na końcu podjazdu stał schylony mężczyzna, a na ziemi obok niego dostrzegła długi kształt – luźną strzelbę.

– Duch DV – powiedziała głośno, choć mężczyzna w ogóle nie przypominał ducha. Wydawał się całkowicie materialny i zajęty swymi sznurowadłami tak, jak tylko może być zajęty żywy człowiek. Z pewnością w królestwie duchów takie drobne niedogodności jak sznurowadła czy mankiety rękawów koszuli już nikogo nie zajmują.

Czy był to Antonio Cini? Lucy postukała w szybę, lecz mężczyzna stał zbyt daleko, by ją usłyszeć. Wstał, poszukał czegoś w kieszeniach i wyjął paczkę papierosów. Na wpół rozbudzona, z umysłem zamroczonym chorobą i brakiem jedzenia, Lucy uznała – choć było to nieprawdopodobne – że mężczyzna, który teraz odwrócił się tyłem do domu, by zapalić papierosa, pochylając przy tym głowę w charakterystyczny sposób, że ten mężczyzna to Massimo.

– Wcześniej wrócił – powiedziała, wybiegając z pokoju jak kobieta śpiesząca na spotkanie kochanka. Zbiegła po schodach, przebiegła przez salon i dopadła drzwi. Jednak kiedy tylko stanęła na podjeździe, z siłą spadających z góry kamieni uderzyła w nią rzeczywistość: po pierwsze, mężczyzny – a nie okazał się nim z pewnością Massimo – nigdzie nie widziała. Po drugie, pogoda się pogorszyła, było zimno, wietrznie i mokro. Lodowaty podmuch zmusił ją do schronienia się pod drzewem, gdzie odkryła trzeci, najbardziej nieodwołalny i niepokojący fakt: metaliczny szczęk, jaki usłyszała, wychodząc na taras, to dźwięk zamykających się za nią, automatycznych drzwi.

– O nie! – zawołała, rzucając się na drewno. Ono jednak nie ustąpiło. Szarpała za klamkę, potrząsała drzwiami, lecz bez skutku. Klucze leżały na marmurowym stole wewnątrz. – O nie – powiedziała znów. Oparła się o drzwi i zsunęła po nich na ziemię, zakrywając twarz rękami. Miała rozpalone czoło – wróciła gorączka. Kilka ostrych ukłuć bólu w podbrzuszu przypomniało jej, że niedługo pojawi się okres; ostatnie błękitne tabletki w tym cyklu wzięła w noc

śmierci DV. Żołądek, choć niemal pusty, znów dał o sobie znać. Odsłoniła twarz i spojrzała w ciemność, zbyt chora, by się przestraszyć. Uderzenie adrenaliny, które kazało jej tak odważnie wpakować się w tarapaty, przeszło i teraz ledwie trzymała się na nogach. Jednak będzie musiała się poruszyć. Było zbyt zimno, by mogła zostać na miejscu.

– Jest tam ktoś?! – zawołała na wypadek, gdyby mężczyzna znajdował się jeszcze w pobliżu i mógł ją usłyszeć. Słowa, drżące i słabe, wróciły do niej jakby z kpiną. Uświadomiła sobie, że nie były słyszalne poza łukiem nad jej głową.

Oczywiście zawsze istniało jakieś wyjście z sytuacji. Spróbuje wrócić do swojego mieszkania, żywiąc nadzieję, że być może nie zamknęła drzwi na klucz. Pamiętała jednak, że je zamykała. Pamiętała też, że nie ma okna, do którego mogłaby się dostać, a jeśli nawet jakieś istniało, było zamknięte. Mogła spróbować odnaleźć mężczyznę, przyczynę swoich kłopotów, który zapewne odszedł przez gaj oliwny zaczynający się za podjazdem. Na ten zbyt śmiały pomysł wiatr smagnął ją silnie. Lucy skuliła się. A potem, jakby dla zakończenia reprimendy, słabe światło księżyca zgasło nagle za chmurą, znad wzgórz za domem dobiegł zaś miękki szum deszczu.

– Cudownie – powiedziała.

Gdyby znalazła kluczyki do samochodu, zamiast wczytywać się w list do Catherine, mogłaby teraz podjechać do rodziny Panatella, obudzić kogoś z nich i poprosić o zapasowe klucze. Rozpadało się mocniej; nagły podmuch wiatru rzucił mokrą falę pod gałęzie drzewa. Lucy przywarła do drzwi, starając się przyjąć deszcz na jeden bok. Samochód nie był zamknięty, co do tego przynajmniej miała pewność. Co prawda nie może go prowadzić, ale przecież i tak zapewni jej osłonę przed zimnem i deszczem. I czy do domu Panatellich nie jechało się cały czas w dół? Kiedy deszcz ustanie, może uda jej się zjechać bez zapalania silnika. Jednak musiałyby jechać tyłem, gdyż samochód ustawiono w odwrotną stronę. Był to szalony plan, wymagający większej pomysłowości i siły fizycznej niż Lucy w tej

chwili miała, lecz owaładnął jej wyobraźnię, zmuszając do pracy, jak pszczoła wlatująca do kuszącego, barwnego kwiatu drapieżnej rośliny. „Najpierw trzeba dostać się do samochodu – poradziła samej sobie – a potem zobaczymy”.

Nie miała dużej odległości do pokonania, lecz jeśli nie będzie szła szybko, całkowicie przemoknie. Trzymając się klamki, wstała. Czy zdoła pobiec? Potrząsnęła głową, by przemóc oszołomienie, lecz jedynie rozboleły ją oczy – poczuła za nimi dwa ukłucia gorących szpil. Silny wiatr potrząsał całą delikatną koronką gałęzi drzewa i strząsał z niej grube krople przenikające przez gęste listowie. Lucy postąpiła kilka kroków ku krawędzi tarasu, kuląc ramiona, jakby ta błagalna postawa mogła przemówić do nasilającej się burzy. Panowała kompletna ciemność. Lucy nie widziała dalej niż na jeden krok. Jednak gdyby nie zeszła z podjazdu i cały czas trzymała się domu, powinna trafić na samochód. Wciągnęła na głowę kaptur, ściągnęła sznurki, by jak najszczelniej chronił twarz – i wybiegła na deszcz.

Pokonała ledwie kawałek – może kilka metrów – kiedy lewą stopą trafiła na dołek w ziemi i upadła twarzą w żwir. Usłyszała lekkie chrupnięcie, gdy ścięgna ustąpiły pod naciskiem, po czym nastąpiło szarpnięcie bólu tak silnego, że zawyła. Cyniczny obserwator z szydzącego tłumu, który przeskoczył scenę jej świadomości, podpowiedział, że jej głos brzmiał jak skomlenie zbitego psa. Żwir wbił się jej w dłonie, dwa kamyki poleciały w górę i uderzyły ją w policzek. Od razu podniosła się na kolana i usiłowała wstać, ale noga zwinęła się pod nią jak kartka papieru i znów opadła na ziemię, tym razem opierając się na ramieniu. Deszcz spływał na nią i przenikał przez grubą wełnę swetra, zwiększając jego ciężar. Oparła się na rękach i nadal klęcząc, podniosła głowę, usiłując się zorientować, gdzie się znajduje. Błyskawica przebiegła przez niebo, przez chwilę zrobiło się jasno jak w dzień i Lucy zobaczyła wszystko: dom, podjazd i nawet tylny zderzak samochodu wystający zza ściany domu. Błysnęło bardzo blisko. W następnej chwili świat znów szerniał, a ogłuszający grzmot tak ją zaskoczył, że ręce odmówiły jej posłuszeństwa i upadła

plackiem na mokry żwir. Przez kilka chwil nie poruszała się. Czuła deszcz przenikający przez sweter do samej skóry. Był zimny, kroplami spływał jej po plecach i zbierał się pod paskiem dżinsów. Niejasno uświadomiła sobie, że płacze. „Akurat potrzebujemy jeszcze wody” – krzyczał tłum.

– Nic na to nie poradzę – chlipnęła. – Jestem za słaba.

Jednak nie dane jej było odpocząć. Jej żołądek znów zaczął się kurczyć i skręcać. W końcu musiała podnieść się na łokciu i podtrzymać drugą ręką, podczas gdy zwymiotowała czystą ciecz na mokre kamienie. Kiedy skończyła, upadła bezwładnie z dala od obrzydliwych śladów. Leżała na plecach, ale niedługo – deszcz padał tak mocno, że zalewał jej oczy i nos, oślepiając i wywołując krztuszenie. Przekręciła się na brzuch, wykorzystując nachylenie podjazdu, i po pierwszym pełnym obrocie zdołała podnieść się na ręce i kolana. Wtedy, płacząc i mamrocząc pod nosem, zaczęła się czołgać, mimo przeszkód pokonując przestrzeń z taką determinacją, że nawet szyderczy tłum w jej głowie ucichł. Gdy dotarła do załomu muru, zobaczyła tylny zderzak samochodu.

– Prawie się udało – powiedziała, a tłum, zmienny jak zwykle bywają tłumy, przeszedł od pogardy do podziwu i zaczął ją zachęcać włoskim słowem *coraggio*.

– *Coraggio* – powtórzyła, pełznąć dalej.

Jednak dotarcie do samochodu to jedno, a wejście do niego to inna sprawa. Podciągnęła się do klamki od drzwi, balansując na jednej nodze, i szarpnęła za nią. Mimo że udało jej się zwolnić zamek, nie miała siły pociągnąć drzwi, by je otworzyć. Samochód stał na pochylonym terenie, a ona wybrała drzwi po wyższej stronie. Jak zauważyła, siła ciężenia znów działała przeciwko niej. Wiatr nią zachwiał, kiedy spróbowała ponownie. Tym razem drzwi uchyliły się lekko, jednak gdy starała się wcisnąć w wąską przestrzeń, znów się zamknęły, przytrzaszkując jej rękaw. Szarpiąc się, straciła równowagę i osunęła się na rozmokły żwir, nadwerężając sobie rękę, która dostała się pod ciało. Wiedziała, że przekroczyła już granice całkowitego wyczerpania.

Jej organizm wysyłał odległe, nieczytelne sygnały ostrzegawcze, jak zakodowane wiadomości. W kostce i głowie czuła pulsowanie, twarz miała jednocześnie rozpaloną od gorączki i zimną od lodowatego deszczu. Podniosła wolną dłoń do twarzy i stwierdziła, że ból promieniuje z siateczki skaleczeń i obtarć od żwiru, po którym się czołgała. Deszcz zmył ją kolejną falą; wyciągnęła do niego zranioną rękę, by ją obmył.

– Gdzie jestem? – zapytała, a nieznajomy głos odpowiedział: – Gdzieś we Włoszech.

Zaczęło ją boleć ramię, ból dochodził ze stawu barkowego. Walczyła z całych sił, ciągnąc we wszystkie strony, aż w końcu, ku jej uldze, udało jej się uwolnić rękaw. Sukces dodał jej otuchy; postanowiła próbować dalej. Z tępą determinacją opadła na ręce i kolana i popęzła wokół samochodu do drzwi po drugiej stronie. Siła ciężenia była jej wrogiem – teraz już to wiedziała i miała się na baczności. Drzwi, które z trzaskiem zamknęły się po jednej stronie, po drugiej otworzą się gwałtownie i będą usiłowały ją zmiażdżyć. Kiedy, trzymając za klamkę, podciągnęła się na nogi, tym razem uważała, by stanąć z boku, nie na drodze otwierających się drzwi. I udało się. Ciężkie drzwi, jak magiczne wrota witające księżniczki w krainach tajemnicy i romansów, otworzyły się przed nią.

– Dzięki Bogu! – zawołała ostatkiem sił, tracąc przytomność i padając w poprzek wąskiego, suchego siedzenia wynajętego samochodu DV.

ROZDZIAŁ 9

Kiedy Lucy znów otworzyła oczy, pochylał się nad nią nieznajomy mężczyzna. Od razu zaczął szybko mówić po włosku. Za nim inny mężczyzna, stojący plecami do niej, krzyczał coś do telefonu komórkowego. Był to Massimo. Nieznajomy wciąż mówił. Lucy zamknęła oczy, co podziałało jak wyłączenie radia: mężczyzna na-

tychmiast zamilkł. Usiłowała zrozumieć to, co mówił Massimo, lecz przypominało to próby oddzielenia łyżeczki wody od wodospadu. Poddała się, koncentrując się na tym, by przypomnieć sobie, gdzie jest i jak się tu dostała. Stopniowo wracały wspomnienia drogi do samochodu, lecz zamglone i splątane. Otworzyła dłonie i potarła nimi o gładką powierzchnię prześcieradła. Znajdowała się znów w mieszkaniu, leżała na łóżku. Jej dłoń dotknęła biodra, przykrytego jedynie cienką bawełną piżamy. Ktoś ją przebrał.

Massimo powtarzał słowo *no*, za każdym razem głośniejsze, wreszcie zakończył odwiecznym: *Basta, ci vediamo* i z trzaskiem odłożył aparat, najwidoczniej bardzo rozdrażniony. Zsuwając dłoń po biodrze, Lucy dokonała wprawiającego ją w zmieszanie odkrycia, że ktoś włożył jej w bieliznę niewygodną podpasękę.

Mocno zaciskała powieki, podczas gdy z szyi na policzki wypływał jej gorący rumieniec. Massimo i nieznajomy rozmawiali z ożywieniem, wypowiadając kilkakrotnie słowo, które przyprawiło Lucy o dreszcz – *ospedale*.

Skoro chcieli zabrać ją do szpitala, musiała być poważnie chora. Może tam umrzeć, bezbronna, niezdolna porozumieć się z obojętnymi cudzoziemcami. Doktorzy będą nieżyczliwi i chłodni, pielęgniarki niecierpliwie. Znów otworzyła oczy i zobaczyła otoczenie przez mgłę łez.

– Proszę, nie zabierajcie mnie do *ospedale* – jęknęła.

Zaskoczeni mężczyźni odwrócili się w jej stronę. Łzy spłynęły mjej na policzki, ale czuła się zbyt słaba, by je zetrzeć.

– Uważam, że nie musisz iść do szpitala – odezwał się Massimo.
– To właśnie usiłuję wytłumaczyć temu intruzowi.

– Powiedz, że czuję się lepiej – odpowiedziała Lucy.

Zacisnęła usta i lekko podniósł podbródek w geście, jak uznała, obiecującym. Potem znów rozpoczął kłótnię z nieznajomym, zapewne doktorem. Przez chwilę zaciekle dyskusja zdawała się wyrównana – każdy z nich odważnie i coraz częściej wpadał w słowo drugiemu – jednak wkrótce Massimo zaczął zyskiwać przewagę. Jego słowne salwy były dłuższe i głośniejsze, podczas gdy lekarz polegał głównie

na gestach ramion, grymasach i krótkich wykrzyknikach. Zadeklarowano rozejm. Lekarz wyszedł z pokoju naburmuszony, lecz zrezygnowany, a Massimo odwrócił się do Lucy z ponurą, pełną zadowolenia z siebie miną zwycięzcy.

– Idzie po torbę – powiedział. – Wróci, by zadać ci kilka pytań, zmierzyć ciśnienie *et cetera*.

Lucy kiwnęła głową, myśląc, jak dziwnie brzmi w rozmowie ła-ciński zwrot.

– Co mi dolega? – zapytała.

– Ten głupiec jest ostatnią osobą, która może to wiedzieć – odparł Massimo. – Mówi, że jeśli ci się pogorszy, to ci się pogorszy, ale jeśli się poprawi, to na pewno się poprawi. Powiedziałem mu, że to nic nie znaczy.

– Myślałam, że to może zatrucie.

– Możliwe. Podejrzał również cholerę.

– Cholerę! – zawołała Lucy. Doktor wrócił z torbą w ręce i symbolem swego zawodu – stetoskopem – na szyi. Podszedł do Lucy z powagą tak wyraźnie udawaną, że nie oszukałby nawet pięcioletniego dziecka. Był to przystojny mężczyzna o ciemnych, gęstych, prostych włosach oraz ciemnych i pełnych wyrazu oczach, dobrze ubrany, wręcz wymuskany. Kiedy wziął Lucy za rękę, by zmierzyć jej puls, zauważyła, że ma doskonale opiłowane i wypolerowane paznokcie. Rozpoczął badanie. Massimo stał obok, tłumacząc jego pytania i jej niechętnie odpowiedzi – niechętnie, gdyż pytania były na ogół krępujące: jak długo wymiotowała, czy wymiotowała krwią, czy miała również biegunkę, czy okres rozpoczął się w odpowiednim czasie, czy brała jakieś lekarstwa, czy czuła ból w czasie oddawania moczu. Massimo miłosiernie zachowywał bardzo rzeczowy ton i wydawał się bardziej zainteresowany precyzją tłumaczenia niż treścią rozmowy. Lekarz poprosił, by usiadła, żeby mógł osłuchać jej płuca. Kiedy usiłowała spełnić jego prośbę, odkryła, że nie ma na to siły. Massimo wręcz odepchnął doktora z drogi, by jej pomóc. Podniósł ją za ramiona. Oparła się na jego barku i oddychała głęboko, tak jak

kazał lekarz przesuwający po jej plecach zimny stetoskop. Wymamrotał coś, czego Massimo nie próbował nawet przetłumaczyć, po czym zajął się strząsaniem termometru wyjętego z górnej kieszeni marynarki.

Uświadomienie sobie własnej bezsilności jeszcze bardziej osłabiło barierę powstrzymującą powódź łez, gotowych w każdej chwili wypłynąć. Lucy walczyła ze sobą, lecz kiedy Massimo położył ją delikatnie na poduszce, przesunął dłonią po jej policzku i odsunął z twarzy kosmyk włosów, dała za wygraną. Łzy popłynęły jej z oczu, a z gardła wydarł się szloch tak głośny, że lekarz popatrzył na nią nieprzytomnie znad termometru – wciąż z profesjonalnym, fałszywym wyrazem powagi.

– Przepraszam – powiedziała przez łzy, po czym, przypomniawszy sobie włoski zwrot, dodała: – *Mi dispiace*.

Twarz lekarza na moment ożywił nie uśmiech, lecz cień prawdziwego uczucia. Jednak szybko przeminął. Włożył jej w usta termometr i w dłuższej przemowie poinformował Massima o swojej diagnozie. Ten odpowiedział uprzejmie i z opanowaniem; osiągnąwszy cel, nie wykorzystywał swojej przewagi. Lekarz wyjął termometr z ust Lucy, przyjrzał mu się z uwagą, zawyrokował: – Nie ma gorączki – wymawiając każdą sylabę starannie i z wyraźną dumą, po czym, wymieniwszy uprzejmości z Massimem, schował termometr do kieszeni, zamknął torbę i razem wyszli przez kuchnię. Lucy wykorzystwała kilka chwil samotności, by wytrzeć oczy i uspokoić się. Przeciągnęła dłonią po włosach; były pozlepiane, domagały się mycia. Kiedy spojrzała na swoje dłonie, zobaczyła, że paznokcie ma pozadzierane i brudne, a dłonie podrapane. Na opuszkach kciuków powstały strupy otoczone zaczerwienioną skórą z brudem ukrytym w zagłębieniach. Przypomniała sobie, że obudziła się w samochodzie w dzień. Deszcz przestał padać, lecz ona nie była w stanie nawet zdjąć swetra i po chwili znów ogarnęła ją ciemność. A potem nie pamiętała nic aż do przebudzenia w pokoju.

W drzwiach pojawił się Massimo. Podniosła rękę na powitanie i

zapytała:

– Czy mogę poprosić o wodę?

Zniknął i po kilku chwilach znów przyszedł z niewielką szklanką. „Nie wystarczy” – pomyślała. Mogłaby wypić cały dzbanek. Massimo przysunął krzesło do łóżka i podał szklankę, która wydała się jej niezwykle ciężka.

– Musisz pić, ile zdołasz – odezwał się. – Jesteś odwodniona. – W czarujący sposób przesunął akcent w ostatnim słowie. – Później ze szpitala przyjedzie ktoś z...jak to się nazywa... torbą z igłą do lekarstwa.

– Kroplówką – odpowiedziała Lucy.

– Kroplą? – zdziwił się Massimo. – Ale to cała torba.

– Owszem, ale podaje się po kropli, prosto do żyły – powiedziała.

– Rzeczywiście – przyznał, po czym zamilkł i patrzył, jak chciwie pije wodę. Wyciągnęła ku niemu rękę ze szklanką.

– Dziękuję – powiedziała.

Wzruszył ramionami. To nic. „Zawsze wszystko jest dla niego niczym” – pomyślała. Robił to, co chciał. Wziął szklankę i trzymał ją niedbale między kolanami. W kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu, jakby zastanawiał się nad czymś, co go jednocześnie fascynowało i bawiło.

– Jak udało ci się doprowadzić do takiego stanu w ciągu dwóch dni? – zapytał.

– To naprawdę coś – odparła.

– A dlaczego wyszłaś na dwór?

„Dobre pytanie” – pomyślała. Pamiętała, że wychodziła z mieszkania, przeglądała list, a potem pobiegła po schodach.

– To zmarły partyzant – wyjaśniła. Massimo spojrział na nią ze zdziwieniem. – Duch z książki DV – dodała. – Zobaczyłam go i poszłam za nim. Myślałam, że to ty.

Po południu, kiedy przy łóżku Lucy siedział sanitariusz, niski, wesoły mężczyzna z dobrodusznym uśmiechem, a dobroczynny płyn

przenikał w jej żyłę, Massimo wyszedł, by przygotować sobie miejsce do prowadzenia swych różnorodnych interesów w domu DV. Tuż po jego wyjściu pojawiła się signora Panatella, intonując coś, co brzmiało jak modlitwa, kiedy rozpakowywała w kuchni przyniesione jedzenie. Potem, wyrzucając z siebie przerywaną nagłymi okrzykami lawinę pozdrowień, podeszła do Lucy. Co za straszna rzecz, biedna signora Stark, spójrzcie na nią, jaka słaba i chora, co za nieszczęście. Lucy uśmiechnęła się słabo na ten wybuch; na tyle rozumiała włoski. Kobieta i sanitariusz rozpoczęli rozmowę, która najwyraźniej bardzo ich pochłaniała, dopóki nie przerwał jej szcęk dochodzący z kuchni.

– To syn – oznajmiła signora – wnosi składane łóżko, *un letto pieghevole*, dla signora Compitelli, *che brava persona*.

Pospieszyła pomóc mu zagospodarować się w salonie. Lucy leżała spokojnie, wpadając w drzemkę i budząc się, aż sanitariusz wyjął igłę z jej żyły, spakował swój sprzęt i powiedział:

– *Arrivederla. Domani, lei starà meglio, non abbia paura* – obiecał.

– Nie bój się – powtórzyła, kiedy odszedł, a ona została sama w pustym domu. Jednak już się nie bała. Jak kaktus, który po wielu latach czekania na deszcz odżywa, czuła, że jej ciało chciwie wchłania życiodajny płyn, a wraz z nim wypełnia ją optymizm i nowa siła. Miała ochotę wyładować energię w jakiś niedorzeczny, głupi sposób, jednak kiedy wiedziona tęsknotą za zmysłową przyjemnością gorącego prysznica spróbowała wstać z łóżka, zrozumiała, że jej uniesienie jest przedwczesne. Nadwerżona kostka nie udźwignie ciężaru jej ciała. Mogłaby skakać przez pokój do łazienki, lecz najpewniej nie zdoła wrócić. Gdyby Massimo po powrocie zastał ją leżącą na podłodze, mógłby zdecydować, że lepiej będzie zabrać ją do szpitala. Nie, uznała, musi poczekać. Położyła się z powrotem, pozwalając, by jej myśli swobodnie przepływały przez głowę, dotykając wydarzeń ostatnich kilku dni. W miękim, chłodnym świetle cichego pokoju niedorzeczne zdawały się podejrzenia, by ktokolwiek z miejscowych źle jej życzył. Wprost przeciwnie, ich gotowość do pomocy na wieść

ojej chorobie wskazywała raczej na otwartość i hojność, jakich trudno byłoby się spodziewać po obcych. Massimo, zwłaszcza Massimo, który tak się wszystkim zajął, a teraz gotów był porzucić swoje codzienne, zabiegane życie, dopóki ona nie będzie w stanie zmierzyć się ze swoim – jak kiedykolwiek zdoła odpłacić mu za taką życzliwość? Kiedy nad tym myślała, usłyszała kroki na schodach. Nie przyszło jej na myśl, że nagłe poruszenie, które odczuła, może oznaczać coś innego niż przyływ wdzięczności, gdyż Massimo natychmiast podszedł do jej łóżka.

– Obudziłaś się – stwierdził oczywisty fakt, jak to miał w zwyczaju.

– Czuję się o wiele lepiej.

– Czy czegoś potrzebujesz?

– Gdybyś mógł pomóc mi dojść do łazienki – poprosiła. – Chciałabym się umyć.

– Możesz chodzić? Mam cię zanieść?

– Spróbuję pójść. – Pomógł jej wstać z łóżka. Oparła się na jego ramieniu, idąc drobnym, ostrożnym krokiem. Przejście przez pokój wymagało od niej skupienia całej uwagi. Kiedy dotarli do drzwi, puściła go i przytrzymując się framugi, weszła do środka.

– W porządku – powiedziała, gdyż przyglądał się jej niepewnie.

– Będę tutaj – obiecał i cicho zamknął za nią drzwi.

Podeszła do umywalki i przez chwilę patrzyła na odbicie swojej twarzy w lustrze; od tak dawna jej nie widziała. Na prawej skroni zauważyła kilka zadrapań biegnących w dół policzka, ale oprócz tego wyglądała tak jak poprzednio: blada, zmęczona i chora. Odkręciła wodę i zaczęła zmywać brud z podrapanych rąk. Z natury była wymagająca i wołała zająć się zabiegami higienicznymi bez czyjegokolwiek nadzoru. Chciała wziąć prysznic, jednak umycie twarzy, rąk i zębów tak ją zmęczyło, że zrezygnowała z tego pomysłu. W łazience nie znalazła gąbki ani ręcznika do mycia, więc zrzuciła ubranie i postarała się umyć, jak mogła, z pomocą kostki mydła i bidetu. Pozbyła się nieprzyjemnej podpaski, zastępując ją przywie-

zionym tamponem. Od razu poprawiło się jej samopoczucie. W końcu znów włożyła piżamę, wrzuciła bieliznę do torebki z praniem i otworzyła drzwi. Massimo przyniósł sobie drewniane krzesło i siedział, czekając na nią cierpliwie.

– Dziękuję – powiedziała.

Wstał bez słowa i podał jej ramię. Oczywiście to on ją rozebrał, wiedziała o tym. Znalazł ją nieprzytomną, rozgorączkowaną, przemoczoną, brudną i pokrwawioną, w jakiś sposób przyniósł ją do mieszkania, zmienił ubranie i wezwał lekarza. Wyobraziła sobie jego starania, konsternację i obrzydzenie. Rozdzierało ją pragnienie dowiedzenia się o najgorszym i lęk przed tą wiedzą. Ujęła go mocno pod ramię, koncentrując się na swych żalonych, drobnych, drżących krokach. Łóżko wydawało się znajdować kilometry dalej. W końcu jednak do niego dotarła.

Spała i budziła się, lecz teraz znajdowała się w świecie rozpoznawalnym, nie czuła więc zmieszania i przerażenia. Massimo przyniósł jej rosół z jajkiem i siedział przy niej, kiedy jadła.

– Bardzo mi smakowało – powiedziała, podając mu pustą miskę.
– Jesteś dla mnie tak dobry.

– Musisz przestać być wdzięczna – odparł, zabierając talerz. Osunęła się z powrotem na poduszki i starała zrozumieć to zdanie, lecz nie potrafiła. Zamroczone wdzięcznością zapadła w głęboki sen.

Tym razem po obudzeniu usłyszała jego głos z kuchni. Mówił coś szybko. „Telefon go denerwuje” – pomyślała. Chwilę później przestała rozmyślać. Potem siedział przy stoliku w jej pokoju, tyłem do niej, pracując przy lampie, otoczony stosami poukładanych papierów. W pokoju panował mrok, jeśli nie liczyć światła taniej lampki i tak nie docierającego do wszystkich kątów. Massimo wyglądał jak średnio-wieczny mnich w swojej celi, piszący przy świecy. W jego wyprostowanych plecach i pochylonej głowie było coś, co przywodziło na myśl pustelnika i fanatyka. Lucy obserwowała go w milczeniu, a potem znów zasnęła.

Rano obudziła się ożywiona. Słyszała go z kuchni. Po kilku mi-

nutach zajrzał do pokoju i widząc, że nie śpi, podszedł do niej.

– Co mam ci przynieść? – zapytał. – Musisz być bardzo głodna.

– Jestem – odparła. – Ale przede wszystkim chciałabym wstać.

Uzgodnili, że spróbuje dojść do kuchni, gdzie on przygotowuje herbatę i chleb.

– Za wcześnie na kawę – ostrzegł. Dotarła do stołu z bardzo niewielką pomocą i siedziała, maczając kawałki chleba w filiżance herbaty z mlekiem, podczas gdy Massimo stał przy blacie i z gniewem rozmawiał przez telefon komórkowy. Z kim rozmawiał? Z żoną, może z pracodawcą? Zawsze miał obok siebie aparat, a kiedykolwiek zadzwonił, patrzył na niego z nie skrywaną wściekłością. Zawierał w sobie jego codzienne życie, wzywał go do powrotu i to go tak złościło. „Czy oznacza to – zastanawiała się Lucy – że chciał uciec od swojej codzienności?”

Skończył nagle i głośno odłożył słuchawkę, spoglądając na Lucy pochmurnie.

– Kłopoty? – zapytała.

– Głupota – odrzekł.

– Czy trudno ci na tak długo wyjeżdżać z Rzymu?

Jego zachmurzenie przeszło w irytację.

– Robię, co chcę – odpowiedział. – Często wyjeżdżam, na tym polega moja praca.

– Czy ja należę teraz do twoich obowiązków?

Zastanawiał się przez chwilę, wydawał się zainteresowany pytaniem.

– Jesteś zbyt słaba, żeby o własnych siłach przejść przez pokój – powiedział. – Jak mógłbym cię zostawić?

– To prawda – zgodziła się.

– Może jeszcze coś zjesz? Herbaty?

– Nie – odparła. – Wystarczy. Chciałabym umyć głowę, ale chyba nie uda mi się tak długo ustać na nogach.

– Postawię krzesło przy umywalce – zaproponował. – To żaden problem.

– Sprawiam ci tyle kłopotu...

Machnął ręką na jej protesty, nie interesowały go. Zajął się już realizowaniem swojego pomysłu. Wziął krzesło stojące przy stole i zaniósł je do łazienki, potem wrócił po nią.

– Gotowa? – zapytał.

Wstała i jedynie lekko przytrzymując się jego ramienia, poszła drobnymi krokami, właściwie skokami. W łazience przeszła do przodu i usiadła na krześle. Od razu stało się jasne, że oparcie jest za wysokie, by mogła pochylić głowę nad umywalką.

– Spróbuj ustawić je bokiem – zaproponowała, wstając.

Przytaknął, przesunął krzesło i Lucy znów usiadła. Wyginając się, zdołała przechylić głowę tak, by oprzeć szyję o porcelanę.

– Potrzebuję naczynia – powiedział Massimo. Poszedł z powrotem do kuchni i wrócił z fajansowym dzbankiem. – To wystarczy – stwierdził. Położył jej na kolanach ręcznik, wziął plastikową butelkę szamponu z wnęki w wannie i podał jej. – Potrzymaj – polecił, a sam zajął się odkręcaniem wody i zanurzając nadgarstek w strumieniu, sprawdzał jego temperaturę.

– Woda w tym domu jest na ogół gorąca – ostrzegła Lucy.

– Nie bój się – odpowiedział. – Nie poparzę cię.

Napełnił dzbanek i powoli polał jej włosy przyjemnie ciepłą wodą.

– I jak? – zapytał.

– Doskonale – oceniła. Stał tak daleko za nią, że musiała bardzo szeroko otworzyć oczy, by go dojrzeć. – Cudownie.

Spojrzał na nią z charakterystycznym półuśmiechem, cierpliwym i wyrozumiałym, który wydawał się wyrażać całą gamę skomplikowanych uczuć, jakie w nim budziła. Potem przeniósł spojrzenie na dzbanek, już pełen wody. Znów polał jej głowę, dłonią odsuwając włosy z czoła do tyłu. Lucy zamknęła oczy.

– Jak w raj – powiedziała. Wziął do ręki szampon, wycisnął go nieco na dłoń i rozprowadził po włosach, delikatnie masując, co dodatkowo odprężało. Lucy spodziewała się, że z trudem będzie dawał sobie radę, że będzie niezręczny i niecierpliw.

- Świetnie ci idzie – odezwała się. – Mógłbyś na tym zarabiać.
- Jego palce masowały jej skronie, usuwając ostatnie ślady zatroskania.
- Myślałaś, że nie mam o tym pojęcia? – zapytał.
 - Obawiałam się, że będziesz niedelikatny – przyznała.
- Wziął dzbanek i zaczął splukiwać pianę, zaczynając od karku i posuwając się w górę.
- Jestem delikatny – powiedział – bo jesteś słaba.
- Lucy otworzyła oczy i spojrzała na niego. Podnosił dzbanek nad jej głowę.
- Zamknij oczy – odezwał się, kiedy woda spłynęła jej na brwi.
- Potem, kiedy schylał się, wycierając jej głowę, jego usta musnęły jej policzek. Nie była pewna, czy to pocałunek, czy przypadek.

ROZDZIAŁ 10

Dni, które nadeszły, Lucy miała wspominać z mieszaniną nostalgii i rozpacz, tak jak się wspomina żywy, erotyczny, pełen uniesienia sen. Niezależnie od tego, jak bardzo próbowała, nie zdołała go odtworzyć. Była całkowicie zależna od Massima, a ledwie go знаła – zwykle taka sytuacja napełniała ją niechęcią, teraz jednak czuła zadowolenie i radość. Chociaż ledwie zdołała unieść łyżkę, na pytanie o samopoczucie odparłaby, że nigdy w życiu nie czuła się lepiej. „Może – zastanawiała się – potrzebowała po prostu odpoczynku i jej organizm wykorzystał pierwszą ku temu okazję”. Zadzwoiła do Jean McKay. Ta zapewniła ją, że sprawy DV mogą poczekać. Testament wywołał zamieszanie, a żadna z żon nie chce ksiązek i innych drobiazgów, które trzeba będzie sprzedać lub odesłać z powrotem.

– Wracaj do zdrowia – powiedziała jej Jean. – I przesyłaj wszelkie rachunki.

Pewnego popołudnia Massimo zapytał, czy nie zechciałaby posiedzieć na tarasie.

– Jest ciepło – powiedział – i świeci słońce.

Bardzo chciała wyjść z mieszkania, rozpocząć zwykłe życie, jednak, kiedy stała w drzwiach, spoglądając w błękitne niebo, łagodną stromizną zбочa pokrytego zielenią i złotem pól, nie miała ochoty wkraczać w ten świat. Massimo krzątał się, układał poduszki na żelaznym krześle, rozkładał swoje rzeczy: popielniczkę, papierosy i telefon na plastikowym stoliku, który wysunął na słońce. Kiedy tylko oboje usiedli i Massimo zapalił papierosa, telefon zapiszczał i rozpoczęła się następna z niezliczonych kłótni ze światem. Lucy przyglądała mu się z rozbawieniem. Na obiad zjadła kilka plasterów kureczaka i pieczone ziemniaki; jej żołądek przyjął posiłek bez protestów i teraz czuła się przyjemnie pełna. Nagłe poruszenie ptaków i następujący po nim chrzęst żwiru na podjeździe oznajmiły o nadejściu kogoś, na kogo zupełnie nie miała ochoty – gościa. Massimo podziękował signorze Panatelli, której kuchnię uznał za zbyt ciężką dla swej chorej, więc nie była to zapewne owa troskliwa dama. Lucy usłyszała zgaszenie silnika, otwarcie i zamknięcie drzwi. Massimo odwrócił się. Jedną dłonią machał w stronę wzgórz, drugą przyciskał do ucha telefon.

Jego rozdrażniony głos niósł się w powietrzu. Lucy wyprostowała się w krześle, starając się spojrzeć poza krawędź tarasu, gdyż usłyszała zbliżające się kroki. W następnej chwili pojawiły się głowa, ramiona, wreszcie cała postać Antonia Ciniego.

– O, Lucia – odezwał się, podchodząc. – Co za niespodzianka. Już na nogach. Zapewne czujesz się dużo lepiej.

– Tak – przyznała – ale jeszcze nie trzymam się pewnie na nogach.

Wyciągnął dłoń, którą Lucy ujęła na krótko, gdyż była tak zimna i bezwładna, że nie oferowała niczego w rodzaju powitania, ale raczej przekazywała informację, iż Antonio zna przyjęte formy grzecznościowe, lecz zachowuje wobec nich całkowitą obojętność. Czując poruszenie za plecami, Massimo odwrócił się i również potrząsnął jego dłonią ponad ramieniem Lucy, po czym, wykonując niecierpliwie

gesty pod adresem telefonu, wrócił do rozmowy.

– Zawsze rozmawia przez telefon – zauważyła Lucy.

– Zatem cię zaniedbuje.

– Ależ nie – odparła. – Wcale. Jest wzruszająco troskliwy. Chyba nigdy nie zdołam mu się odwdziżyć.

Antonio uśmiechnął się do niej, zaszczycając ją pełnią swego mdłego, wyniosłego stylu bycia.

– Nigdy – powtórzył. – To musi być męczące uczucie.

Lucy popatrzyła na Massima. Właśnie kończył rozmowę. Spojrzał na nią przelotnie, potem skierował wzrok na Antonia. Poczowała przyływ uczucia do niego, które w połączeniu z instynktowną niechęcią do rozmówcy przyprawiło ją o rozdrażnienie i wywołało odruch obronny.

– To obowiązek i spełnię go z radością – powiedziała.

Massimo odłożył telefon i powitał gościa lawiną włoskich serdeczności. Antonio odpowiedział w dość przyjazny sposób, choć nie skorzystał z wątpliwej wygody metalowego krzesła, które mu zaproponowano.

– Nie mogę zostać – wyjaśnił, przechodząc na angielski. – Wpadłem dowiedzieć się, jak się ma nasza biedna Lucia. Signora Panatella bardzo się interesuje jej powrotem do zdrowia, ale nie chce przeszkadzać, dopóki nie będzie potrzebna. Wtedy – zwrócił się do Lucy – z chęcią przyjdzie z pomocą.

Lucy odpowiedziała mu uśmiechem, osłaniając dłonią oczy, gdyż Antonio stał na tle słońca.

– To bardzo miło z jej strony – odparła.

Massimo i Antonio wymienili spojrzenia, które Lucy uznała za sardoniczne.

– Dlaczego sprawiła panu ten kłopot? – zapytała Antonia. – Czego chce?

Antonio wzruszył ramionami.

– Nigdy nie pogodziła się z pomysłem wynajęcia całego domu jednej osobie – wyjaśnił. – Rozumie, że twój przyjaciel tak wołał i że

nie uszczupla to jej dochodu, lecz teraz nie ma go wśród nas, dzierżawa nie jest na ciebie, Lucia, poza tym... cóż, to osoba niewykształcona, ze wsi. Dla kogoś takiego posiadanie pustego mieszkania klóci się ze zdrowym rozsądkiem.

Lucy wyobraziła sobie rozmowę, która spowodowała tę wizytę – zaniepokojoną, niedoświadczoną, lecz chciwą właścicielkę, do niedawna tylko dzierżawcę, proszącą o wstawiennictwo i radę wielki ród Cinich, od stuleci żyjący obok. Czy przypuszczała, że jej zatroskanie może stać się obiektem wszechogarniającej pogardy Antonia?

– Co chce zrobić? – rzucił Massimo. – Zapelnąć ten dom Niemcami?

Antonio uśmiechnął się swym najpaskudniejszym uśmiechem.

– Zapewne tak – odparł. – Tak wyobraża sobie raj.

– *Disgraziata!* – zawołał Massimo.

Lucy oparła się o krzesło, przecierając dwoma palcami oczy.

– Nie może nic zrobić – powiedziała. – Dziś jeszcze zadzwonię do agencji i poproszę, żeby jej to wyjaśnili.

– Chyba już ktoś usiłował – odparł Antonio ponuro.

– Cóż, będą musieli spróbować jeszcze raz – odparowała Lucy.

Antonio przestąpił z nogi na nogę. Lucy uświadomiła sobie, że nigdy nie stał zupełnie prosto. Zawsze był pochylony lub opierał się o coś.

– Przykro mi, że musisz przejmować się taką błahostką, kiedy jesteś taka chora.

– To okrutne – zgodził się Massimo.

Lucy nic nie powiedziała, podczas gdy Antonio przesuwiał swoje kapryśne spojrzenie z niej na Massima, który gasił papierosa, i z niego znów na nią, zamykając ich razem w wąskim, gorącym, wyjątkowo mrocznym kółku swych uprzedzeń.

– Nie przejmuję się tym – zaprotestowała Lucy. – Czynsz, nawiasem mówiąc bardzo wygórowany, jest zapłacony do końca miesiąca. Wiem, bo sama wypisywałam czek. Do tego czasu nie można wynająć domu. Czy Lucio Panatella nie jest bankierem? Z pewnością

sobie to uświadamia.

– Lucio wyjechał. Jednak kiedy wróci, na pewno ułagodzi za-
niepokojenie swojej matki.

Lucy roześmiała się.

– Cóż za zabawne słowo!

Antonio zmarszczył brwi i zacisnął usta w udawanym oburzeniu.

– Czy wyraziłem się niepoprawnie?

– Bardzo poprawnie – zapewniła Lucy. – I precyzyjnie.

– Cieszy mnie to – oznajmił. – Nie będę ci już przeszkadzał,
Lucia. Ciesz się, że masz się lepiej. Mam nadzieję, że przed wyjaz-
dem znajdziesz jeszcze czas, by zjeść z nami kolację. Oczywiście pan
również, signor Compiteli!. Będziecie mile widziani.

Lucy uśmiechnęła się, chociaż perspektywa kolejnego nudnego
wieczoru u Cinich nie pociągała jej do tego stopnia, że nawet nie
potrafiła sformułować podziękowania. Jednak Massimo najwyraźniej
bardzo się ucieszył. Wstał i podszedł do Antonia, na pół po angielsku
zapewniając go hałaśliwie o radości, jaką jemu i signorze sprawiło
zaproszenie. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, lecz niezbyt serdecz-
nie. Antonio najwyraźniej unikał żywotności Massima. Gość zszedł
po schodach. Massimo spoglądał za nim z podniesioną głową i rękami
na biodrach. Kiedy usłyszeli dźwięk uruchamianego silnika, podszedł
do stołu i usiadł.

– Cóż za nieprzyjemny człowiek – odezwała się Lucy.

Massimo spojrział na nią ostro.

– Jak możesz tak mówić? Jest bardzo życzliwy.

– To kłamca – odpowiedziała. – Cały czas kłamie.

– Ależ to absurd. – Massimo gwałtownie wyciągnął papierosa z
paczki. – Skąd to wiesz?

Lucy przyjrzała mu się uważnie. Było to pytanie retoryczne. Nie
wierzył, by mogła mieć jakiegokolwiek dowody na poparcie tego
zarzutu. Rozdrażniło ją, że tak łatwo brał stronę zmęczonego życiem
arystokraty przeciw cudzoziemskiej obserwatorce. Nie była także
pewna, czy ma ochotę podzielić się z nim sekretem dotyczącym listu.

Jednak jeśli mu tego nie powie, Massimo uzna, że relacjonuje tylko swoje uprzedzenia wobec Antonia, że opiera się na emocjach, a nie faktach.

- Kłamał, mówiąc o Catherine Bultman – odezwała się w końcu.
- Skąd wiesz? – powtórzył.
- Powiedział, że niemal jej nie zna, a w rzeczywistości kochał się w niej. Napisał do niej bardzo namiętny list.

- Masz jeszcze gorączkę – uznał Massimo, wstając. – Majaczysz. Wejdźmy do domu.

Zbyła go machnięciem ręki.

- Nie majacząc, widziałam ten list. Catherine zostawiła go w sąsiednim mieszkaniu. Sam możesz go zobaczyć.

- Znalazłaś prywatny list i przeczytałaś go?! – wykrzyknął. – Lucy, posuwasz się za daleko!

- Muszę przejrzeć papiery DV – zaprotestowała. – Po to tu przyjechałam. Poza tym nie przeczytałam go, nie mogłam. Napisano go po włosku. Ale to list miłosny, tyle mogę powiedzieć, i podpisany imieniem „Antonio”.

- Wiesz, ilu ludzi w tym kraju może mieć tak na imię? – zapytał.
- Jest bardzo popularne. To niczego nie dowodzi. Proszę, Lucy, to zmęczenie, chodźmy do domu.

- Nie słuchasz mnie – jęknęła, ale nie odrzuciła zaoferowanej jej pomocy. Miała rację: nie wydobrzała jeszcze na tyle, by sprostać nawet takim emocjom. Serce jej waliło, była bardzo zmęczona i znajdowała się na skraju łez. Wstając, poczuła nieposłuszne łzy wymykające się spod powiek.

- To nasza pierwsza kłótnia – dodała.

Massimo otoczył ją ramieniem i podtrzymując, poprowadził w kierunku drzwi.

- To nie kłótnia – powiedział. W kuchni położył chłodną dłoń na jej policzku. Lucy na moment zamknęła oczy i oparła się na niej. Delikatnie podniósł jej podbródek, spojrzała w jego przejrzyste, zimne, zielone oczy. Jak zawsze miał lekko rozbawiony wyraz

twarzy, ale czy tym razem nie kryło się za tym coś jeszcze, coś bardziej poważnego i szczerego? Nie była pewna.

„Może on ma rację” – pomyślała, rozchylając usta pod ciepłym dotykiem jego warg. „Może mam złudzenia”.

Ten pocałunek – ten pocałunek. Przez całe życie będzie wracał we wspomnieniu z całą mocą i tajemnicą, kiedy tylko zdarzy jej się czytać słowa „namiętny”, „zmysłowy”, „oszałamiający”. Przynajmniej tak myślała wieczorem, leżąc spokojnie w łóżku i przyglądając się wspomnieniu z ostrożnością i uwagą jubilera osadzającego klejnot w pierścieniu. Właściwie nigdy dotąd nie miała najłżejszego pojęcia o prawdziwym znaczeniu tych słów, zwłaszcza słowa „zmysłowy” – wypowiedziała je bardzo cicho, czując przy tym dreszcz zachwytu. „Poddanie” – to kolejne słowo, w ckliwych dziełach sentymentalnych pisarzy często łączone z niedopasowanymi przymiotnikami – na przykład „słodkie”. Nie było w tym nic słodkiego. Omal nie zemdląca. Stawiła jednak czoło ogarniającej ją ciemności, powoli, lecz przez długi czas przywoływana do rzeczywistości namiętnym, choć opanowanym, czułym pocałunkiem, który poruszył ją do głębi. Nie mogła się od niego oderwać i nie chciała tego.

Przewróciła się na bok i przycisnęła do siebie poduszkę. Częściowo urok wspomnienia polegał na tym, że był to tylko pocałunek, krótki i wszechogarniający moment uniesienia – kolejne słowo, które na zawsze zapamięta – a potem Massimo uwolnił ją, zaprowadził do łóżka, poprawił poduszki i koce, odsunął włosy z czoła tym swoim macierzyńskim gestem i odszedł, by odpocząć.

Zasnęła, choć nie wiedziała, na jak długo. W pokoju panowała ciemność. Czuliła się ożywiona, przejęta, jednak przede wszystkim głodna. Zaniechała rozmyślań, wstała, z zadowoleniem stwierdzając, że trzyma się na nogach o wiele pewniej, po czym poszła szukać Massima.

Stał przy kuchni, mieszając na patelni aromatyczne oliwki i pomidory, podczas gdy drugą ręką przytrzymywał przy uchu telefon.

Kiedy Lucy przysunęła sobie krzesło zza stołu, odwrócił się zaskoczony. Wyglądał na rozgniewanego, lecz na jej widok uśmiechnął się, a jego rozdrażnienie znikło. Powiedział kilka słów do słuchawki. Zrozumiała: *Ora devo riattaccare*, czyli „muszę kończyć”. Rozłączył się i położył telefon na stole, obdarzając ostatnim niecierpliwym gestem, jakby oczekiwał, że go ugryzie.

– Obudziłaś się – zauważył. – I sama wstałaś.

– Jestem zdrowa – odparła. Nie dodała przesadnego stwierdzenia, które przyszło jej do głowy – że uleczył ją jego pocałunek, choć na pewno mógł je wyczytać w jej oczach, jeśli chciał.

– Wspaniale – stwierdził, wracając do patelni. – Niedługo nie będziesz mnie potrzebować.

„Nie całkiem” – pomyślała. „Nie tak szybko”. Ale głośno powiedziała jedynie:

– Umieram z głodu.

Odkrył jeden z garnków, spojrzął do drugiego.

– Masz szczęście – odparł. – Makaron właśnie się ugotował.

– Chyba wreszcie się wyspałam. – Lucy nalała sobie kolejny kieliszek wina z karafki. – Mogę już w ogóle nie spać.

– To niedobrze – odezwał się Massimo. Stał przy zlewku, zmywając naczynia po kolacji. – Już niedługo północ.

– Mój zegar całkowicie się rozregulował.

– Twój zegarek się popsuł?

– Mój zegar biologiczny. W ogóle nie chce mi się spać. Zostałam sowa.

Postawił ostatni talerz na suszarce i odwrócił się do niej, wycierając dłonie w ścierkę.

– Musisz uważać, żeby nie pić zbyt dużo wina.

– Masz rację – przytaknęła, upijając kolejny spory łyk. – Ale macie tak doskonałe wino, że nie potrafię mu się oprzeć.

– Widzę – potwierdził. – Jesteś hedonistką i przez to pakujesz się w kłopoty.

Lucy uśmiechnęła się do niego, rozbawiona absurdalnością swego nowego wizerunku.

- Gdybyś wiedział, jakie to śmieszne!
- Wcale nie – sprzeciwił się. – Znam się na ludziach.

Roześmiała się.

– Cóż, nie widziałeś mnie w codziennych sytuacjach. Gdybyś miał taką okazję, wiedziałbyś, że jestem wyjątkowo praktyczna, odpowiedzialna, niezdolna do zrobienia niczego...

Przerwała, nie potrafiła znaleźć słowa. Do czego nie była zdolna? Massimo nie pomógł jej, lecz stał, patrząc, z ustami zaciśniętymi z rozbawieniem, które uważała za bardzo prowokujące.

– Zawsze mam wrażenie, że się ze mnie wyśmiewasz – dokończyła.

- Nie wyśmiewam się. Jesteś urocza – odparł.

Zarumieniona, nie przyzwyczajona do komplementów Lucy spojrzała jedynie na swoje dłonie. Kolejny łyk wina wydawał się doskonałym wyjściem z sytuacji.

Odszedł od zlewu. Kiedy dopiła wino, wziął jej kieliszek.

- Znów wpędzisz się w chorobę – upomniął.
- Czuję się świetnie – zaprotestowała. – Trochę bolą mnie stawy... – wyciągnęła ramiona nad głowę – i rwie w kostce, ale poza tym czuję się całkiem dobrze.

– Połóż się na moim łóżku, zrobię ci masaż – zaproponował. – Jestem w tym bardzo dobry.

– Naprawdę? – zdziwiła się, otwierając szerzej oczy. Poważnie kiwnął głową. – No cóż, wierzę w to. Ale nie mogę sprawić ci więcej kłopotu.

– Robię to zarówno dla siebie, jak i dla ciebie – przerwał. – To przyjemność.

Wskazał jej salon, gdzie czekało jego wąskie, starannie pościelone łóżko.

– Wiem – odparła Lucy. Wstała i wsparła się na jego ramieniu, przekraczając próg kuchni. – Ale nie rozumiem.

Kiedy leżała przed nim na brzuchu, przypomniała sobie pocałunek – czy naprawdę minęło tylko kilka godzin? – i nerwowe skurcze w piersi wyładowały się suchym kaszlem. Massimo ułożył jej poduszkę pod policzkiem i rozłożył ramiona na boki.

– Musisz być całkowicie rozluźniona – pouczył. Poduszka pachniała nim, mieszaniną aromatu papierosów, przyjemnego zapachu wody po goleniu – Lucy widziała w łazience butelkę i przypomniała sobie nazwę: „Toscana”; ziołowym szamponem (również zauważyła butelkę) oraz przenikającą wszystko, niepokojącą nutą, którą kojarzyła po prostu z mężczyzną. Od długiego czasu nie czuła tego zapachu. Po rozwodzie przeżyła dwa nieudane związki, oba rozpoczynające się przyjaźnią, którą należało pozostawić w tym stadium. Do Massima czuła coś zupełnie innego, całkiem nowego: była jednocześnie czujna i zafascynowana. Bardzo niewiele o nim wiedziała, ale wszystko to źle wróżyło spokojowi jej umysłu.

– Zacznę od stóp – oznajmił. Wziął w dłoń jej lewą stopę i mocno przycisnął kciukami podeszwę pod podbiciem. W następnej chwili przez jej łydkę przepłynęła fala ulgi, tak mocna, że Lucy jęknęła z zadowolenia. – Widzisz, ból stawów powodują złogi trucizny pozostałej po chorobie – wyjaśniał. – Kiedy się je rozpuści, ból zniknie, a ty poczujesz się jak nowo narodzona.

Przystąpił do masażu prawej stopy. Lucy uznała jego teorie medyczne za rodzaj wudu, ale nie chciało jej się z nim sprzeczać. Jego palce wydawały się odrywać mięśnie od kości, a towarzyszące temu uczucie – mieszanina bólu, przyjemności, oporu i poddania – wycisnęło jej łzy z oczu.

Przerwał na chwilę.

– Musisz zdjąć ubranie – powiedział, lekko pociągając za gumkę jej piżamy. – Zostaw tylko bieliznę, a ja przyniosę ręcznik, żeby cię przykryć.

Poszedł do łazienki. Lucy usiadła i ściągnęła spodnie od piżamy. Została w figach, koszulce, stanowiącej jej ulubioną wersję góry piżamy, i bawełnianym swetrze. Powoli rozpięła guziki, czując się

niezręcznie. Massimo wrócił z ręcznikiem.

Zdjęła sweter i złożyła go starannie, podczas gdy mężczyzna partrył i czekał.

– Jest za zimno, żebym zdjęła koszulę – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Zostań w niej – odparł. – Poradzę sobie.

Wziął od niej złożone ubrania i odłożył je na krzesło, a Lucy położyła się.

– Wstydzisz się rozebrać przede mną? – zapytał. Jego palce odkryły węzeł spiętych mięśni w kolanie. Naciskał, gładził i wyciągał je, aż Lucy zaczęła się obawiać, że rozłoży jej cały staw. Znow jęknęła.

– Tak – przyznała.

– Nie musisz. Pamiętasz, już raz widziałem cię bez ubrania.

– To właśnie mnie krępuje – odrzekła. Rozmasował jej nogę aż do krawędzi bielizny i znow posuwał się w dół. Podniosła dłoń do ust. Nie wiadomo dlaczego jej usta wydzielały więcej śliny niż zwykle – na poduszce pojawiła się wilgotna plama.

– Wiesz również, że mam żonę i dzieci, więc wiem o wielu rzeczach... – zatrzymał się – ...jakię można robić z ciałem.

– Dzięki za przypomnienie – odpowiedziała.

Przycisnął dolne części dłoni do jej pleców i oparł się na nich całą swą masą. „Dzieci również” – pomyślała Lucy. „Ile?” Wyobraziła go sobie pośród rodziny, z kapryśną, atrakcyjną żoną z kwaśną miną trzymającą imbryk z wrzątkiem, psotną córką drażniącą się z rozpieszczonym, niecierpliwym młodszym bratem, który patrzy na nią tymi samymi zimnymi, jasnymi oczami odziedziczonymi po ojcu. A jeśli ognista piękność dowiedziałyby się, że jej mąż masował nogi Amerykanki w domu na tokańskiej wsi, czy nie wylałyby mu tego wrzątku na głowę? Nie, zdecydowała Lucy. Nawet jeśli Massimo oczekiwał tego, nie zada mu żadnych pytań dotyczących rodziny. Zamknęła oczy i poddała się przyjemności. Po kilku chwilach Massimo zapytał:

– Czy chce ci się spać?

- Nie – odparła. – Wcale.
- Podnieś się – powiedział. – Podwinę ci koszulę.

Zrobiła, o co prosił. Poczula falę bezsensownego zażenowania, kiedy koszulka odsłoniła jej piersi. Natychmiast padła bez gracji na poduszkę. Massimo przykrył ją ręcznikiem od pasa w dół.

– Będę musiał uklęknąć nad tobą, żeby sięgnąć twoich ramion – powiedział. Łóżko ugięło się lekko, kiedy wszedł na nie i umieścił kolana po jej bokach. Potem usiadł na jej pośladkach.

- Nie jestem za ciężki? – zapytał.
- Nie – odparła.

Przebiegł palcami po jej kręgosłupie w górę i w dół, zatrzymując się, by odnaleźć miejsca do rozmasowania. Lucy rozmarzonym wzrokiem spojrzała w głąb słabo oświetlonego pokoju. Pomyślała o swoim mieszkaniu na Brooklynie, o zabieganym życiu, które tam prowadziła – teraz zdawało się tak odległe w czasie i przestrzeni, że ledwie je pamiętała. Potem wyobraziła sobie fale oceanu, wznoszące się i opadające, po jednej stronie osrebrzone blaskiem księżyca, a po drugiej być może wciąż zaczerwienione od zachodzącego słońca. Pod nimi zaś całą ogromną przestrzeń dla morskich stworzeń, ich życie, nigdy spokojne, wciąż w ruchu, wciąż w pośpiechu, ciężkie i zdradliwe. Jaka wielka głębia, jaka tajemnica. Przepłynęła ją, jakby była to wyjątkowo szeroka przecznica, lecz teraz odgradzała ją od wszystkiego, co знаła i czuła tam, bijąc w brzeg obcego lądu, na który wyrzuciła Lucy, pozbawioną swojego środowiska tak, jakby sztorm wyrzucił na brzeg rybę.

– O czym myślisz? – zapytał Massimo. Jedną ręką podniósł jej lewe ramię, a drugą uciskał jej kręgosłup. Głowa Lucy opadła ciężko na poduszkę jak zbyt ciężki owoc na gałęzi winorośli.

- O oceanie – odparła.

Massimo puścił jej ramię i wcisnął palce w inne miejsce na szyi.

– O czym?
– O Atlantyku – wyjaśniła. – Jaki jest wielki i jak różne ryby w nim żyją.

Zajął się drugim ramieniem.

– Jesteś bardzo dziwną kobietą, Lucy – powiedział.

– Naprawdę? Dlaczego?

Odsunął dłonie od jej szyi. Podniósł się i jednym ruchem położył obok niej na wąskim łóżku. Poczowała ukłucie żalu – masaż dobiegł końca. Jednak Massimo dotknął jej policzka i położył dłoń na jej skroni.

– Tak inną, że mam ochotę kochać się z tobą.

Uśmiechnęła się. Pomyślała o jego trosce, kiedy mył jej głowę, niezwykłym pocałunku, jaki nigdy nie znajdzie równych, zmysłowej przyjemności masażu, tak surowego, lecz delikatnego, a teraz tej prostej deklaracji pożądania, które, jak odpowiedziały jej drżące nogi i bijące serce, odwzajemni bez skrępowania i bez przymusu.

– Łóżko jest bardzo małe – powiedziała – i niezbyt solidne.

Pochylił się nad swoją kostką i zaczął rozwiązywać buty.

– Będziemy się bardzo starać, żeby go nie złamać – odparł.

ROZDZIAŁ 11

– W całej tej sprawie jest coś niejasnego – odezwała się Lucy.

Massimo zasłonił okładką bloku koszmary grymas DV.

– Dlaczego ktokolwiek miałby przechowywać taką pamiątkę? – zauważył. – To wydaje się dziwne.

– I nie wygląda na miłość – zgodziła się Lucy.

Przejrzeli zawartość szafy DV. W kieszeni jego ulubionej kurtki Lucy znalazła, jak oczekiwała, klucze od wynajętego samochodu. Potem pokazała Massimowi rysunek, wciąż leżący na łóżku, gdzie zostawiła go zaskoczona przez signore Panatellę. Teraz wydawało się to bardzo dawno temu, choć minął ledwie tydzień. „Przed Massimem?” – pomyślała. Od tej pory wiele wydarzeń będzie dla ułatwienia określała jako dziejące się przed lub po Massimie. Spojrzał na półotwartą szufladę z wystającą kopertą – dokładnie tak, jak ją zostawiła.

– To list, o którym mówiłaś – stwierdził.

Lucy pochyliła się i podniosła kopertę.

– Szkoda, że nie mam próbki pisma Antonia Ciniego – powiedziała. – Może uda mi się namówić go, żeby, coś napisał, kiedy pójdziemy tam dziś wieczorem.

Ręką przytrzymał jej dłoń. Nie pochwalał jej zainteresowania listem. Lucy uważała, że jego skrupuły wiążą się ze szczególnym szacunkiem, jaki żywił do imienia Cinich.

– A jeśli będziesz pewna – zapytał – że signor Cini napisał list do przyjaciółki twego pracodawcy, co wtedy, Lucy? Co tym udowodnisz?

– Nie wiem – przyznała. – Udowodnię jego kłamstwo. Udowodnię, że coś się tu wydarzyło.

– A co się według ciebie wydarzyło?

Pytanie trafiło w czuły punkt, jak w siniak.

– Nie wiem – jęknęła. – Nie wiem. To wszystko wielka tajemnica, prawda? I napisana po włosku. Nie mogę przeczytać tego listu, nie mogę przeczytać nawet raportu policyjnego. DV nie powiedział nikomu o odejściu Catherine, ale najwidoczniej przebywała tu tak krótko, że nawet gospodarz jej nie pamięta. DV nie należał do ludzi lubiących samotnie przebywać w pustym domu – rozłożyła ramiona – na odludziu. A już z pewnością nie chodził na nocne spacerunki w kompletnej ciemności tak sobie, dla zabawy. Nienawidził przebywać na dworze, bo panicznie bał się owadów. I gdzie ta studnia, do której wpadł? Nikt nie chce o tym mówić. A gdzie Catherine Bultman? Ludzie nie rozplývają się w powietrzu, Massimo.

– Zaczynasz się denerwować – zauważył.

– Jestem zdenerwowana.

– Musisz się uspokoić. – Odsunął blok. – Usiądź na łóżku.

Usiadła. Stał przed nią, trzymając ją za ręce.

– Podczas choroby... – zaczęła – ...miałam sen. DV przyszedł mnie obudzić, był rozgniewany. Nigdy nie widziałam go tak rozgniewanego.

Oczekiwała, że to wyznanie skwituje pogardliwym parsknięciem, jednak on spojrział na nią uważnie, jakby wreszcie powiedziała coś ciekawego.

– Co powiedział? – zapytał.

– Nic. Tylko potrząsał mną.

Objął ją ramieniem, a ona oparła głowę na jego piersi. „Jest taki dziwny” – pomyślała. „Zupełnie niepodobny do wszystkich, których znam”.

– Myślisz, że został zamordowany? – zapytał.

– Szczerze mówiąc, nie. Chciałabym tylko uzyskać kilka prostych odpowiedzi, ale wydaje mi się, że to będzie bardzo trudne.

– Ale jeśli naprawdę nie podejrzewasz niczego, to... niepotrzebnie szukasz tych odpowiedzi. – Poglądził ją po włosach, przyciskając jej głowę do siebie. – Dlaczego nie zbierzesz rzeczy swego przyjaciela, nie wyślesz ich do rodziny w Ameryce i...

– I nie pojedziesz do domu – dokończyła głosem drżącym ze zdenerwowania i żalu nad sobą. „Czyżby chciał po prostu pozbyć się mnie?” – pomyślała.

Odsunął się do tyłu, trzymając ją za ramiona, i schylił się, spoglądając jej w twarz.

– I nie pojedziesz ze mną do Rzymu? Jutro muszę wracać i przez tydzień nie będę mógł przyjechać. Nie chcę rozstawać się z tobą na tak długo, niewiele czasu nam zostało.

„Rzym” – pomyślała. „Jego rodzina, przyjaciele”. Czy przedstawi ją jako klientkę? Może będą się spotykali tylko u niej w hotelu? Niezależnie od niewielkich możliwości byłaby niemądra, gdyby ich nie wykorzystwała. Może potem będzie tego bardzo żałować, nawet na pewno będzie żałować – ale nie będzie to żal za straconą okazją. Ten sposób myślenia – w stylu Massima – sprawił, że poczuła podniecenie i porzuciła rozsądek. Sama sobie wydawała się bohaterką romantycznych filmów, zawsze gotową – wręcz pragnącą – rzucić swoją przyszłość na najbardziej niepewny los. Otoczyła go ramionami i przyciągnęła do siebie.

– Tak – powiedziała głębokim, nowym głosem swojego wcielenia z wyobrażonego filmu – pojadę z tobą do Rzymu. Chyba pojechałabym wszędzie.

Lucy od razu wiedziała, że nie można od niej wymagać, by dotrzymała tej obietnicy, lecz złożenie jej dawało wymówkę potrzebną do zignorowania możliwych sprzeciwów wobec planu Massima – niepraktycznego i nieprzyzwoitego. Wszystkie jego cechy, które normalnie uczyniłyby ją jeszcze bardziej ostrożną – jego nieopisana pewność siebie, wyraźna chęć kontrolowania ich relacji, niechęć do poruszania wszelkich tematów oprócz najbardziej powierzchownych, jego widocznie dwuznaczny stosunek do własnej żony, czyli wszystkich kobiet, szczególnie brak ironii – łączyły się w mieszankę, którą Lucy uznała za niegroźną, a wręcz pociągającą. Wydawał się myśleć jak jedyny dorosły w otoczeniu dzieci i głupców, ciężar niezliczonych obowiązków niósł ze stoicką rezygnacją. Jego uśmiech był uśmiechem człowieka zmęczonego światem. Lucy nie słyszała, by kiedykolwiek się śmiał. Nie był próżny, gdyż nie przejmował się swoim wyglądem; raczej, jak myślała, on sam był swym wyglądem. Był z siebie zadowolony, zawsze widział siebie. Traktował ją jak dziecko. Stała się jedną z jego podopiecznych i jako taka była przedmiotem jego ojcowskiego zainteresowania i dumy z jej drobnych sukcesów. Czuwał nad jej zdrowiem, troszczył się o nią i karmił ją. Lubił, kiedy zjadała wszystko z talerza. Z rozbawieniem myślała, że jego zainteresowanie jest czysto fizyczne. Nikt dotąd tak się nią nie interesował.

Oczywiście wszystko to czyniło go niezwykle podniecającym kochankiem. Jego ciało, tak dla niej pociągające, okazało się muskułarne i zadbane. Mimo że je podziwiała, od początku było jasne, że nie zachwyca się nim bardziej niż on. Ze swojego współżycia usunęli wszelką skromność, w ogóle nie była im potrzebna. Jego ciało było prezentem dla niej, a jego ciekawiło wszystko, co wiązało się z jej ciałem. Chciał dowiedzieć się wszystkiego. Przypominał jej mężczyznę, który kupił sobie drogi, skomplikowany samochód: pragnął

jak najlepiej o niego dbać, by móc jeździć długo i szybko. Jej reakcje traktował jak nagrodę. Cokolwiek robiła, by sprawić mu przyjemność, wywoływało jego nieopisane zadowolenie. Później, kiedy Lucy leżała wyczerpana, zamruczała:

- Jak ty to robisz?
- Ty też to robisz, Lucy – odparł.

Miała uczucie podobne do tego, które ogarnia młodą kobietę – młodszą od niej, stwierdziła z żalem – po upojnej nocy: świat stał się większy, bardziej różnorodny, zaskakujący i ciekawszy niż poprzednio, ale widziała również, że świat Massima został taki, jaki był wcześniej. Ona traciła dech z podniecenia i zdziwienia, on był taki jak zawsze. Oboje wiedzieli, że jest to dla niej przygoda, która skończy się wraz z powrotem do jej dawnego życia w jej kraju. On zaś cały czas żył swoim życiem, nigdy go nie zmienił.

Kochając się, zrzucili na podłogę blok rysunkowy. Jego okładka zawinęła się i twarz DV wykrzywiła się w kierunku sufitu. Potem ustalili plany.

Massimo miał wyjechać pierwszy; ona pojedzie później pociągiem, gdyż, jak ją zapewnił, jazda samochodem do Rzymu to czyste piekło. Nie sposób znaleźć, miejsca do parkowania, a w mieście nie będzie potrzebować samochodu. Znał hotel – mały, położony niedaleko jego biura i należący do przyjaciela, więc niedrogi i zapewniający prywatność. W miejscach publicznych będą musieli zachować dyskrecję ze względu na jego rodzinę, ale na pewno będzie mógł codziennie zjeść z nią obiad lub kolację, spróbuje również spędzić z nią przynajmniej jedną noc w hotelu. Słuchając go, mimowolnie uświadamiała sobie nieprzyjemne położenie jego żony, która najwyraźniej była do tego przyzwyczajona – Massimo traktował ją jak przeszkodę lub obowiązek. Lucy wydawało się, że wie, kiedy Massimo do niej dzwoni – wtedy jego głos brzmiał bardziej rozkazująco, częściej wykrzykiwał słowa: *Non m'interessa*, których używał, kiedy chciał zmienić lub zakończyć niewygodny temat. Jak zauważyła, nie interesował się pozostałą częścią świata. Zapewne

niedługo ona sama także znajdzie się w tej wciąż rosnącej grupie. Jednak teraz, kiedy wyjaśniał jej swoje plany, jego dłonie przesuwały się po jej ciele, czasem delikatnie, czasem z siłą, lecz nigdy brutalnie czy gwałtownie, znajdując wszystkie miejsca, które przyprawiały ją o dreszcz i kazały się prężyć, przybliżając do niego.

Obrócił ją na bok, przysunął jej biodra do siebie i zaczął delikatnie całować po ramionach i szyi. Kiedy się poruszyła, jej głowa ześli-znęła się z materaca i Lucy spojrzała prosto w wykrzywioną twarz DV.

W tym łóżku DV sypiał z Catherine.

Odsunęła się od brzegu, głębiej w objęcia Massima. Jednak czuła DV spoglądającego z podłogi i czającego się w każdym kącie pokoju jak chłodny dreszcz. Nie umarł tutaj, ale nie wątpiła, że wiele przecierpiał, a część tego cierpienia została w pomieszczeniu jak kurz na wszystkich powierzchniach.

Jedź do Rzymu, powiedziała do (siebie. Zapomnij o DV. Zostaw ten dom. Jedź spędzić kilka dni pomiędzy żywymi.

ROZDZIAŁ 12

W ciągu trzech minut od chwili ich wejścia do salonu, Antonio Cini, który miał stać się testem ich dyskrecji, zauważył nowy rodzaj bliskości między Lucy i Massimem. Udałoby mu się to wcześniej, ale był zajęty kłótnią z ojcem, która skończyła się dopiero wtedy, kiedy starszy człowiek obraził się i odszedł do swojego ciemnego pokoju, nie zwracając uwagi na przybycie gości. Antonio zwrócił się do nich; jego zimne oczy przesunęły się po Lucy jak schodzący lodowiec. Zrozumiała, że od jego ostatniej inspekcji jej wygląd zmienił się i Antonio wie, że ona i Massimo są kochankami. Wziął jej rękę i pochylił się, składając na jej policzkach lekkie pocałunki, mrużąc jej imię jak aluzję. Poczwała zapach – może czegoś, czym skropił włosy – zbyt słodki i zmieszany z kwaśnym odorem, może potu, a może

zapachu jego skóry. Mieszanka przyprawiała o mdłości. Lucy przypomniała sobie poprzedni pobyt w tym salonie. Nikt z gości nie rozchorował się po kolacji, czyli jedzenie było dobre, ale wspomnienie choroby i poufałości Antonia nagle odebrały jej apetyt.

– Więc jesteś całkowicie uzdrowiona – powiedział. – Dzięki wysiłkom tego dżentelmena. – Ujął dłoń Massima niemal z entuzjazmem. Lucy znów uderzyła jego niemal archaiczna angielszczyzna. Gdzie się jej nauczyła?

Wizyta przebiegała prawie tak samo, jak za pierwszym razem. Antonio częstował drinkami, potem zaproponował wyjście na taras. Był ciepły, pogodny wieczór, powietrze aż ciężkie od zapachu cytryn. Lucy wzięła kieliszek na taras i oparła się o ciężki kamienny parapet, z rozmarzeniem wpatrując się w gwiazdy. W czasie przejścia z jadalni znalazła się blisko Massima, który przesunął palcami po jej biodrze z poufałym naciskiem, bez wątpienia celowym. Nie wiedziała, czy Antonio zauważył ten dowód ich bliskości, ale stwierdziła, że nie obchodzi jej to, czerpiąc z lekceważenia przyjemne poczucie własnej odwagi. Dwóch mężczyzn usiadło za nią na krzesłach. Słyszała ich rozmowę prowadzoną na pół po włosku i na pół po angielsku. Massimo wyjaśniał, że następnego dnia zamierza wrócić do Rzymu. Antonio nie okazał zaskoczenia tą wiadomością. Również informacja, że Lucy spędzi kilka dni w stolicy, nie wywołała żadnego okrzyku poza uprzejmym zainteresowaniem.

Lucy odwróciła się od okna.

– Nie wyjeżdżam z Massimem – wyjaśniła. – Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Chcę zebrać dokumenty, by wysłać je z Sansepolcro. Potem chyba pojedę pociągiem. Czy można zostawić samochód na stacji na kilka dni?

– Raczej tak – odparł Antonio. – Ale jakim samochodem zamierzasz jechać?

– Wynajętym samochodem DV – odrzekła.

Jakby samo imię DV miało właściwość uciszania ludzi, Antonio przyjrzał się uważnie swojemu aperitifowi i odpowiedział dopiero po

chwili:

- Zastanawiam się, czy da się go w ogóle uruchomić.
- Dlaczego nie? – zapytał Massimo. – To nowy samochód.
- Och, na pewno zapali – zgodził się Antonio. – Chodzi tylko o to, że od dawna nie był używany. Zapewne trzeba naładować akumulator.

Lucy zmarszczyła brwi. Znow jakaś komplikacja.

- Przecież DV na pewno używał go czasami...
- Nie. Szczerze mówiąc, wiem, że go nie używał. Twój przyjaciel nigdzie nie jeździł. Samochód nie był używany od... – obliczał na palcach – według mnie od jakichś pięciu miesięcy.

Lucy spojrzała na niego zaskoczona, usiłując wpasować ów nieoczekiwany obraz DV jako samotnego wygnańca w to, co już o nim wiedziała. Nie dawało się, nie miało sensu.

- DV uwielbiał jeździć – powiedziała.
- Naprawdę? – odparł pytaniem Antonio.
- To nie ma znaczenia – wtrącił Massimo. – Jeśli samochód nie działa, rano wyślę kogoś, by go uruchomił.

- Pozwólcie, że zaproponuję inne rozwiązanie – powiedział Antonio. – Nie mam nic do roboty i z przyjemnością cię odwiozę, Lucia. Na poczcie możesz mieć kłopoty, personel zupełnie nie umie się zachować. Pomogę ci tam, a w dodatku nie będziesz musiała martwić się zostawianiem samochodu na stacji.

- Twoja kostka nadal nie jest w pełni sprawna – przypomniał jej Massimo. – Lepiej będzie, jeśli poprowadzi ktoś inny. Od początku nie podobał mi się ten pomysł.

- Nie chcę sprawiać kłopotu – zaprotestowała Lucy, choć wiedziała, że mężczyźni już się zgodzili i jej protesty nie zdadzą się na wiele. Powierzono ją opiece Antonia. Myśl o spędzeniu z nim pół godziny w samochodzie, sam na sam, przypawiła ją o bolesne ukłucia w okolicach kręgosłupa; żeby temu zaradzić, wzięła potężny łyk czerwonego wina.

- To żaden kłopot – zapewnił Antonio. – Nic nie sprawi mi

większej przyjemności.

Uśmiechnęła się na to przesadne określenie tego, co w najlepszym razie było, jak uznała, leniwym zaciekawieniem. „Kierują nim tak słabe i niekonsekwentne siły” – pomyślała. Nawet teraz jego nie szczere zaprzeczenia przerwał przyjazd jego ojca i babki, którzy pojawili się w salonie w obłoku własnego niezadowolenia. Lucy wymieniła spojrzenie z Massimem, tak krótkie, że nie mogła go odczytać, ale poczuła się uspokojona. Antonio wstał.

– Wejźmy do środka – polecił. Kiedy Lucy go mijala, jego palce musnęły jej łokieć. Ku swemu zaskoczeniu, na to dotknięcie, tak krótkie i z pewnością niewinne, zareagowała, odsuwając się od niego. Antonio zauważył jej reakcję.

– Lucia – zawołał cicho, z naganą w głosie, a ona poczuła krew napływającą do policzków. U szczytu stołu stał stary mężczyzna, wpatrując się w nią drapieżnym spojrzeniem. Za sobą słyszała Massima i Antonia wymieniających uwagi. Zastanowiła się, dlaczego ten człowiek tak na nią patrzy? Wyglądał, jakby chciał ją rozedrzeć na strzępy.

„Brąz i złoto słoneczników przywołały nieznośne wspomnienie – Lola latem, długie opalone nogi, pełne złociste piersi, złota grzywa rozpuszczona, powiewająca swobodnie na wietrze, w gwałtownych zmaganiach z palącym słońcem”.

Lucy westchnęła. Naprawdę zadziwiająco, jak DV zdołał wszystko zepsuć. Po pierwsze, porównanie kobiety do słonecznika było nieprawidłowe. Kolory się nie zgadzały: słonecznik nie miał żółtych płatków o brązowych środkach; czyżby nigdy ich nie widział? Po drugie, roślina nie ma oczywiście nóg, a jej płatki z matematyczną dokładnością rozmieszczone są wokół środka – w przeciwieństwie do swobodnej złotej „grzywy” kobiety. Mimo że złe, zdanie sprawiło DV nieco kłopotu. Skreślił słowo „włosy” i, żeby jeszcze bardziej zammatwać obraz i wywołać u czytelnika skojarzenia z lwem, a nie słonecznikiem, napisał powyżej „grzywa”. Dopisał frazę „powiewa-

jąca swobodnie na wietrze”, zmienił „zmagania” na „walkę”, po czym znów przywrócił „zmagania”.

„Biedak” – pomyślała Lucy. Kompletnie nie miał zdolności, ale zarabiał tyle pieniędzy, że musiał się trzymać tego zajęcia, rok po roku i strona po stronie. W każdym wywiadzie mówił o fizycznym i umysłowym wysiłku, wręcz torturze pisania – o tym, ile go to kosztowało, jak chwiejnym krokiem odchodził od biurka niczym bokser na ringu, posiniaczony, poobijany, zastanawiając się, czy starczy mu odwagi na następną rundę. Dziennikarze uwielbiali takie stwierdzenia. Nigdy nie przyszło im do głowy, by zapytać: skoro to tak śmiertelnie męczące, dlaczego nie znajdzie sobie czegoś lżejszego, może sprawiającego większą satysfakcję, bardziej dostosowanego do jego możliwości? Zamiast tego wydawali współczujące pomruki i wszystko to zapisywali. Artysta cierpi dla sztuki – to było przyjęte i wszechobecne odczucie, z którym prasa całkowicie się zgadzała.

„Jednak dlaczego – zastanawiała się Lucy – dlaczego naprawdę musieli aż tak cierpieć?” Nie mogła jakoś wyobrazić sobie, by trudności DV, wynikające głównie z braku znajomości podstaw gramatyki i składni, można było porównać z herkulesowymi wysiłkami artysty w rodzaju Michała Anioła czy nawet stoickimi, lecz wyczerpującymi metodami pracy Flauberta lub Henry'ego Jamesa. Nie, DV nie był artystą tej klasy. Był po prostu człowiekiem, który, choć nie powinien, pisał książki. Jednak nawet on cierpiał, nawet on wyobrażał sobie, że służy wielkiej bogini sztuki i że jest to naturalna kolej rzeczy. Skoro mistrzyni jest tak okrutna, tak bezlitosna i wymagająca, po co w ogóle wstępować do niej na służbę? Jaki w tym urok?

Lucy odsunęła krzesło, usiadła przy stole i skupiła się na ostatnim tekście napisanym przez DV przed śmiercią. Nie było tego wiele. Malcolm Manx wciąż przebywał na wsi, dochodząc do siebie po romansie, jednak wkrótce sytuacja zaczęła się zmieniać. Porsche przeobraziło się w wynajętego forda, a Malcolm już nie spotykał nikogo w czasie podróży. Nie rozmawiał z nikim oprócz spotykanych po drodze sprzedawców; nikt nie był dla niego wyjątkowo miły i na

nikim nie robił piorunującego wrażenia. Szczerze mówiąc, w trakcie krótkiego postoju na stacji benzynowej został nieuprzejmie potraktowany przez obsługę i oszukany na pięćdziesiąt tysięcy lirów, ale był tak onieśmielony i do tego stopnia nie znał systemu monetarnego kraju, że spostrzegł to dopiero po długim czasie. Wtedy, choć pieniądze niewiele dla niego znaczyły, poczuł się upokorzony i rozgniewany. Jego złamane serce było w coraz gorszym, a nie lepszym stanie; zdał sobie sprawę, że kobieta – Lola – opuściła go nie z powodu nerwicy wywołanej koszmarną przeszłością i rozdarcia pomiędzy nim a poprzednim kochankiem, lecz dlatego, że po prostu ją nudził. Wszystko mu ją przypominało. Zatrzymał się i poszedł dalej pieszo. Pola olbrzymich słoneczników przyglądały mu się z uwagą. „To tylko rośliny” – powiedział sobie, jednak na pewno nie były mu obojętne. Ich ogromne, pozbawione rysów twarze obracały się cicho na grubych łodygach, wciąż w kierunku słońca. I oczywiście, jak wszystko wokół, przywodziły mu na myśl utraconą miłość.

Dużo pił i nie wychodził z domu. Upadł na schodach, stłukł sobie biodro i goleń. Potem nagle sceneria się zmieniła. Malcolm siedział za biurkiem, nalewając sobie bourbona do kieliszka.

Wziął długopis i napisał:

..Straciłem wątek tej historii. Myślałem, że znam zakończenie, ale myliłem się. Po twoim odejściu – tego nie było w planie, choć było w opowieści – po twoim odejściu. Po jej odejściu on...”

Tyle. Po jej odejściu on... dlaczego przerwał w połowie zdania? Czy zadzwonił telefon, czy ktoś zapukał do drzwi?

A może zobaczył kogoś przez okno? Człowieka ze strzelbą?

Wyjrzała przez okno, poprzez podjazd spojrzała na miejsce, w którym zobaczyła mężczyznę. Było późne popołudnie, niebo blade, powietrze chłodne – w okolicy panowała fascynująca cisza. Nic się nie poruszało, nawet liście na drzewach; nie rozlegał się żaden dźwięk. Massimo pojechał do Rzymu, w objęcia rodziny, która go powita, będzie mu usługiwać, nadskakiwać, a żona wcześniej zapędzi

dzieci do łóżek, by zostać z nim sam na sam. Dziwne, ale ta myśl nie sprawiła jej przykrości. Nawet jej się spodobała – Massimo czujący się świetnie w codzienności swego otoczenia, w mieście, które było również jego własne, w pewien głęboki, niemal rodowy sposób. Wiedziała, że absolutnie nie jest zagrożeniem dla jego świata, i uznała, że on również zdaje sobie z tego sprawę. Zaskoczył ją, kiedy powiedział, że na ogół nie miewa romansów, gdyż brak mu czasu i ochoty, nie potrzebuje takich rozrywek. Wyznał również, że nigdy wcześniej nie kochał się z Amerykanką.

– I co o tym myślisz? – zapytała. – Czy istnieje jakaś różnica?

Leżeli w łóżku w mieszkaniu DV. Oparła głowę na jego piersi, ich nogi splotły się niedbale.

– Owszem – odparł. – Wielka.

– Jaka? – nalegała.

– Na swój sposób słodka – odpowiedział. – Ponieważ jesteś tak nieśmiała.

– O!? – zdziwiła się. – Myślałam, że jestem hałaśliwa i nie-przyzwoita.

Parsknął – był to śmiech czy kłopoty z oddychaniem? Potem zmienił temat.

Jakiś ptak, podobny do wróbla, z czerwonawą plamą na brzuszku i ciemnymi plamami przy dziobie, usiadł na parapecie i wskoczył prosto na biurko. Lucy siedziała bez ruchu. „Bardzo rzadko można z tak bliska zobaczyć dzikiego ptaka” – pomyślała. Ptak mierzył ją spojrzeniem, przekrzywiając ostrożnie główkę, potem, upewniwszy się, że z tej strony nie grozi mu niebezpieczeństwo, zajął się dziobaniem krawędzi notesu DV. Myśli Lucy znów powędrowały do Massima, jego zachowania, kiedy byli razem, tak ją zdumiewającego. Dwa razy w nocy, śpiąc w łóżku, które uważała za łóżko DV, obudziła się, czując jego ręce przesuwające się po jej ciele. Bez słowa, w stanie rozmarzonego półprzebudzenia tak zupełnie pozbawionego samokontroli, że samo wspomnienie przyprawiało ją o rumieniec – odpowiedziała na te pieszczoty. Cały romans był tak łatwy, jak upadek na

puchową poduszkę. Pewność bliskiego zakończenia sprawiała, że Lucy niemal nie mogła znieść przepelniających ją emocji, choć wiedziała, że poradzi sobie z pożegnaniem, kiedy nadejdzie czas. Nie miała powodu, by utrzymywać to w sekrecie. Irytował ją Antonio Cini, który czegoś się domyślał. Mógł co prawda jedynie zgadywać, a to, co odgadł, na pewno było dla niego godne pogardy albo przynajmniej śmiechu. Czy Amerykanki zawsze tak postępowały? Przyjeżdżały do Włoch w poszukiwaniu kochanków – dlaczegóż by nie spełnić tego pragnienia, skoro to takie łatwe, a one okazywały się takie chętne? Potem, po powrocie, niewielka przygoda rosła do rozmiarów ognistego romansu, który można wspominać w długie, samotne, zimne amerykańskie wieczory. Wszystko to wyczytała w jego oczach. Z pewnością jutro podczas podróży będzie usiłował podpytać ją o to dyskretnie, tak jak ona miała nadzieję dowiedzieć się czegoś o jego znajomości z Catherine Bultman. Zapowiadała się niezbyt przyjemna, choć prawdopodobnie owocna podróż.

Ptak zrezygnował z dziobania notatnika i zajął się ołówkiem. Podniósł w dziobie gumkę, upuścił ją na biurko i znów podniósł. Za każdym razem, uderzając o drewno, ołówek wydawał głośny stukot, równy i zaskakująco głośny, jak tykanie zegara. „Zapewne dlatego – uznała Lucy – że w pokoju panuje taka cisza”. Ptak z uporem maniaka wykonywał wciąż tę samą czynność, jakby powtarzał niezwykle ważne ćwiczenie. „Ptasi kulturysta” – pomyślała. Nie ruszała się przez cały czas, więc jej postać stała się częścią pokoju na równi z meblami – przynajmniej tak mógł ją widzieć ptak.

Tutaj przez ostatnie miesiące życia przebywał DV – samotnie, dzień po dniu pracując nad swą kiepską powieścią. Może wścibski wróbel odwiedził także jego przed dziwacznym wypadkiem, który tak niespodziewanie zakończył jego życie. Wypadek to kolejny temat, który zamierzała poruszyć podczas podróży z Antoniem. Do tej pory doskonale go unikał, jednak tym razem przycisnie go do muru – a ponieważ będą w samochodzie, nie zdoła jej uciec.

Ptak dotarł z ołówkiem do krawędzi biurka; ołówek przetoczył się

przez jego brzeg i spadł na podłogę. W tym samym momencie niesamowity, delikatny powiew wiatru poruszył kartkami papieru równo ułożonymi przez Lucy na biurku. To przstraszyło ptaka, który z łopotem poderwał się do lotu, skierował prosto w otwarte okno i wyleciał w białe światło popołudnia. Ołówek potoczył się w jej kierunku. „Podłoga jest nierówna” – zauważyła. Wiatr przemknął obok niej, chłodząc jej policzki i czoło. Budził dziwne uczucie, jak chłodny prąd w ciepłym strumieniu. „Dziwne – pomyślała znów – taki chłodny, charakterystyczny dreszcz”. Potem poczuła głębsze zimno zaczynające się w dole kręgosłupa i biegnące w górę, a tak wyraźne, jak dotyk lodowatych palców. Jej włosy zareagowały natychmiast – skóra napięła się, a one, choć nie najeżyły się jak sierść u kota, w pewien niezauważalny gołym okiem, lecz odczuwalny sposób stanęły dęba. Zdawała sobie sprawę, że gdyby poruszyła choć palcem, złudzenie czyjejś obecności znikłoby, ale nie wykonała żadnego ruchu, nasłuchując uważnie. Powiew ucichł tak nagle, jak się zerwał – i Lucy wsłuchiwała się w ciszę, w której nie słyszała nic prócz swojego oddechu. W końcu usłyszała nawet coraz szybsze bicie własnego serca. Ktokolwiek czy cokolwiek to było, znajdowało się tuż za nią. Czuła za plecami zgromadzoną energię, w ledwie odczuwalny sposób napierającą na nią – jak ciężar spojrzenia, przed którym nie można się ukryć. Ktoś ją obserwował.

Powoli, z wysiłkiem nieproporcjonalnym do zamierzonego ruchu, odwróciła się na pięcie i spojrzała za siebie, w puste drzwi, na pusty podest i otwartą sypialnię DV. Wtedy jej oczy omal nie wyskoczyły z orbit, a serce uderzyło jak puszczone w ruch silnik bez przełączania biegu – ktoś na nią patrzył. Podniosła dłoń do ust, by stłumić krzyk. Rozpoznała obserwatora – to jej własne odbicie w lustrze otwartych drzwi szafy. Jednak to odkrycie tylko pogłębiło jej przerażenie i zaskoczenie, gdyż była absolutnie pewna, że kilka godzin temu zamykała je i przekręcała klucz w zamku. Na pewno nie otwierała ich powtórnie. Przebiegła przez półpiętro i stanęła naprzeciw swego przstraszonego, wyraźnie bladego odbicia. Przejrzała szafę, wyglą-

dającą tak, jak wtedy, kiedy ją zostawiła – pustą, jeśli nie liczyć kilku wieszaków. Obok niej stała spakowana rano walizka z ubraniami i butami DV – ze wszystkim, co znajdowało się w szafie. Walizka była otwarta, na złożonych ubraniach spoczywał blok rysunkowy. Lucy nie wiedziała, co z nim zrobić. Nie wiedziała, co zrobić z tym wszystkim. Zamykając drzwi szafy, stwierdziła, że była stara, zapewne nie trzymała dobrze. Podłoga w sypialni, jak i w pozostałych pokojach, była nierówna, więc drzwi same się otworzyły. Jej szybkie ruchy przerwały urok, Lucy znów stała się tą samą praktyczną osobą, co zawsze. Odosobnienie domu i wszechobecność DV poruszyły w niej wszelkie emocjonalne struny, podatne na sugestie. A może raczej była to wszechobecna nieobecność DV, ciężar świadomości, że kiedyś tu przebywał, ale już go nie ma.

A to tylko stary zamek. Kiedy Lucy przekreślała klucz, mechanizm opierał się i walczyła z nim przez chwilę, zanim nie usłyszała, że zadziałał. Pociągnęła za klamkę, by upewnić się, że zamknęła drzwi, po czym wróciła do gabinetu i przejrzała pudła z książkami spakowanymi rano; książkami, których nikt nie chciał, których przesłanie do Stanów będzie tak drogie, że właściwie nieopłacalne. Jednak nie chciała pozbywać się ich. Jak na ironię, DV pisał kiepskie książki, ale sam ich nie czytał. Lucy uspokoiła się – jeśli państwo zapłaci za transport książek, może uda jej się tanio je odkupić.

Jednak nie wiedziała, za co zapłaci państwo – a nawet kto je reprezentuje. Jean McKay poparła plan wyjazdu Lucy do Rzymu na kilka dni, prosząc jedynie o przesłanie papierów, które według Lucy mogłyby ją zainteresować, oraz rachunków potrzebnych księgowym. Reszta miała zostać w domu do powrotu Lucy. Taka sytuacja zapewne przyprawi signore Panatellę o łzy gniewu. Lucy wyjaśniła, że jedzie do Rzymu w sprawach zmarłego najemcy – Antonio Cini przejrzała ją łatwo, jednak Panatella przypuszczalnie uwierzyła w to. Amerykanie zawsze podróżowali w interesach, a podczas tych podróży słynęli z rozrzutności i ekstrawagancji.

„Dlaczego przejmuję się tym – myślała – co sądzą o mnie ci ludzie,

skoro wkrótce zniknę z ich życia – i na odwrót – tak całkowicie, jakbym wzorem DV wpadła w dziurę w ziemi?” Przechyliła się przez biurko i zamknęła okno. Będzie spała w mniejszej sypialni, gdzie wizyta zjaw jest mniej prawdopodobna. Rano, po krótkiej, mało przyjemnej podróży z Antoniem, pojedzie do Rzymu i Massima. Choć rozstali się dopiero przed kilkoma godzinami, tęsknota za nim odzywała się we wnętrzościach bólem, którego nigdy wcześniej nie czuła.

ROZDZIAŁ 13

Antonio Cini nie uległ jednemu z nowoczesnych mitów wiążącemu prestiż właściciela z wielkością i mocą jego samochodu. Tak przynajmniej myślała Lucy, wsiadając do ciasnego pojazdu, niepozornego, stalowobłękitnego pudełka na kołach, z silnikiem głośno protestującym wobec wyzwania, jakie stanowiło wycofanie na lekko nachylonym podjeździe przed domem. Wnętrze było zakurzone, a obite plastikiem siedzenia przykrywały tanie pokrowce z czarnego materiału w przerażające różowe groszki. W dywanikach zgrzytał piasek, który najwyraźniej spadł z butów poprzednich pasażerów. Antonio nie zapinał pasów. Po krótkiej walce z nieposłusznym pasem przy swoim siedzeniu, zaprojektowanym tak, że nie pasował do niczego, co przypomina ludzkie ciało – Lucy zrezygnowała i pozwoliła mu ześlizgnąć się do poprzedniej pozycji przy futrynie drzwi. Z przeraźliwym hałasem ruszyli podjazdem w dół. Lucy złapała się wiszącego obok pasa i wbiła stopy w podłogę przed sobą. Antonio zdawał się całkowicie pochłonięty kierownicą, biegami i sprzęgłem, więc mogła mu się swobodnie przyjrzeć. Z jakiegoś powodu zdecydował się być dla niej miły i ten wysiłek nieco zmienił jego wygląd. Nigdy, uznała Lucy, nie nazwie go atrakcyjnym: miał zbyt miękkie, za mało umięśnione ciało, zbyt żółtawą skórę, fioletowe, nieapetyczne usta i brodę z tego rodzaju, która zawsze wygląda na nie ogoloną,

mimo że czerwonawe zadrapanie na podbródku i drugie przy uchu świadczyły o niedawnych próbach golenia. Ogólne wrażenie braku zdrowia, niewłaściwej diety i braku ruchu potęgował jego sposób ubierania się – lubił najwyraźniej sztuczne włókna i kolory nie pasujące do jego karnacji. Dziś na przykład nosił błękitny golf z materiału o nienaturalnym połysku oraz brązowe wełniane spodnie z gumkami po bokach, pozwalającymi dopasować je do zmieniającego się rozmiaru. Jednak wyraz jego twarzy był mniej kwaśny i bardziej ożywiony niż kiedykolwiek przedtem. Przyjechał po nią dokładnie na czas, z upominkiem, który całkowicie ją zaskoczył, gdyż świadczył zarówno o jego trosce, jak i hojności – cechach, których nie spodziewała się odkryć w tym człowieku. Spojrzała pomiędzy siedzeniami do tyłu, gdzie na podłodze leżała mocna, lecz elegancka laska wyrzeźbiona z jasnego drewna, ze srebrną rączką w kształcie głowy lamparta.

– Proszę, weź ją ze sobą – powiedział, wręczając jej upominek. – Poruszanie się po Rzymie może sprawić ci kłopot. Ulice są wybrukowane małymi kamieniami, a ruch jest... – Dotknął palcami czoła, próbując przypomnieć sobie odpowiednie słowo. – A kostki nie wyleczyłaś jeszcze do końca.

Szczerze mówiąc, Lucy sama o tym pomyślała i martwiła się, że w czasie samotnych wycieczek, podczas nieobecności Massima, nie będzie miała czym się podpierać. Obawiała się ponownego zwichnięcia, gdyż jej kostka, mimo że w dużo lepszym stanie, nadal nie pozwalała na chodzenie bez ciasnego obandażowania.

– To bardzo miłe – powiedziała. – Właśnie czegoś takiego potrzebuję. – Przyjęła laskę i przyjrzała się pięknie wyrzeźbionej głowie zwierzęcia z wystającymi łukami brwiowymi i szeroko otwartymi, pustymi, lśniącymi oczami. Była stara, może należała do pamiątek rodzinnych. Może wyjął ją spośród równie wspaniałych rzeczy, kiedy przy wychodzeniu wpadła mu do głowy niespodziewana myśl.

– Oczywiście – dodała – po powrocie oddam ci ją.

Wzruszył ramionami.

– Trzymaj ją tak długo, jak długo będziesz jej potrzebować – odparł. Mimo że nie było to wyjątkowo kurtuazyjne stwierdzenie, Lucy przyjęła je jako wystarczająco uprzejme, gdyż mogła oddać mu przedmiot, który według niej był zbyt cenny jak na upominek. Uśmiechnęła się do niego i przeszła kilka kroków po kuchni, by zademonstrować użyteczność laski. Jednak Antonio już stracił zainteresowanie upominkiem, już wykonał odpowiedni gest. Zdziwił się natomiast niewielką liczbą jej bagaży.

Dotarli do końca podjazdu. Samochód wjechał na równą drogę, czemu towarzyszyło drżenie i podskoki jak w lądującym samolocie. Lucy poprawiła się na siedzeniu i wygładziła spódnicę na kolanach. Zastanawiała się właśnie, jak rozpocząć rozmowę o DV, kiedy Antonio wyręczył ją w tym.

- Spakowałaś rzeczy swojego przyjaciela? – zapytał.
- Tak – odparła. – Chociaż jeszcze nie wiem, dokąd je wyśle.
- Na pewno jego rodzinie.
- Nie miał rodziny.

Antonio zmarszczył brwi i spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie utrzymywał kontaktów z byłymi żonami – wyjaśniła – a jego rodzice zmarli jakiś czas temu.

– Jakie to smutne.

– Część papierów wysyłam do jego agenta – dodała, wskazując na grubą kopertę leżącą na jej małej torebce na tylnym siedzeniu. – Chociaż nie jest tego zbyt wiele.

– Nie znalazłaś nie dokończonej książki o mojej rodzinie? – Właśnie ze zgrzytem i hałasem mijali jego dom. Mówiąc o swojej rodzinie, Antonio wskazał brodą kamienny mur chroniący teren przed wścibskimi.

– Nie – zapewniła Lucy. – Nigdy jej nie skończył. Zresztą i tak nie opisał w niej twojej rodziny, ale siebie. Wszystkie książki pisał o sobie.

– Ale w tej zamieścił opis mojego domu i naszą rodzinną opowieść.

Lucy uśmiechnęła się, widząc jego niepokój.

– Naprawdę nie musi się pan o nic obawiać, signor Cini. Ta nieukończona książka nigdy nie zostanie opublikowana.

– Proszę, mów mi Antonio – zaprotestował.

Kiwnęła głową. Nigdy nie będzie tak go nazywać.

– To książka o DV, samotnym w domu na wsi po odejściu Catherine, a także o tym, jak bardzo za nią tęsknił.

Wspominając Catherine, przyglądała mu się z boku. Zaciśnięła szczęki, a w jego oczach coś mignęło. „To imię sprawia mu ból” – pomyślała. DV nie był jedynym cierpiącym z powodu Catherine Bultman.

– A czy w książce wyjaśnia, dlaczego kobieta odeszła? – zapytał, zdobywając się na niedbały ton. Lucy zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią. Mogła zmyślić, że z powodu innego mężczyzny – choćby po to, by sprawdzić jego reakcję. Jednak jak zwykle zdecydowała się powiedzieć prawdę.

– Odeszła, bo ją znudził.

Antonio gwałtownie uniósł brwi, a kąciki jego ust opadły. Massimo też czasami przybierał taki wyraz twarzy. Na myśl o nim Lucy poczuła przyjemny dreszcz pożądania. Niedługo, niedługo będą razem.

– To prawda – odezwał się Antonio. – Bardzo się tu nudziła.

– Powiedziała ci to?

Dojechali do skrzyżowania z asfaltową drogą prowadzącą do autostrady. Antonio zatrzymał samochód i pochylił się ku przedniej szybie, jakby oczekiwał, że nagle znikąd pojawi się sznur samochodów.

– Nie musiała mi mówić – odparł.

– Czy często ją widywałeś?

Wjechał na szosę, wciąż walcząc z biegami i puszczając sprzęgło tak wolno, że silnik niemal zgasł. Był beznadziejnym kierowcą, prowadził jak nastolatka. Stopniowo doszedł do ładu z biegami i ruszył stałą prędkością, dużo poniżej dopuszczalnej granicy.

– O tak – powiedział lekkim tonem. – Widywałem ją czasami. Świetnie mówi po włosku. Naprawdę dobrze, niemal bez akcentu. Nie wiem, gdzie się tego nauczyła. Twój przyjaciel nie odzywał się wcale, ona załatwiała wszystko za niego. Wydawał się całkowicie zależny od niej. – Przerwał po ostatniej uwadze, wygłoszonej urzędowym tonem prawnika przedstawiającego miążdzący dowód winy. – Oczywiście wiedziałem, że to nie może trwać długo.

– A czy malowała? Przyjechała tu malować.

– O tak – przytaknął. – Widziałem ją w okolicy z małym pudełkiem akwarel.

Lekceważące słowo „małe” zmusiło Lucy do obrony Catherine.

– Jest doskonałą malarką – powiedziała.

Antonio obrzucił ją szybkim, niedowierzającym spojrzeniem.

– Nie wiem – odparł. – Malarze, których podziwiam, nie żyją od pięciuset lat.

Lucy wyjrzała przez okno; mijali piękne tereny. Na łagodne wzgórze wspiniała się winnica, a na jego wierzchołku wysadzany cyprysami podjazd prowadził do dużego domu koloru ochry, skąpanego w czystym porannym świetle. Powietrze było orzeźwiająjące, liście zaczynały blednąć. Lato się skończyło, ale minie jeszcze trochę czasu, zanim drzewa zżółkną. Na razie natura zdawała się zmęczona letnim upałem. Potem, przy skrzyżowaniu, Lucy dojrzała kapliczkę – jaskrawo pomalowaną figurę Matki Boskiej w ciemnej grocie zbudowanej z okruchów skał. Całość stała na ciężkim piedestale ozdobionym świeżymi kwiatami. Droga wydawała się znajoma. Lucy odwróciła się, by na nią spojrzeć. Za drogą rozciągało się skoszone pole, a na nim stał mur. Czy szczegół, który ledwie dojrzała, to nie brama cmentarza, gdzie pochowano DV?

– Czy to droga do Ugolino? – zapytała.

– Tak – odparł Antonio. – Jesteś spostrzegawcza.

– Rozpoznałam bramę. Chciałabym przed wyjazdem odwiedzić grób – powiedziała. – Może uda mi się zasadzić na nim roślinę, która będzie dobrze rosła bez opieki.

Nie odezwał się, zajęty manewrowaniem na głębokiej koleinie w asfalcie. Potem rzucił jej krótkie, chłodne spojrzenie.

– Gdzie jest studnia? – zapytała nagle.

– Słucham?

– Studnia. Ta, do której wpadł DV. Gdzie się znajduje? Czy mogę ją zobaczyć?

– Nie sądzę, żebyś chciała ją oglądać – odparł. – Zresztą już nic nie zobaczysz. Zamknięto ją.

– Dlatego, że była tak niebezpieczna?

– Otwarto ją tylko na krótki czas – na kilka godzin, aby ją wypompować. Potem wymieniono i zamknięto.

– Co wymieniono?

Zmarszczył brwi.

– Niemilo mówić o takich rzeczach.

– Jak można wypompować studnię? – pytała dalej. – Czy nie są one zasilane podziemnymi źródłami?

Teraz spojrzał na nią z zakłopotaniem.

– Obawiam się, że zaszło nieporozumienie – powiedział.

– DV wpadł do studni, prawda?

– To angielskie słowo na *pozzo*? Dziura w ziemi?

– Na wodę – przytaknęła. – Tak, zgadza się.

Puścił kierownicę i rozluźnił golf.

– Ciepło dzisiaj – zauważył.

– Co to za nieporozumienie?

Przełknął ślinę, po czym, podjąwszy decyzję, odpowiedział jej wyniosłym, wypranym z emocji głosem kogoś, kto interesuje się całą sprawą jedynie z czysto akademickiego punktu widzenia.

– Twój przyjaciel nie wpadł do studni. Byłoby to dość trudne, gdyż studnie są normalnie wyniesione nad powierzchnię ziemi i wąskie.

– Tak właśnie myślałam.

– Wpadł do *pozzo nero*. Nie wiem, jak to powiedzieć po angielsku.

- Czarnej studni? – zapytała.
- Są przy domach, gdyż nie ma tutaj rur na ścieki, jak w miastach.
- Szambo – powiedziała cicho.
- Co to za słowo?
- Szambo – powtórzyła głośno. – Na ścieki.
- Właśnie – potwierdził. – Zwykle nie ma okazji, aby nauczyć się tego słowa.

- Jezu – powiedziała.
- Beton był pęknięty, rozumiesz.
- Zbiornik – podpowiedziała.
- Tak. Należało go wymienić. Jednak, jak to się często zdarza, po otwarciu okazało się, że pompa nie działa za dobrze – a może w ogóle jej nie dowieziono. Nie pamiętam. Zbiornik należał do gospodarstwa sąsiadującego z ziemią Lucia Panatelli.

Musieli przerwać, bo zapadł zmrok, ale postawili wokół ogrodzenie. Jednak twój przyjaciel jakimś sposobem zdołał spaść ze wzgórza za studnią, bardzo stromego wzgórza, z lasu, w którym nocą na ogół nikt nie spaceruje.

- I wpadł do zbiornika.

Antonio kiwnął głową.

- Częściowo. Znaleźli go wcześniej rano, kiedy przyszli skończyć pracę. Uderzył głową w betonową krawędź.
- Co za niegodny koniec.
- Przykro mi, że dowiedziałaś się tego ode mnie.
- Ale dlaczego znalazł się nocą w lesie?
- Nierzęsto go widywałem – powiedział Antonio.

Dojechali do wjazdu na autostradę. Przez kilka chwil był zajęty rozpędzaniem samochodu, który wył z wysiłku, lecz ze względu na niewielki ruch bez kłopotów wjechał na prawy pas. Lucy spojrzała na pole dawno przekwitłych słoneczników. Ciemne, ciężkie kwiaty zwisały z suchych łodyg, pochylone ku ziemi jak oddziały pokonanych żołnierzy.

- Sporo pił – kontynuował Antonio. – Z tego, co wiem, w ogóle

nie wychodził. Listę zakupów zostawiał dla signory Panatelli, tłumaczyłem ją dla niej. Na liście zawsze znajdowała się whisky. Po pewnym czasie Lucio kupił całą jej skrzynkę, by jego matka nie musiała specjalnie jeździć do miasta.

– Dużo pił – potwierdziła Lucy. – Ale tylko w towarzystwie. Lubił pić z przyjaciółmi.

– Nie miał tu przyjaciół – zauważył Antonio.

„Nie” – pomyślała gorzko Lucy. „Mogłeś stać się jego przyjacielem, ale zajęłeś się uwodzeniem jego kochanki”. Spojrzała w dal, na zieleń i złoto tokańskich pól, na niebezpieczny błękit nieba zdającego się przygniatać ludzi, na cały krajobraz ustawiony i zrównoważony jak na widokówce. Wydawał się nawet błyszczeć jak ona. Kiedyś ta sceneria służyła artystom jako subtelne, tajemnicze tło dla wymyślonych bohaterów lub dodatkowy wymiar w portretach możnych i potężnych. Na starych płótnach była zwykle szara, zamglona – zapewne teraz też tak czasem wyglądała. W oddali, na szczycie wzgórza, Lucy zauważyła ostre zarysy miasta wciąż obwarowanego starym murem, gotowym bronić, gdyby pojawił się wróg.

– Ani słowem nie wspomniał, że coś jest nie w porządku – powiedziała. – Nikomu nie powiedział o odejściu Catherine. Wszyscy myśleliśmy, że są tutaj bardzo szczęśliwi.

Antonio nie odezwał się, choć słuchał uważnie. Przesunął spojrzenie z drogi na pasażerkę, potem znów na drogę.

– Nie zwierzył ci się – stwierdził.

– Chybaby tego nie zrobił, nawet gdyby chciał. Był moim pracodawcą. Nigdy naprawdę nie rozmawialiśmy o jego życiu prywatnym.

Antonio kiwnął głową.

– Oczywiście.

„Co oczywiście?” – pomyślała Lucy. „Oczywiście nic nie wiem o takich sprawach, gdyż przez całe życie ani minuty nie przepracowałem u kogoś?” Milczała, lecz jej nieufność do niego rosła, nabierając kształtu jak żagiel na wietrze. Wiedział więcej, niż mówił, była tego

pewna. Grał w jakąś absurdalną grę, wciągał ją swymi tajemniczymi niby-pytaniami i rzadkimi aluzjami do tego, ile wiedział o życiu mieszkańców domu.

– Może rzeczywiście zobaczył ducha – powiedziała tylko po to, by go rozdrażnić. Od razu wiedziała, że jej się udało, gdyż Antonio zacisnął wargi, jakby ugryzł coś kwaśnego.

– Lucia – odparł najbardziej irytującym i protekcyjnym tonem.

– Nie miał zbyt wiele wyobraźni – kontynuowała. – Pisał powieść o duchu, a nigdy wcześniej tego nie robił, więc coś musiało go zainspirować.

– Zastanawiam się, w jaki sposób dowiedział się o naszej rodzinnej historii – przyznał Antonio. Był tak widocznie zmartwiony, że Lucy mu uwierzyła.

– Może duch mu powiedział – podsunęła.

– Chyba nie wierzysz w zjawy – zaprotestował.

Obserwowała go uważnie. „Opowiedział Catherine historię o zamordowanym partyzancie – pomyślała – a potem Catherine opowiedziała ją DV”.

– Nie wierzyłam, póki tu nie przyjechałam – odparła.

– Aha. Zostałaś nawrócona.

– W nocy, podczas której zatrasnęłam drzwi, kiedy byłam chora, wyszłam, gdyż widziałam mężczyznę na podjeździe. Patrzył w kierunku domu. Miał strzelbę.

Prychnął z oburzeniem.

– Bez wątplenia to Lucio Panatella polował na dziki. Bardzo niszczą nasze pola.

Lucy przyglądała mu się przez chwilę.

– Och – powiedziała.

Massimo nie uwierzył w mężczyznę, uznał go za wytwór gorączki, majak lub sen. Szczerze mówiąc, sama Lucy niewiele pamiętała z tej nocy. Mimo że wiedziała, iż musi istnieć proste wyjaśnienie tego, co – jak sądziła – zobaczyła, poczuła się dziwnie rozczarowana tą odpo-

wiedzią. Znajdowała się na wsi, a nie w wielkim mieście, gdzie mężczyzna spacerujący nocą z bronią zapewne jest mordercą. Nocna zjawą była myśliwym broniącym swojej posiadłości i przynoszącym łupy – tym razem w sensie dosłownym. Lucy siedziała w milczeniu, z niezadowolaniem rozpatrując absurdalność swoich podejrzeń.

Dotarli do przedmieść Sansepolcro i krajobraz zmienił się nagle z wiejskiej sielanki w wielkomiejską brzydotę. Lucy zauważyła sklep samochodowy, magazyn materiałów budowlanych i sklep ogrodnicy, przed którym stały gipsowe figury bóstw, lwów, świętych i olbrzymie, obwieszane girlandami urny. Wszystko było tanie i brzydkie, budynki stawiano zapewne bez architekta, wykorzystując szkło, beton i stal. Włosi najwyraźniej zrezygnowali z pojęcia architektury jako sztuki równie łatwo jak reszta świata. Spojrzała z powrotem na Antonia. Wydawało się, że koncentruje się na prowadzeniu, aby nie patrzeć na tę brzydotę. Krótka podróż w jego towarzystwie – zgodnie z jej oczekiwaniami – wyjaśniła kilka tajemnic. Duch, którego widziała, to Lucio Panatella na polowaniu. DV wpadł do zbiornika na ścieki, a Catherine Bultman nie zniknęła, lecz wyjechała w poszukiwaniu ciekawszych przygód. W to ostatnie Lucy nie uwierzyła do końca. Antonio nie powiedział jej wszystkiego, tego była pewna. Za bardzo zależało mu na zakończeniu tego tematu, zbyt niecierpliwie reagował na każdą wzmiankę o tym, że Catherine to kobieta z krwi i kości, o własnym, niezależnym sędzie. Ta niecierpliwość, częściowo zapewne odruch obronny, zdradzała go. Lucy zauważyła to dzięki temu, że wiedziała o liście.

– Znalazłam portret DV narysowany przez Catherine – powiedziała. – Schowała go w szafie.

Spojrzał na nią swym pustym spojrzeniem śniętej ryby, ale nie odezwał się.

– Był naprawdę wstrząsający – ciągnęła. – To DV, ale cały rozcięty, w paroksyzmach bólu.

Uśmiechnął się kątem ust.

– Zapewne wiele wycierpiał z jej powodu.

- Czy mówiła ci kiedykolwiek, że ją denerwuje?
- Jesteś tak podejrzliwa, Lucia. O co ci chodzi? Czy przypuszczasz, że w naszym zakątku przytrafiło jej się coś niezwykłego?
- Może – przyznała. – Może tak podejrzewam.
- Zapewniam cię – powiedział głosem aż ciężkim od znudzenia – że wszystko, co się tu wydarzyło, było zupełnie zwyczajne.

Dojechali do starych murów miejskich. Antonio skręcił i jechał wzdłuż ich leniwej krzywizny, potem skierował się na południe w stronę schludnej, funkcjonalnej stacji kolejowej z podwójnym rzędem torów. Wjechał na parking i zgasił silnik, który jęknął i umilkł jak nieposłuszne dziecko wysłane za karę do łóżka.

- Jesteśmy – powiedział.

Lucy spojrzała do tyłu, na paczkę leżącą na torebce.

- Myślałam, że wstąpimy na pocztę?
- Chyba nie masz czasu – odparł. – Jeśli nie chcesz spóźnić się na pociąg. Mam w mieście sprawy do załatwienia, więc wyślę twoją przesyłkę. Rozliczymy się po twoim powrocie.

Spojrzała na zegarek. Nie mylił się. Czy zaplanował to już wcześniej, jadąc tak wolno, by nie mogła odrzucić jego propozycji?

- Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony – powiedziała.

Z miłym uśmiechem otworzył drzwi. Wyglądał na niezwykle zadowolonego z siebie.

- Odprowadzę cię na stację i pomogę kupić bilet.

Lucy wysiadła, wzięła od niego laskę i utykając, poszła z nim do zatłoczonej, dusznej poczekalni. Przy kasie stała obok niego, uśmiechając się bezmyślnie, podczas gdy on rozmawiał z kasjerem, bardzo zaaferowanym procedurą wystawiania biletu w jedną stronę. Lucy wydobyła z portfela odpowiednią liczbę lirów, kilka razy powtórzyła *grazie* i w końcu otrzymała sztywny kartonik z magicznym słowem „Roma” w rubryce „kierunek”. Na ten widok odzyskała humor. Rzym oznaczał – między innymi – Massima. Jego pocałunki, uściski, uspokajające ciepło jego skóry przy jej ciele, dziwne drżenie jej imienia na jego ustach – kiedy on je wymawiał, brzmiało tak egzo-

tycznie i romantycznie jak nigdy przedtem. Całkowicie zapomniała o Antonim Cinim, choć ten odprowadził ją wykładanym kafelkami przejściem na peron, gdzie już ogłaszano przyjazd pociągu. Mieli zaledwie kilka minut czasu. Daleko na torach Lucy widziała rosnącą w oczach, coraz głośniejszą lokomotywę. Poruszenie związane z wjazdem pociągu, który miał ją zabrać, zawieźć do kochanka, sprawił, że jej oczy zwilgotniały, a policzki zaczerwieńczyły się.

– Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić – powiedział Antonio. Podziękowała mu z roztargnieniem, gdyż pociąg znajdował się już bardzo blisko. Inni pasażerowie zabierali bagaże i żegnali się z rodzinami i przyjaciółmi. Lucy sięgnęła po swoją torbę z szerokim pasem na ramię, Antonio pomógł jej ją założyć. Potem, kiedy hałas stał się ogłuszający, a wagony zatrzymały się przy peronie, wykrzyzczał do niej ostatnią, zadziwiającą informację:

– Jeśli chcesz spotkać się z Catherine Bultman, znajdziesz ją w Rzymie!

Drzwi otworzyły się i wysiadający zaczęli przedzierać się przez tłum wsiadających, który pociągnął ze sobą Lucy, pchając ją raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Co? – odrzyknęła. – Co mówiłeś?

– Na Via Margutta! – zawołał. – Tam ją znajdziesz.

– Via Margutta – powtórzyła Lucy. Oczywiście Antonio już jej nie usłyszał, a ona straciła go z oczu, gdyż tłum ludzi zasłonił drzwi, które się zamknęły, a pociąg ruszył.

ROZDZIAŁ 14

– Jedni twierdzą, że chowa miecz, inni, że go właśnie wyciąga.

Stali na Ponte Vittorio Emanuele, spoglądając na niedostępne blanki Zamku Świętego Anioła, wznoszącego się jak wydma nad ciemną linią sosen w niewielkim parku u jego podnóża. Massimo zastanawiał się nad zamiarami anioła na szczycie, stojącego z rozło-

zonymi skrzydłami, trzymającego w ręce skierowany ku dołowi miecz; drugą dłoń swobodnym ruchem opierał na biodrze.

– Chowa go – odezwała się Lucy. – Tak przynajmniej widział to biskup. Anioł chowający miecz – i wiedział, że zaraza się skończyła.

– Ach – zauważył Massimo – wiesz wszystko.

– Przeczytałam o tym w jednej z książek – przyznała. – Dawno temu. Może to nie był biskup, może kardynał – nie pamiętam.

Nad zamkiem intensywny błękit nieba pogłębiał się jeszcze, delikatne obłoki ściemniały do stalowej szarości, a Tyber, płynący leniwie pomiędzy stosami śmieci, suchymi, pokrytymi kurzem i czasami porośniętymi trawą brzegami, błyszczał. Massimo wskazał na taras wokół anioła.

– To stamtąd skoczyła Tosca.

– Tak – potwierdziła Lucy. – Możemy tam wejść?

– Widok stamtąd jest piękny. Niestety, taras zamknięto.

Lucy roześmiała się, te słowa stały się już żartem. Niestety Rzym zamknięto. Ranek spędzili w niewygodnym hotelowym łóżku. Zanim się ubrali i wyszli, nastąpiło popołudnie i wszystko zamknięto na *pausa*. Spacerowali wąskimi uliczkami wokół Panteonu, przez zatłoczoną turystami Piazza Navona i do rzeki wzdłuż spokojniejszej Via dei Coronari, gdzie handlarze antyków spuszczały na wystawowe okna swoich zagraconych, tajemniczych sklepów metalowe żaluzje. Lucy odwróciła się i spojrzała poprzez hałaśliwy, pełen samochodów most na drugą stronę.

W pewnej odległości widziała kopułę Bazyliki Świętego Piotra, a przed nią budynek o bardziej klasycznym kształcie – wyglądający na grecką świątynię – stojący pomiędzy niskimi drzewami na brzegu rzeki. Nadchodząca para turystów zatrzymała się, by zrobić sobie nawzajem zdjęcia na tle kopuły. Massimo wziął Lucy pod rękę i odwrócił ją z powrotem w stronę, z której przyszli.

– Zjemy w pobliżu obiad – powiedział.

Oparła się na jego ramieniu. Antonio Cini miał rację – nierówne kamienie bruku stanowiły torturę dla jej stopy. Ostrożnie stawiała

nogi, lecz bez ciągłego naciągania kostki nie mogła posuwać się naprzód. Nie wzięła ze sobą laski. Massimo natychmiast ją zauważył i wydawał się rozgniewany – nie wiedziała dlaczego. Czy to dlatego, że podarował ją Antonio, czy też dlatego, że ona ją przyjęła? Może po prostu nie chciał, by widziano go z tak widocznie niesprawną kobietą. Choć rzadko okazywał swoje niezadowolenie, nigdy nie chciał o tym mówić ani nawet przyznać się do niego. Gdyby zapytała, co właściwie tak bardzo przeszkadza mu w pożytecznej przecież lasce, odpowiedziałby, że są to tylko jej urojenia, a jemu nic nie przeszkadza. Myślała o tym, kiedy szli wzdłuż Lungotevere, wokół hałasowały samochody i skutery, a ku złudnemu spokojowi rzeki zniżala się z powietrza rybitwa. Lucy wiedziała już kilka rzeczy na temat Massima, ale przede wszystkim to, że nadal pozostawał dla niej zamknięty.

Wszystko było inne tutaj, w mieście, w którym z każdego kąta mogło nagle wychynąć jego codzienne życie, by go zabrać. Wiedziała, że pewne ustępstwa będą niezbędne, i poczuła ich konieczność w chwili, kiedy Massimo wszedł do ciasnego, przeladowanego meblami pokoju hotelowego o zbyt wzorzystych tapetach. Jednak opanowała ją nieśmiałość, udawała więc, że nic się nie zmieniło. Rozmawiała o podróży pociągiem i szalonej jeździe taksówką z dworca poprzez zatłoczone, ale piękne ulice starego miasta, zachwycała się jego ogromem, jednak pozwalającym przechodniowi czuć się swobodnie, gdyż nie było w nim wysokościowców, przy których człowiek czuł się nic nie znaczącym pyłem. W jesiennym, ostrym świetle miasto wyglądało wręcz magicznie, zwłaszcza kiedy mijali w pędzie stare uliczki wokół Panteonu, gdzie znajdował się również hotel. Massimo słuchał cierpliwie, lecz nie był zbyt zainteresowany. Zadzwoił jego telefon, niecierpliwie wyszarpnął go z kieszeni marynarki.

– *Pronto* – powiedział i stał przez długi czas przed Lucy, z pochyloną głową, marszcząc czoło i nie odzywając się, podczas gdy w pokoju rozlegał się rozgniewany kobiecy głos. Kiedy rozmówczyni przerwała, by zaczerpnąć powietrza, Massimo, wpadł jej w słowo,

mówiąc tak powoli i wyraźnie, że Lucy zrozumiała większą część jego wypowiedzi:

– Nie, to niemożliwe. Powiedz mu, że to niemożliwe. Nic nie można zrobić. Musi... – Po czym Lucy nie zrozumiała czasownika, Massimo zaczął mówić szybciej i Lucy przestała go rozumieć. Siedziała na łóżku, jak dziewczynka machając nogami, i zastanawiała się nad mieszaniną podniecenia, niepokoju i pragnienia, jaką wywoływała jego obecność w pokoju. Czowała się bezbronna w sposób, w jaki nigdy dotąd się nie czuła. Chciała sprawić mu przyjemność. Kiedy wreszcie skończył rozmowę, ku jej zachwytowi wepchnął telefon pod materac, zaklinając się, że już nikt mu nie będzie przeszkadzał, i rzucił się w poprzek na łóżko, pociągając ją za sobą. Potem przez długi wyczerpujący moment nie musieli mówić o niczym.

Teraz jednak, kiedy prowadził ją wąską ulicą Lungotevere, a za nimi cichł hałas samochodów, Lucy znów uświadomiła sobie subtelny zmianę w jego zachowaniu wobec niej. Troszczył się o nią, jednak zachowywał dystans, ledwie pokryty uprzejmością. Był zainteresowany, lecz nie czuła bijącego od niego ciepła, jakby kazano mu okazywać więcej uczucia, niż sam odczuwał. Kiedy dotarli do małej, wybranej przez niego, tętniącej życiem restauracji, rozmawiając z kelnerem – który chyba go znał – na temat najlepszego stolika, trzymał ją luźno za łokieć. Lucy zauważyła, że obaj uznali stolik na zewnątrz za lepszy – choć tam obrusy łopotały na wilgotnym wietrze, wyły skutery, wzbijając chmury kurzu i dymu, podczas gdy w miłym wnętrzu duże stoły stały w większości wolne. Wykorzystując chwilę przerwy, Lucy pociągnęła Massima za rękaw i wskazała dłonią wewnątrz, z dala od tłumu.

– Naprawdę wolałabym usiąść tutaj – powiedziała.

Massimo obrzucił ją niedowierzającym, zaskoczonym spojrzeniem, po czym przetłumaczył jej dziwne życzenie kelnerowi, a ten z kolei spojrział na nią z zaciekawieniem i poprowadził ich do małego stolika obok drzwi.

– Chyba nie masz nic przeciw temu – odezwała się, kiedy usiedli.

– Na zewnątrz jest tak głośno...

– Nie, nie – odrzekł. – To nie ma znaczenia.

Jak zauważyła, wybrał krzesło pozwalające mu na obserwację zatłoczonych, rozgadanych stolików na chodniku. Jego spojrzenie błądziło po nich, zatrzymując się na krótko to tu, to tam, jak pracowity owad. „Tyle na temat romansu” – pomyślała Lucy.

Kelner zapytał, jakie wybrali wino i wodę.

– *Bianco, non gassata* – zaproponował Massimo. Lucy kiwnęła głową. Na stole pojawiła się miska z chlebem, talerz *crostini* z krojonymi pomidorami, potem duże butelki wina i wody. Kelner wdał się w dyskusję z Massimem, omawiając dania, co Lucy rozumiała. Potwierdziła mruknięciem jego wybór: danie z ziemniaków, grzybów *porcini*, krewetek – dużych, zwanych *mazzancolle*, potem następne z *cicoria* – ulubiona potrawa Lucy, o czym Massimo wiedział – i może jeszcze sałatka. Lucy małymi łyżkami popijała wino i żuła *crostino*. Była śmiertelnie głodna. Kelnerzy przechodzili przez pomieszczenie, niosąc talerze z pachnącymi daniami, na których widok ciekła ślinka; oni jednak wyglądali na znudzonych i mijając się, wymieniali krótkie komentarze. Jednak kiedy wychodzili na chodnik, stawali się ożywieni i uważni, z powagą pochylali się nad gośćmi, podsuwając im pod nos talerze. Wielu z gości gasiło na pół wypalone papierosy, oddając sprawiedliwość niezwykłemu urokowi potraw.

– Tu jest wspaniale – odezwała się Lucy.

– To miłe miejsce – potwierdził Massimo.

– Często tu jadasz?

– Kiedy załatwiam interesy w tej części miasta – odparł.

Spojrzał na parę, która właśnie przyszła. Postawna kobieta miała na sobie obcisłą czerwoną suknię, ujawniającą każdy szczegół jej figury.

– Czy mieszkasz niedaleko?

Tym razem przyciągnęła jego uwagę. Odwrócił się do niej i wziął ją za rękę.

– Dlaczego chcesz wiedzieć, gdzie mieszkam, Lucy? – zapytał.

Jego oczy wpatrywały się w jej twarz zbyt intensywnie, jak na tak proste pytanie – przynajmniej tak jej się wydawało.

- Po prostu się zastanawiam – odrzekła.
- Chyba będzie lepiej, jeśli się tego nie dowiesz.

Wzruszyła ramionami i zgodziła się, lecz pomyślała: „Co według niego miałabym zrobić? Pójść do jego domu w porze obiadu? Czy naprawdę wyobraża sobie, że nie mogłabym zdobyć tej informacji, gdybym się postarała?”

Podczas gdy kelner nakładał im na talerze aromatyczne grzyby i ziemniaki z olbrzymiego półmiska, z którego mogłoby się najeść osiem do dziesięciu osób, Lucy przyszła do głowy myśl, że Massimo wydawał się bardziej ją lubić, kiedy nie była w stanie podnieść się z łóżka. Sam zaproponował ten publiczny występ; miała wrażenie, że zależało mu na tym, by widziano ich razem. Jednak nie cieszył się wspólnie spędzaniem czasem. Właściwie chyba z trudem skupiał na niej uwagę. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń doszła do wniosku, że kiedy romans zaczyna się egzaltowanym wyobrażeniem „nas” w przeciwieństwie do „nich”, zwykle kończy się utratą złudzeń, po czym równanie przybiera postać „my” jako jedno przeciwko drugiemu. Kiedy Massimo wyrwał ją z objęć śmierci czy nawet stosunkowo niegroźnej włoskiej biurokracji medycznej, był pełen spokojnej pewności siebie i determinacji. Teraz, kiedy Lucy mogła już wypowiadać opinie przeciwne jego zdaniu, przedstawiać swoje upodobania i pytać, nie czuł się zbyt swobodnie. Wypiła jeszcze trochę wina, obserwując jego kształtny profil, który właśnie jej prezentował, gdyż przypatrywał się dwóm młodym mężczyznom na skuterach, od chwili wejścia klócącym się z kelnerem. Studiując jego twarz w tak nieruchomej pozie, przypomniała sobie ich ostatnie wspólne chwile – czy to wydarzyło się naprawdę kilka godzin temu? – jego usta przy jej uchu, mówiące cicho, czule, z mieszaniną zaskoczenia i ulgi: „Lucy, tęskniłem za tobą”.

Stopniowo odrywał się od obserwacji młodych ludzi i skierował uwagę z powrotem na Lucy. Dojrzał w jej oczach połączenie uczucia z

podejrzliwością – nawet nie próbowała go ukryć.

– Co się stało, Lucy? Dlaczego patrzysz w ten sposób?

Ostry ton jego głosu zabrzmiał jak wyzwanie, jakby oczekiwał od niej pretensji, aby z pogardą mocje natychmiast odrzucić. Ale co mogła powiedzieć? Jesteś inny? Nie zwracasz na mnie uwagi? Chyba ci się już znudziłam? Miała swój honor, więc postanowiła nie przejmować się nim. Spojrzała na swój talerz, z którego podniosły się tak kuszące zapachy, że wbrew woli chwyciła widelec i przebiła kawałek grzyba. Ugryzła go i szeroko otworzyła oczy. Massimo obserwował ją, jak przetyka, czekając na odpowiedź. Nie miał zamiaru zmieniać tematu na rzecz pogawędek o jedzeniu. Lucy przełknęła kęs.

– Myślałam o tym, jaki jesteś przystojny – odparła.

Prychnął lekko z niedowierzaniem, lecz, jak zauważyła, uwierzył; było to najlepsze, co mogła powiedzieć. Płytką niepewność zalegająca między nimi znikła i znaleźli się znów na właściwych pozycjach: on wspaniały, ona pełna uznania.

Spróbowała ziemniaka.

– To chyba najlepsze danie, jakie jadłam w życiu – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Tutejsza kuchnia jest autentycznie rzymska. Wolę ją od każdej innej.

– Oczywiście – odparła pomiędzy kolejnymi kęsami.

Później, kiedy zjadła duże porcje krewetek, *cicoria*, kęsy różnych innych dań, które kelner koniecznie polecał jej do spróbowania – prażonych sardynek z chlebem, dziwnych, zielonych kielków zwanych *puntarelle*, rosnących, jak zapewnił, tylko w Rzymie, jasnej kapusty faszerowanej mięsem na ostro, oraz sałatki, *panna cotta*, popitej kieliszkiem domowego amaro – oznajmiła, że nie nadaje się do niczego prócz drzemki.

– A co zamierzasz robić później? – zapytał Massimo.

– Pójdę do kościoła Santa Maria del Popolo na Piazza del Popolo, żeby zobaczyć obrazy Caravaggia. Według mojego przewodnika otwierają go o czwartej.

Wzruszył ramionami.

– Możliwe.

– A potem poszukam Catherine Bultman na Via Margutta.

Massimo jednym haustem wypił resztę kawy espresso.

– Dlaczego chcesz jej tam szukać?

Lucy bez powodzenia usiłowała ukryć ton wyższości.

– Antonio Cini powiedział, że ją tam znajdzie.

– Chyba nie mówiłaś mu o swoich głupich podejrzeniach, jakoby był zakochany w tej kobiecie! – zawołał.

– Nie mówiłam – odparła. – Po prostu wspomniałam, że chciałabym ją odnaleźć i dowiedzieć się, dlaczego rzuciła DV. Powtórzył to, co powiedział mi wcześniej – że prawdopodobnie znudziła się i odeszła. Udawał, że nic o tym nie wie. Potem, kiedy wsiadałam do pociągu, powiedział mi o Via Margutta.

Massimo przygryzł górną wargę i uniośł brwi, jakby chciał zauważyć, że wszystko może się zdarzyć.

– Zatem nie może mieć nic do ukrycia, przynajmniej jeśli chodzi o nią.

– Może – zgodziła się Lucy. – A może ma i chce, żeby ona go chroniła.

– Czy mam iść z tobą?

– Jeśli masz czas. Ale myślałam, że cię to nie interesuje.

Massimo kiwnął na kelnera, który w połowie drogi zmienił kierunek i podszedł do nich.

– Trochę mnie to interesuje – powiedział.

ROZDZIAŁ 15

Lucy siedziała pod wesołym parasolem, nie zwracając uwagi na stojącą przed nią filiżankę kawy. Patrzyła na Piazza del Popolo. Mieszały się na nim bezustannie współzawodniczące grupy turystów i miejscowych, okrążających starożytny obelisk, strzeżony przez

wielkie lwy, z których pysków tryskały cztery identyczne strumienie perlistej wody, spływającej do basenu pod ich łapami. Za nimi majaczyła fasada kościoła Santa Maria del Popolo, gdzie nie zobaczyła obrazów Caravaggia ani posągów Berniniego, zdobiących kaplicę zaprojektowaną przez Rafaela dla wielkiego renesansowego bankiera, Agostino Chigiego. Zamiast tego zobaczyła ślub – a raczej jego początki, co stanowiło widowisko samo w sobie.

Dotarła do kościoła w chwili, kiedy z czarnej limuzyny wynurzyła się panna młoda w towarzystwie nie rozchichotanych drujen w pastelowych sukienkach, lecz kilku przystojnych mężczyzn, nieskazitelnie ubranych, starannie uczesanych, opalonych, w chłopięcej radości błyskających ciemnymi oczami i białymi zębami. Zajęli się przyjacielskim spychaniem siebie nawzajem z drogi panny młodej. Przed nimi wyrosła sama panna młoda, jedną ręką trzymająca welon, który przypominał mały stateczek z tiulu i koronki, umieszczony na wzburzonym czarnym morzu upiętych i polakierowanych włosów. Zawahała się, spoglądając z niepokojem za siebie, na tren, który w połowie jeszcze wciąż znajdował się w samochodzie. Dwóch rycerzy rzuciło się do niej, by starannie układać ciężkie satynowe fałdy wokół jej kostek. Lucy zastanowiła się, dlaczego – skoro koszt materiału najwyraźniej się nie liczył – nie poświęcono go więcej na górę sukni. Usztywniony drutami i obszyty perełkami gorset był tak wydekoltowany i tak mocno zasznurowany, że imponujący biust dziewczyny został wypchnięty w górę i do przodu, przybierając kształt dwóch złocistych piłek przyklejonych do mostka. Zganiła młodych mężczyzn, a ci w odpowiedzi zaczęli jeszcze bardziej błaznować. Przy wejściu do kościoła zebrał się tłumek gości. Rozmawiali, śmiali się i co jakiś czas ktoś z nich odwracał się z uśmiechem do panny młodej. Lucy patrzyła z boku, z podnóża schodów, nie zauważona przez uszczęśliwioną gromadkę – niewidoczna do tego stopnia, że wpadła na pomysł wślizgnięcia się do kościoła, by przed rozpoczęciem ceremonii rzucić okiem na obrazy. Jednak na niezrozumiały dla niej znak goście zaczęli wchodzić do wewnątrz, samochód odjechał, a

panna młoda zaczęła się wspinać po stromych stopniach. Jej spojrzenie na krótką chwilę spoczęło na Lucy i przesunęło się po niej bez zainteresowania. Wciąż zajmowało ją zachowanie równowagi i manewrowanie suknią. Jeden z mężczyzn, który wybiegł naprzód, zawołał coś, co ją rozbawiło. Roześmiała się i sztywno podniosła ramię, jakby chciała go odpędzić. Lucy stała na tyle blisko, by dojrzeć szczeliny – pęknięcia grubej warstwy szminki na ustach. Panna młoda była wyjątkowo mocno umalowana – karminowa szminka, supermatowy podkład, czarne kreski na powiekach, gruba warstwa tuszu na rzęsach – wszystko nałożone hojnie, lecz nieudolnie. Widok tej ciężkiej twarzy uśmiechającej się nad absurdalnej wielkości dekoltem klócił się jaskrawo z wszelkim wyobrażeniem dziewczęcej niewinności, mógł wręcz niepokoić – jednak bez wątpienia jej mama na widok przystrojonej wreszcie do ołtarza córki wykrzyknęła: – *Sei un angelo bellissimo!*

Lucy wróciła na plac, śmiejąc się sama do siebie. Spojrzała w górę i nad fałszywym wodospadem zobaczyła turystów spoglądających w dół z Pincio. Normalnie spróbowalaby do nich dołączyć, gdyż lubiła ładne widoki, a ten był bardzo znany. Jednak wysiłek całego dnia zmęczył ją. Po drzemce musiała owinąć kostkę nieeleganckim bandażem i zlekceważyć niechęć Massima do laski. Oparła się na niej z wdzięcznością, zastanawiając się, jak spędzi pół godziny, które dzieliło ją od zapowiedzianego przybycia jej towarzysza. W końcu zdecydowała się zapłacić niewątpliwie oszałamiającą cenę za przywilej siedzenia przy cappuccino w jednej z kafejek na skraju placu.

Zobaczyła go na długo przedtem, zanim on ją dostrzegł, i skorzystała z okazji, by na chłodno, dokładnie mu się przyjrzeć. Czekał chwilę, potem poszedł spiesźnie ku bezpiecznemu chodnikowi. Nie wyglądał przy tym na śpieszącego się niezgrabę. Jak zwykle ubrany był w ciemną marynarkę, swobodną, lecz elegancką – miał ich chyba całą szafę – jeszcze ciemniejszą koszulę i czarne dżinsy. Miał też okulary przeciwsłoneczne, więc Lucy nie miała pewności, czy ją zauważył, kiedy podnosił do ust papierosa i opuszczał go, z wdzię-

kiem przemykając w jej kierunku wśród tłumu. Przełknęła gorzką pigułkę żalu – nieuniknione rozstanie będzie dla niej bolesne. „Czy naprawdę chciałabyś takiego mężczyznę?” – zapytał sceptyczny głos wewnętrzny, lecz go zignorowała. Pytanie było czysto akademickie. I tak nie ona dokona wyboru. Teraz już nie wątpiła, że ją zauważył, gdyż skrzył ostro w jej stronę. Podniosła dłoń na powitanie, a kiedy podszedł, pochylał się nad nią i pocałował ją w policzek. Standardowy gest powitania – przez czas swojej krótkiej obserwacji otoczenia widziała go ze dwadzieścia razy – lecz i tak przyprawił ją o dreszcz.

– Jak ci się podobał Caravaggio? – zapytał.

– Nie widziałam go, w kościele odbywał się ślub.

Otworzył dłoń i lekko podniósł podbródek, by podkreślić gest.

– Nie masz szczęścia.

– Nie szkodzi – odparła. – Szczerze mówiąc, do Caravaggia żywień mieszane uczucia. – Jako że rachunek już zapłaciła, a Massimo nie zdradzał ochoty, by usiąść, wstała i wzięła laskę. Massimo nie skomentował tego, lecz ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku Via del Babuino. Natychmiast pochłonął ich strumień pieszych.

– Jak to możliwe? – odezwał się.

– Co?

– Mieszane uczucia.

Roześmiała się.

– Jego obrazy widziałam jedynie w Uffizi – wyjaśniła. – Ci okropni uśmiechnięci chłopcy i nudne owoce.

– Nie wiedziałem, że jesteś krytykiem sztuki.

– Nie jestem, ale trochę o niej wiem. Jak każdy mam swoje zdanie.

– A co ci się podoba?

– Bernini – odrzekła. – Jutro przed południem pójdę do Galleria Borghese, żeby zobaczyć *Apollo i Dafne*. Zawsze chciałam to zobaczyć, a kiedy poprzednio przebywałam w Rzymie...

– Galeria była zamknięta – podpowiedział.

– Właśnie.

Dotarli do krótkiej alejki łączącej gwarną Via del Babuino z szeroką, spokojną, słoneczną przestrzenią Via Margutta – krótkiej ulicy pełnej galerii, sklepów z antykami i wspaniałych, porośniętych winoroślą willi należących do artystów i reżyserów filmowych. Lucy, uwolniona od niemiłej konieczności popychania lub bycia popychaną, przystanęła, chłonąc spokojną scenerię, tak nieoczekiwaną i pogodną, a tak bliską tętniącego, oślepiającego i pełnego spalin placu.

– Tu jest pięknie – odezwała się. Oparła się na lasce i wzięła głęboki oddech. Massimo również się zatrzymał.

– Znasz adres swojej znajomej? – zapytał.

– Nie – odparła. – Antonio powiedział, że znajdzie ją tutaj.

– Czy tu mieszka, czy pracuje?

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Jest artystką, więc może pracuje w jednej z galerii.

– Cóż – stwierdził – pójdziemy ulicą. Nie jest zbyt długa.

Ruszyli, po czym zatrzymali się przed pierwszą wystawą i z nadzieją zajrzeli do środka. Na ścianach wisiały dzieła najgorszego rodzaju sztuki dla turystów, grubo malowane oleje przedstawiające Schody Hiszpańskie, Panteon i Zamek Świętego Anioła, ogrody i wille, kilka scen wiejskich. Między nimi kryło się kilka nieciekawych płócien surrealistycznych, najwyraźniej pędzla jednego malarza, gdyż przedstawiały głowy i tułowia kobiet wyłaniające się z chmur, ścian czy mebli, wszystkie o biustach wielkości melona i odsłoniętych zębach drapieżców.

– Są okropne – powiedziała Lucy.

– Niezbyt ładne – przytaknął Massimo.

Poszli dalej, obok antykwariatu pełnego ciężkich, złożonych bibelotów, do okna następnej galerii. Ta była nieco łagodniejsza – najwyraźniej artyści zostali lepiej wykształceni i swoimi obrazami woleli sprawiać przyjemność odbiorcy. Znowu głównym tematem był Rzym, jednak zastosowano inne techniki: akwarelę, gwasz, atrament. Wszystko było uporządkowane, atrakcyjne i przeraźliwie nudne. Massimo wskazał na małą akwarelę przedstawiającą Zatokę Neapo-

litańską; w tle ze szczytu Wezuwiusza wzbijała się cienka smuga dymu.

– Niezłe.

Lucy kiwnęła głową, patrząc poprzez wystawę na biurko, przy którym siedziały dwie młode kobiety, rozmawiając z ożywieniem.

– Włosi zawsze mówią jednocześnie – zauważyła.

– Zatem jesteś również krytykiem Włochów – odparł Massimo.

– Nie – odpowiedziała przepraszącą. – Oczywiście, że nie. Nie przebywam tu na tyle długo, by cokolwiek o nich wiedzieć.

Doszli do kolejnej wystawy. Tutaj wszystko było niejasne, zammatwane, w najlepszym wypadku abstrakcyjne. Obok kiepskiego naśladownictwa Jacksona Pollocka wisiały gładkie akryle w dwóch naprzemiennie nałożonych kolorach i kilka wybuchowych dzieł ekspresjonistycznych, składających się z wirujących plam czerwieni i żółci.

– To dopiero wygląda okropnie – zawyrokował Massimo. – To na pewno nie jest sztuka. – Lucy również o tym wiedziała, choć nie miała pojęcia, skąd. Zapewne ludzie, którzy nie znali się na sztuce lub nie dbali o nią, kupowali te dzieła i wieszali na ścianach, ulica słynęła bowiem z galerii i dobrej jakości towaru. W weekendy w Nowym Jorku Lucy zachodziła czasami do galerii w Soho i Chelsea, w których z pewnością wystawiano mnóstwo paskudztw – zapewne również kupowanych. „Były lepsze czy gorsze od tych?” – zastanowiła się. Doszła do wniosku, że to, co widziała w domu, miało w sobie więcej dekadencji i rozpachy niż cokolwiek wystawianego tutaj. Obrazy w rzymskich galeriach emanowały rozczulającą naiwnością, bezwstydnym brakiem wyobraźni, otwartym przyznawaniem się do źródeł natchnienia, a więc i również do całkowitego braku własnej wrażliwości. Czy Rzymianie nie dostrzegali różnicy pomiędzy tym, co mieli w kościołach, budynkach i na ulicach, a tym, co wisiało w galeriach?

Przeszli obok kolejnego antykwariatu i sklepu oferującego lampy do małej galerii z wystawą mogącą pomieścić tylko jeden obraz.

Jednak ten jeden przykuwał uwagę. Przedstawiał wnętrze; pusty pokój o ścianach i podłodze w różnych odcieniach szarości. Na pierwszym planie, tyłem do widza, stał człowiek, patrząc w drzwi otwierające się na jeszcze ciemniejszą przestrzeń. W drzwiach tych stał drugi człowiek, niemal już wchłonięty w ciemność, w którą wstępował. Obaj nosili niczym nie wyróżniające się stroje. Była to nastrojowa scena rozegrana w bardzo wąskiej gamie barw, a jednak dziwnie niepokojąca. Lucy poczuła dreszcz.

– Niezłe – stwierdził Massimo.

Obraz stał na wąskich metalowych sztalugach. Za nim widzieli ściany galerii, gdzie rozwieszono inne obrazy, dbając o dobrą ich kompozycję. Lucy cofnęła się kilka kroków, by spojrzeć na wejście, znajdujące się z boku, ocienione dachem należącym do sąsiedniego sklepu. Nie umieszczono na nim żadnego szyldu, jedynie mosiężną tabliczkę z dzwonkiem. Na tabliczce wygrawerowano nazwisko „Bultman”.

– To tutaj – powiedziała.

Zanim jej towarzysz miał czas odpowiedzieć, naciśnęła dzwonek. Po chwili usłyszeli dźwięk automatu otwierającego drzwi.

Lucy spojrzała na Massima, który dołączył do niej pod okapem.

– Wejdz – zachęcił. – Drzwi są otwarte.

Pchnęła drzwi i weszli do środka.

Z zaplecza dobiegł ich kobiecy głos mówiący szybko po włosku coś, czego Lucy nie zrozumiała.

– Mówi, że zaraz przyjdzie – przetłumaczył Massimo. – Mamy się rozgościć.

Znaleźli się w długim, wąskim pomieszczeniu, niedawno wyremontowanym i odmalowanym; powstało chyba w wyniku podziału większego pokoju. Większość obrazów na ścianach powtarzała motyw tajemniczego szarego pokoju z obrazu na wystawie. Za nimi dostrzegli kilka studiów węglem – aktów kobiety: siedzącej przy stole, stojącej w drzwiach, siedzącej a podłodze przy łóżku. Na tylnej, przeciętej lukiem ścianie wisiały dwa pejzaże w tonacji ciepłej ochry i

ciemnych zieleni – wzgórze mocno przypominające okolice domu DV. Początkowo Lucy uznała je za oleje, ale kiedy podeszła bliżej, stwierdziła, że muszą to być pastele, gdyż ich powierzchnia była nierówna, jakby pokryta drobnymi granulkami. W prawym dolnym rogu zauważyła staranny podpis: „Bultman”.

– To jej – powiedziała do Massima, który wciąż przyglądał się mrocznym aktom. Na odgłos kroków oboje spojrzeli na schody za łukiem. W jego ramie stała Catherine Bultman, jak figura świętego z witraża, oświetlonego nagłym promieniem słońca.

„Jak to jest – pomyślała Lucy – wiedzieć, że wchodząc do pokoju, zmienia się panującą w nim atmosferę?” Mimo że wcześniej widziała już Catherine i wiedziała, czego oczekiwać, poczuła dreszcz zaskoczenia, jak wtedy, kiedy niespodziewanie pojawia się piękne zwierzę: koń pełnej krwi lub lew – istota gwałtowna, niebezpieczna, tryskająca zdrowiem i pełna życia. Catherine niosła ze sobą światło – złociste włosy, orzechowe oczy, delikatna, brzoskwiniowa skóra. Miała doskonałe, regularne, wyraziste rysy. Była wysoka, lecz nie niezgrabna, szczupła, lecz nie koścista. Nosila dzinsy, szarą flanelową bluzę i drogie, z pewnością włoskie, zamszowe szare pantofelki. Odezwała się do Massima, którego najpierw zauważyła.

– *Buona sera.*

Wyczuwając za sobą kogoś jeszcze, odwróciła się ku Lucy.

Ta obserwowała ją uważnie, szukając oznak świadczących o tym, że Catherine ją rozpoznała. Spotkały się przelotnie przy kilku okazjach i choć Catherine zawsze zachowywała się uprzejmie, Lucy zastanawiała się, czy w ogóle ją pamięta. Zauważyła lekkie ściągnięcie brwi. Spojrzenie Catherine prześlizgnęło się po niej, notując każdy szczegół: włosy, ubranie, obandażowaną kostkę; z zaskoczonym mrugnięciem spoczęło na lasce. Jednak ten przegląd, choć dokładny, był krótki i drapieżny. Już po chwili odezwała się:

– Lucy, prawda?

– Cześć, Catherine – odparła Lucy.

– Co tu robisz? Przyjechałaś z DV? – Spojrzała w głąb galerii,

przez okno na ulicę. – Czy on tu jest?

„Przecież Antonio na pewno jej powiedział” – pomyślała Lucy. To gra, zresztą całkiem przekonująca, musiała to przyznać. Massimo wpatrywał się w Catherine z wyrazem nie skrywanego podziwu, jednak oderwał od niej spojrzenie na tyle, by przesłać Lucy ostrzegawcze zmarszczenie brwi – nie bądź ostra dla anioła, wydawało się mówić, co rozdrażniło Lucy. Zresztą cała scena stała się nagle nieznosna. W jaką grę oni grali? Czy tkwiła w tym jakaś tajemnica, mieli coś do ukrycia?

– DV nie żyje – powiedziała prosto z mostu.

Catherine była zaskoczona, lecz nie wstrząśnięta, co uczyniło jej reakcję tym bardziej naturalną.

– Nie wiedziałam – odparła. – Czy miał wypadek?

Massimo wystąpił do przodu.

– Signora – odezwał się. – Tak, miał wypadek. – Rzucił Lucy spojrzenie, które niemal ją poraziło. – Nie wiem, jak Lucy mogła przekazać pani tak straszną wiadomość w tak bezceremonialny sposób.

Catherine odpowiedziała coś szybko po włosku, z czego wynikało, że nie czuje się urażona – tak przynajmniej zrozumiwała Lucy, gdyż Massimo znów zaprotestował. Potem oboje zwrócili się do niej, dając jej możliwość wytłumaczenia się ze swych złych manier. „Świetnie – pomyślała Lucy – teraz ja stałam się tu zbędna”.

– Catherine, to mój znajomy, Massimo Compitelli.

Catherine doszła do siebie najszybciej. „Zawsze tak było – uświadomiła sobie Lucy – po prostu miała ten dar”. Uśmiechnęła się do Lucy otwarcie i szczerze. Czyż nie jest zabawnym stworzeniem, mówił ten uśmiech, tak świeżym w swej szczerości. Potem wyciągnęła dłoń, by po amerykańsku ucisnąć rękę Massima.

– Catherine Bultman – przedstawiła się. – *Piacere*.

– Przykro mi, że byłam taka bezpośrednia – wtrąciła ponuro Lucy. – Myślałam, że już wiesz.

Ta wymówka w najmniejszym stopniu nie tłumaczyła jej bezpo-

średniości, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Od miesięcy nie miałam wieści od DV – wyjaśniła Catherine. – Myślałam, że wrócił do Stanów.

– Nie – odparła Lucy. – Nie opuścił domu. I nikomu nie wspominał o twoim wyjeździe.

Twarz Catherine zachmurzyła się. „Może jednak mówi prawdę?” – pomyślała Lucy.

– Jak mnie znaleźliście? – zapytała.

Lucy wskazała na laskę.

– Antonio – wyjaśniła.

– Tak – odparła Catherine. – Rozpoznałam ją. – Spojrzała na Massima, który odszedł kilka kroków dalej, jakby wyłączając się z rozmowy. – Musimy porozmawiać – powiedziała do Lucy. – Czy masz trochę czasu? Mogę zaproponować – gestem włączyła w zaproszenie również Massima – kawę lub wino.

– Ja nigdzie się nie spieszę – powiedziała Lucy, patrząc na Massima.

– Oczywiście musisz zostać – odparł, po czym wykonał coś w rodzaju ukłonu w stronę Catherine i dodał: – Niestety ja nie mogę przyjąć tego miłego zaproszenia.

Lucy przyglądała mu się z zaciekawieniem. Dlaczego wyglądał na tak niepewnego siebie i mówił tak oficjalnie? Czy sprawiała to myśl o spędzeniu czasu z dwiema kobietami rozmawiającymi o innym mężczyźnie? Czy dlatego, że ten mężczyzna był przedtem kochankiem Catherine, czy może dlatego, że już nie żył?

– Zostanę – powiedziała, idąc za Massimem, zmierzającym już w kierunku drzwi. Dołączyła do nich Catherine.

– Może następnym razem – zwróciła się do Massima.

– Z przyjemnością – odrzekł, ściskając jej dłoń. Potem pochylił się nad Lucy, pocałował ją w policzki, lecz uprzejmie, jakby nigdy nie wyszli poza takie grzecznościowe, przyzwoite gesty. – Trafisz do hotelu? – zapytał.

– Oczywiście – odpowiedziała.

– Wpadnę wieczorem. – Kiwnąwszy głową Catherine, wyszedł na pustą ulicę.

– Przystojny mężczyzna – zauważyła Catherine, kiedy już nie mógł jej usłyszeć. – Ale mnóstwo tu takich.

– To prawda – przytaknęła Lucy. – Kelner, który niedawno przynosił mi kawę, przypominał *Dawida* Michała Anioła.

Catherine przyglądała się jej przez chwilę, jakby uznała ją za interesujące zjawisko.

– Mam nadzieję, że nie jesteś w nim zakochana – powiedziała wreszcie.

Lucy uśmiechnęła się, wyglądając na ulicę, lecz nie zauważyła już Massima.

– Nie.

– To dobrze, bo to byłaby katastrofa. – Po czym odwróciła się ku galerii. Lucy poszła za nią, zamykając za sobą drzwi.

– Chodźmy na górę – zaproponowała Catherine. – I porozmawiajmy.

ROZDZIAŁ 16

Zanim Lucy wyciągnęła rękę z kieliszkiem po drugą lampkę doskonałego czerwonego wina – którym poczęstowała ją Catherine – przestała całkowicie uważać na słowa. Przyjemność płynąca z rozmowy uderzała do głowy równie mocno jak wino, gdyż od dłuższego czasu nie rozmawiała z rodakiem, a co ważniejsze – z kobietą. Sięgając po oliwkę ze stojącej przed nią miski, wędrowała spojrzeniem po zagraconej pracowni Catherine. Stały tam pod oknem wielkie sztalugi, po ich bokach dwa solidne stoły zarzucone wszelkimi malarskimi akcesoriami – pędzlami, stosami tub z farbami, metalowymi płytkami do mieszania barw, litrowymi puszkami rozcieńczalnika, mniejszymi pojemnikami z utrwalaczami, pudełkami pasteli i węgla, wszelkiego rodzaju nożami, spinaczami i narzędziami do

naciągania płótna. Obok nich umieszczono parawan z wyobrażeniem dwóch skromnie ubranych postaci, może Adama i Ewy, idących ręką w rękę przez gąszcz liści, zbyt ciemny i złowieszczy, by miał być rajskim ogrodem. Parawan częściowo zasłaniał kącik kuchenny, którego właścicielka najwyraźniej wolała nie pokazywać gościom. Lucy dostrzegła zardzewiałą dwupalnikową kuchenkę i małą lodówkę. Za nimi, wzdłuż ściany – zwrócone w stronę pokoju – ułożono starannie obrazy. Miały najróżniejsze rozmiary, a szerokość na ogół ponad metr. Łuk w pobliżu schodów otwierał się na niewielką wnękę jadalną z okrągłym drewnianym stołem, wokół którego stały stare wiklinowe krzesła. Tylną ścianę stanowił mur. Namalowano na nim okno i widok na niskie wzgórza porośnięte cyprysami. Kąt wypoczynkowy, gdzie Lucy i Catherine zagłębiły się w wygodne pluszowe fotele, odróżniał się od reszty mieszkania dywanem, wspaniałym wschodnim kobiercem utrzymanym w głębokich tonacjach czerwieni. Lucy odłożyła pestkę oliwki na brązowy talerz, postawiony w tym celu przez gospodynię. Opowiedziała już Catherine o pogrzebie DV, swojej chorobie i romansie z Massimem. Zbagatelizowała swój początkowy wymysł, że to Cini zamordowali DV i może nawet Catherine, a ona miała się stać ich następną ofiarą.

– To nie aż tak niedorzeczny wniosek – powiedziała Catherine. – To niesamowita rodzina.

– Naprawdę tak myślisz?

– Mają ducha – podsunęła.

– Zmarły partyzant. Ale to zwyczajna historia. Został zabity przez faszystów w czasie wojny.

Catherine wzruszyła ramionami.

– Gdyby każdy Włoch podający się za partyzanta rzeczywiście nim kiedyś był, Mussolini okazałby się jedynym faszystą we Włoszech. – Łyknęła wina i wyłowila z miski oliwkę. – Ale tak właśnie myślał DV. – Znacząco uniosła brwi. – To właśnie tak nie podoba się rodzinie.

– Ale ty w to nie wierzysz.

– W ducha? Nie. Nie jestem przesadna. – Z namysłem żuła oliwkę. – Słyszałam również, że ten partyzant został zabity przez własnego brata.

– Starzec! – zawołała Lucy. – Ten z pewnością wygląda tak, jakby był do tego zdolny.

– Pokłócili się o kobietę. Odkrył, że brat sypia z jego narzeczoną.

– O! – zawołała Lucy. – Skąd wiesz?

– Antonio mi powiedział – wyjaśniła Catherine. – Tuż przed wyjazdem.

– Rozumiem – odpowiedziała Lucy, choć nie rozumiała. Teraz mogła wspomnieć o liście, lecz szczerłość Catherine rozbroiła ją. Jej bezpośrednie, pełne zaufania zachowanie sprawiało, że czuła się tak, jakby wciągnięto ją do zabawnego, ciepłego i niebezpiecznego spisku kobiet. Nie chciała oskarżać Catherine o cokolwiek.

– Dlaczego wyjechałaś? – zapytała, odwracając ostrożnie wzrok.

Catherine wyjęła pestkę oliwki z zaciśniętych ust i wrzuciła ją do miski. „Nawet taki gest umie uczynić zalotnym” – pomyślała Lucy.

– DV i ja nie pasowaliśmy do siebie. Odkryłam, że jest... – wzruszyła ramionami – apodyktyczny.

– Był trudnym człowiekiem – zgodziła się Lucy.

– A potem przeczytałam jego powieść.

– O duchu?

Catherine kiwnęła głową.

– To wystarczyło.

Lucy roześmiała się, choć poczuła ukłucie winy z powodu żartów dotyczących DV. Catherine również się roześmiała, kiwając głową i wznosząc oczy do góry w przesadnym geście cierpienia i prośby o litość, który zachwyił Lucy – czytając prozę DV, czuła dokładnie to samo.

– Oj! – wykrztusiła, walcząc z narastającą wesołością. Poddąła się w końcu i ku zaskoczeniu Catherine wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Obie zaśmiewały się do łez.

– O Boże – powiedziała w końcu Catherine, kiedy obie osłabły i

leżały, dysząc, w fotelach. Wyciągnęła dłoń z butelką wina, a Lucy tym razem przyjęła ją i nalala sobie. – Widzisz – ciągnęła Catherine – nigdy wcześniej nie czytałam jego książek, nawet nie wiem, dlaczego. Chciałabym więcej czytać... – Wskazała ścianę z obrazami: to był powód. – Wiedziałam, że jest popularny, więc nie oczekiwałam Prousta, ale...

– Naprawdę nie miał talentu – odpowiedziała Lucy.

– Nawet gorzej – odparła Catherine. – To było aż żenujące. I tak czułościowe, pełne samouwielbienia. Włosi uwielbiali jego bohatera, tego Maxa Manxa, prawda? Boże, co za nazwisko. Czy ktoś naprawdę to kupuje?

– Cóż, miał dobrego wydawcę – wyjaśniła Lucy. – Ale owszem, ludzie kupują. I to w milionach egzemplarzy. Nie tylko w Ameryce.

– Nie rozumiem.

– Ja także – zgodziła się Lucy.

Siedziały przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad tajemnicą popularności tak kiepskich książek. „DV właściwie nikogo nie wykorzystywał?” – uświadomiła sobie Lucy. Dawał ludziom dokładnie to, czego pragnęli, zawsze starając się jak najlepiej wykonać zadanie. Ciężko pracował, emocjonował się swoją pracą. Kiedy spotykał się z krytyką, martwił się nią, lecz oczywiście docierała do niego tylko jej niewielka część, gdyż na ogół chroniły go przed nią połączone wysiłki wydawcy, redaktora, agenta i samej Lucy. Zawsze uznawała to za jeden ze swych obowiązków służbowych – nie zniechęcać DV, za to starannie pielęgnować w nim złudzenie, że naprawdę jest kimś wyjątkowym.

– Powiedziałas mu, co o tym myślisz? – zapytała.

– Tak – odrzekła Catherine. – Dlaczego nie? Byłam wstrząśnięta.

– Co powiedziałaś?

– Że powinien z tym skończyć. Że jest najemnikiem, że się sprzedaje, że powinien robić coś innego, handlować nieruchomościami albo zabrać się do czegoś pożytecznego, choćby uprawy ogrodu.

– Boże – odparła Lucy. – Jak to przyjął?

– Był wściekły. Nazwał mnie malarką-neurotyczką, która nie rozumie jego pracy. To naprawdę śmiechu warte. Co tu jest do zrozumienia? Powiedziałam mu: „Rozumiem wszystko doskonale. Wymyślasz swoje życie takie, jakim chciałbyś je widzieć, i umieszczasz to w powieściach. Pisziesz, jaki z ciebie wspaniały, wrażliwy facet, jak wszyscy cię lubią, jak lubią cię Włosi, na miłość boską! To już gruba przesada, Włosi cię nie znoszą, bo nie cierpią pijaków”.

– O Boże – powtórzyła Lucy.

– W odpowiedzi zaczął pić. Trwało to kilka dni. Przeszliśmy wtedy przez sceny gniewu, łzy, groźby i obietnice. Obrzydl mi całkowicie, jeszcze zanim stamtąd wyjechałam, i nie obchodziło mnie, co się z nim stanie – chód oczywiście nie życzyłam mu śmierci. Myślałam, że po prostu wróci do domu i napisze kolejną głupią książkę, w której przedstawi mnie jako wariatkę, a siebie jako niewinną ofiarę złożoną na ołtarzu miłości.

Lucy uśmiechnęła się z żalem.

– Ale on nie wrócił do domu.

– Nie – przytaknęła Catherine. – Nie wrócił.

– I nigdy nie skończył książki. Szukałam, ale nic nie znalazłam.

Catherine uciekła spojrzeniem w stronę miski z oliwkami.

– To chyba niewielka strata.

– Zapewne nie – odpowiedziała Lucy. – Jednak jego wydawcę – mnie zresztą też – dziwi fakt, że nie znalazłam nic więcej. Pisanie nigdy nie sprawiało DV kłopotu. Zwykle pisał około tysiąca stron rocznie.

– Może gdyby pisał mniej, jego książki byłyby lepsze.

– Bez wątpienia – odparła Lucy.

Catherine zjadła kolejną oliwkę. Wyglądała na rozdrażnioną, może zaczęła się nudzić. Lucy zdecydowała się zadać najważniejsze pytanie.

– Zatem Antonio Cini pomógł ci wydostać się stamtąd? – spytała.

Catherine rzuciła jej czujne spojrzenie.

– Tak. Antonio mi pomógł. Zna ludzi, dzięki którym mogłam się tu urządzić. Wolałabym Florencję, ale z różnych powodów nie mogłam tam pojechać. DV zbyt łatwo by mnie tam znalazł. Jednak wszyscy interesujący artyści tworzą we Florencji. Obraz stojący na wystawie został namalowany przez florentyńczyka. Rzym to prowincja.

– Czy DV wiedział, że tu jesteś?

– O tak. Naprawdę oczekiwałam, że któregoś dnia pojawi się tutaj, ale tak się nie stało. Początkowo złościłam się, potem przestałam się tym przejmować. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że nie żyje.

– Wiedział, że odejdziesz – powiedziała Lucy. – Przewidział to w swojej powieści. Czytałaś tę część?

– Tak.

– To nie było złe.

– Wiedział, że go zostawię, ponieważ mnie dusił – zaprotestowała Catherine tak żarliwie, jakby czuła się winna. – Nie pracowałam, a on wciąż mnie przez to prześladował, choć naprawdę wcale nie obchodziło go moje malarstwo.

– Rozumiem.

– Naprawdę nie miałam wyjścia – zakończyła Catherine. – Jako artystka nie przeżyłabym długo w takich warunkach.

Lucy milczała przez chwilę, rozglądając się po uroczym, wygodnym, pełnym światła pomieszczeniu. W takich warunkach Catherine najwidoczniej mogła żyć.

– Zostaniesz tu przez jakiś czas? – zapytała.

– Chyba tak. Dużo pracuję, właściwie cały czas. Nigdy nie szło mi tak dobrze. To dla mnie najważniejsze. Zamieszkałabym w piekle, gdybym mogła tam pracować. Tylko to się dla mnie liczy.

– Ale gdybyś znalazła się w piekle, nie mogłabyś pracować – zauważyła Lucy. – Właśnie dlatego wiedziałabyś, że tam jesteś.

Catherine spojrzała na nią zdziwiona.

– Pewnie tak – odparła. – Chciałabyś zobaczyć moje obrazy?

– *Volentieri* – odrzekła Lucy. Catherine wstała i zaczęła uważnie

zdejmować płótna ze stosu pod ścianą. Lucy zatrzymała się, by dolać sobie wina.

– Kiedy pakowałam rzeczy DV, znalazłam twój rysunek – powiedziała.

Catherine spojrzała na nią znad obrazu.

– Jaki rysunek?

– DV. Zrobił na mnie naprawdę duże wrażenie, właściwie przeraził mnie. DV był...

– Całkiem rozdarty. – Roześmiała się Catherine. – Narysowałam go tego wieczoru, kiedy wciąż nudził, że bardzo mnie potrzebuje. Nie mógł skończyć.

– Aha – odpowiedziała Lucy. – Chcesz dostać go z powrotem?

– Nie, możesz go zatrzymać – mówiąc to, Catherine odwróciła w stronę pokoju duże płótno. Przedstawiało bardzo ciemny las. Całe światło, jakie w nim było, wydawało się promieniować z ziemi. W cieniu majaczyły złowieszczo dwie postacie, kobiety i mężczyzny – a może dwóch mężczyzn? Czy jeden śledził drugiego?

– Przypomina mi to Adama i Ewę po wygnaniu z raju.

– To Dante – odparła Catherine. – Zagubiony w lesie. – Wskazała na ciemniejszą postać w tle. – To Wergiliusz – dodała. – Zaraz zaproponuje, że zostanie jego przewodnikiem.

ROZDZIAŁ 17

– Dużo czasu spędziłaś u koleżanki, Lucy. Dowiedziałaś się tego, czego chciałaś?

Dwie minuty po wejściu Lucy do pokoju zadzwonił telefon i zmęczony światem głos Massimo przywitał ją tym pytaniem. Rzuciła torebkę na łóżko i padła na jedyne krzesło w pokoju – brzydki, ozdobiony frędzlami mebel wciśnięty pomiędzy telefon i drzwi.

– Dlaczego uciekłeś? – zapytała.

– Musiałem coś załatwić.

„Zadawanie mu takich pytań nie ma sensu” – pomyślała. Spróbowała innego sposobu.

– Gdzie jesteś? – Zdała sobie sprawę, że wciąż kręci się jej w głowie po wypiciu wina.

– W moim biurze.

– Hm – powiedziała. Zrzuciła buty i zaczęła odwijać bandaże z kostki. – Szkoda, że cię tu nie ma.

– Piłś – zauważył.

– Troszkę – przyznała. – Niewiele. Możesz przyjsć?

Przez chwilę milczał, jakby sprawdzał coś w rozkładzie dnia, choć Lucy podejrzewała, że zastanawia się jedynie nad swym zawsze zmiennym nastrojem.

– Tak – odparł. – Będę za dziesięć minut. Ale nie mogę zostać zbyt długo, Lucy.

– To nie potrwa długo – odrzekła z kokieterijną nieśmiałością, gdyż dźwięk jego głosu wymawiającego jej imię, jego ton, sposób, w jaki akcentował ostatnią sylabę – wzbudziły w niej aż bolesne pragnienie. Czowała falę krwi wzbierającą w żyłach, napływającą do ust i podbrzusza, uciekającą z palców. Massimo również musiał to usłyszeć, gdyż dodał:

– Chyba Rzym uderza ci do głowy, *tesoro*.

– To bardzo romantyczne miasto – przytaknęła.

Kiedy odwiesiła słuchawkę, siedziała przez chwilę, napawając się nową sytuacją. Przypomniała sobie słowa Catherine, kiedy przyznała się – z jaką łatwością, niemal entuzjazmem – do tego romansu: „Cóż, zatem masz swoją przygodę”. To prawda. Powiedziała to głośno w ciszy pustego pokoju:

– Mam swoją przygodę.

Potem, zapominając o wszystkim oprócz przyjscia kochanka, poszła do łazienki, by przejrzeć się w lustrze. Wyglądała bardzo dobrze, zaróżowiona wskutek spaceru, z lekkim śladem zmęczenia wokół oczu. Podmalowała się nieco: szminka, kredka do oczu – potem zdecydowała się zmienić bluzkę. Ta była zbyt surowa i zapięta pod

szyję. Wybrała cienki czarny sweter z wywijanym kołnierzem. Kiedy zdjęła bluzkę, kątem oka dostrzegła swoje odbicie w lustrze. Miała na sobie jeden z trzech najwygodniejszych biustonoszy, nie pozbawiony wdzięku, ale dość przeciętny. Podczas spaceru stwierdziła, że w Rzymie co kilkaset metrów znajdują się sklepy z bielizną, a ta wystawiona w oknach jest zawsze droga i nieodparcie kusząca. Nic praktycznego się nie liczyło. Poszła do szafy i wyjęła czarny koronkowy stanik, który kupiła jakiś czas temu dlatego, że wyglądał pięknie i pochodził z wyprzedaży. Rzadko go nakładała, gdyż noszenie go stanowiło torturę. Zaprojektowano go tak, że powiększał jej mały biust, co wyglądało interesująco w przymierzalni, lecz nie na ulicy. Raz nałożyła go na przyjęcie i przez cały wieczór miała dziwne uczucie, że stoi za własnym biustem, jakby wystawiała go na inspekcję. Jednak to spotkanie w hotelowym pokoju było świetną okazją, by w nim wystąpić. Przy odrobinie szczęścia zdejmie go na tyle wcześnie, że nie zdąży poczuć niewygodę. Zapięła pasek i podniosła sztywne miseczki. „Dlaczego w ogóle go zapakowałam?” – zastanowiła się. Czy to przecucie, czy raczej fantazja, niezupełnie nieświadoma myśl, że dzięki niemu zmieni się w kobietę zawsze przedkładającą kusicielski urok nad wygodę? Z pewnością nie miała zamiaru nałożyć go na pogrzeb DV.

Włożyła sweter i wróciła do łazienki wyszczotkować włosy. Czy się zmieniła? Przyjrzała się swemu odbiciu. Jak jej oczy błyszczały, jak gładka i delikatna wydawała się skóra, niemal przezroczysta. To na pewno skutek choroby. I jak była głodna wszystkiego, jedzenia, wina, sztuki, lecz przede wszystkim Massima. Tego ranka zauważył jej požądanie, lecz przypisał je ich krótkiej rozłące. Choć sam z chęcią przyłączył się do niej w biegu do łóżka, podczas którego zrzucali z siebie ubrania, rozrzucając je na wszystkie strony, później jej docinał.

– Nie jesteś już przy mnie nieśmiała?

Leżała na brzuchu z twarzą odwróconą w drugą stronę. Całe szczęście, jak stwierdziła, gdyż nie mógł dostrzec jej rumieńca.

– Czy bardzo hałasowałam?

Usłyszała, że sięga po papierosy leżące na nocnej szafce.

– Owszem.

– Boże, przepraszam. Chyba dałam się ponieść.

– Nie przepraszaj – odparł. – To dla mnie komplement. – Usłyszała trzask zapalniczki i długie wciągnięcie powietrza. – Stajesz się nienasycona.

– Nie sądzę, to nie leży w mojej naturze. – Poczowała jego dłoń na swoim ramieniu, przesuającą się do góry, by leniwie pogłaskać ją po włosach.

– Może sama nie wiesz, co leży w twojej naturze, Lucy.

Przypominając sobie tę uwagę, uśmiechnęła się kokieteryjnie do swojego odbicia i wrzuciła szczotkę do torby. Potem pobiegła do sypialni, gdyż usłyszała ciche pukanie.

ROZDZIAŁ 18

Pałac mieszczący galerię Borghese być może ma imponującą fasadę. Na pewno żyją jeszcze mieszkańcy Rzymu, którzy ją widzieli, lecz ich dzieci muszą polegać na wspomnieniach rodziców, jeśli chcą mieć jakieś pojęcie o jej wyglądzie. Lucy podeszła do pałacu od strony parku, usiłując znaleźć drogę pomiędzy rusztowaniami, pomostami, plastikowymi osłonami i blachą falistą, od tylu lat kryjącymi pod sobą szlachetny kamień. Zrobiło się chłodno, niebo się zachmurzyło, a wilgotny, porywisty wiatr zmusił ją do kulenia się i szczelnego owinięcia szalem. Weszła do chwiejnego przejścia. Poprowadziło ją ono na dziedziniec zawałony drewnem, żelastwem i belami plastikowych zasłon. Tutaj znalazła niepozorne drzwi, od ponad dziesięciu lat opatrzone tabliczką z wypisanym ręcznie słowem *entrata*. Za nimi, w wąskim pomieszczeniu, nadęty urzędnik z za prowizorycznej lady z niechęcią wymienił dziesięć tysięcy lirów na bilet wstępu do muzeum. Po przejściu kolejnych drzwi znalazła się w wysokiej i przestronnej pierwszej sali.

Była zatopiona w mało radosnych myślach oraz przejęta własnym pożałowania godnym stanem – przemarzła, czuła pulsowanie w kostce po długim spacerze – jednak scena, którą ujrzała, kazała jej zapomnieć o wszelkich zmartwieniach. „To jest coś” – pomyślała. „To jest wielkie”. Miała zobaczyć cuda w cudownym otoczeniu. Oparła się na lasce Antonia, wpatrując się w wysokie, łukowe sklepienie, połysk marmuru i złocień, nieliczne meble, a na nich popiersia rzymskich cesarzy. Przez szerokie drzwi prowadzące do następnej sali dostrzegła dwie starannie ustawione rzeźby. Bliższą z nich rozpoznała z dreszczem zachwytu.

Był to *Dawid Berniniego*. „O – pomyślała – więc on też się tu znajduje”.

Sale zwiedzało kilka dwu- i trzyosobowych, rozproszonych grup ludzi. Niektórzy czytali laminowane kartki, które odkryli na stole przy wejściu, w kilku językach, informujące o dziełach zgromadzonych w sali. Rozmawiano przyciszonymi głosami. Olbrzymie rozmiary pałacu wydawały się wisieć nad ludźmi, zmuszając ich do mówienia przytłumionym, pełnym szacunku tonem.

Lucy przeszła do mniejszej sali. Znalazła miejsce przed skrzyconą figurą Dawida i oddała się całkowicie przyjemności obcowania ze słynnym dziełem sztuki, które dotąd mogła podziwiać jedynie w książkach.

Został uchwycony w kamieniu dokładnie w chwili, kiedy cały strach ustąpił konieczności chłodnego rozumowania. Wygładzony kamień, jego broń, trzymał w zaciśniętej lewej dłoni. Rękę miał opuszczoną, pasek procy zwisał z prawej dłoni wzdłuż uda, a prawe kolano lekko ugięte. Oceniał przeciwnika. Lucy poczuła dreszcz podniecenia, czując wielkość giganta stojącego za jej plecami. Dawid utkwiał płonące spojrzenie w skroni olbrzymia – tam miał dotrzeć kamień. Lucy spojrzała za siebie, w kasetony sufitu – był więc aż tak wielki.

„Jak on to zrobił?” – zastanowiła się. Jej pytanie nie dotyczyło bohatera legendy, ale rzeźbiarza, którego zadanie – ukazanie w

marmurze tej zaskakującej wizji – dorównywało na pewno zadaniu stojącemu przed Dawidem. Spojrzała na datę na swojej karcie – 1623. Marmurowy młodzieniec, wydający się wstrzymywać oddech, musiał tak stać od długiego czasu. Bernini sam był młody, kiedy rzeźbił Dawida. Z młodzieńczym entuzjazmem użył własnej twarzy jako modelu, według legendy patrząc w lustro trzymane przez jego mecenasa, kardynała Borghese. Przez kilka minut Lucy przesuwała spojrzenie po posągu, z góry w dół.

– Wspaniałe – powiedziała i odwróciła się.

Przeszła do kolejnej sali. Dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, przebiegło obok niej, krzycząc do siebie po włosku, za nimi zaś podążyły krzyki ich ojca, właśnie oddalającego się od doskonałej, na pół nagiej postaci Pauline Borgese, siostry Napoleona, leżącej na marmurowej sofie. Mężczyzna był przystojny. Jego czarne oczy błyszcząły, kiedy podążył szybko za dziećmi. Lucy zbliżyła się do ironicznie uśmiechniętej Pauline, wpatrującej się w dal. „Uśmiecha się do rzeźbiarza – pomyślała Lucy – do wielkiego Canovy”. Pamiętała ze szkolnego podręcznika wymianę zdań pomiędzy Pauline i jej znajomym, który wyraził oburzenie po obejrzeniu posągu. „Jak mogłaś pozować przed mężczyzną na pół rozebrana?” – zapytał znajomy, na co ona odpowiedziała: „Dlaczego nie? Jego pokoje są ogrzewane”.

Wyglądało na to, że jest jej wygodnie. Na sofie leżało mnóstwo poduszek, jej gładkie ciało zostawiło na nich miękkie wgniecenia – pod łokciem uniesionej do głowy ręki i pod piękną prawą stopą. Stanowiła przeciwieństwo atletycznego Dawida, ale na swój sposób również szykowała się do walki. Jej bronią była uroda, wyzwaniem – twarz. Któż śmiałby wytknąć jej jakiegokolwiek braki?

„Nie Canova” – uznała Lucy, przesuając spojrzenie po leniwej marmurowej postaci. Jej myśli również odpłynęły. Krzyczący ojciec przypomniał jej Massima. Czy i on przychodził tu czasem ze swymi dziećmi? Czy stał przed tą pełną zmysłowego uroku kobietą, podziwiając miękkie krzywizny piersi, oddane – w mniejszych rozmiarach

– przez idealną kulę trzymanego w dłoni jabłka? Jabłko to nagroda od Parysa, gdyż była to nie tylko Pauline, ale i Wenus, która nigdy nie wątpiła, że je otrzyma.

Czy taką właśnie kobietę podziwiałby Massimo?

Lucy zamknęła oczy i oparła się na lasce. W jej pamięci rozbłysło wspomnienie pewnej chwili z czasu ostatniego spotkania z kochankiem – było tak żywe i gorące, że pogrzyżyło w półmroku całe otoczenie. Przypomniała sobie ciąg czułych pocałunków – od pulsującego punktu za uchem po zgięcie łokcia. Towarzyszył mu nacisk jego rąk na jej biodra, przyciągających ją do niego. Wspomnienie – tak żywe i głębokie – spowodowało, że poczuła zawrót głowy i w panice otworzyła oczy. Czua się zdezorientowana i zmieszana, lecz Pauline jako Wenus, którą bawiło wszystko, ale najbardziej uniesienia i paroksyzmy kochanków, przywróciła ją do przytomności. Lucy odwróciła się od pełnej samozadowolenia postaci i przeszła przez drzwi wiodące z powrotem do sali z popiersiami cesarzy.

Jak mógł znać ją tak dobrze w łóżku i tak słabo poza nim? To pytanie leżało u podstaw jej rozważań. Dlaczego z taką łatwością zakładał, że Lucy będzie mu stawiać niemożliwe do spełnienia żądania, że będzie usiłowała odsunąć go od pracy i rodziny? Stworzył dla niej jakąś paskudną rolę i uparł się, żeby ją odegrała. Może pomogłaby szczerą rozmowa. Mogła mu wyjaśnić: ja po prostu taka nie jestem, jestem inna – lecz miał sposób, by uciąć wszelkie jej protesty założeniem, oczywistym dla niego, że wie o niej więcej niż ona sama.

Czy naprawdę? Czy to możliwe? Z pewnością od początku zdawała sobie sprawę, że romansowanie z żonatym mężczyzną to zły pomysł. Nigdy dotąd czegoś takiego nie robiła i zawsze ze zdziwieniem i przerażeniem patrzyła na przyjaciół, którzy wnikali się w takie związki. Jednak teraz sama czuła nieuniknioną gorycz takiego położenia. Sama się na to zgodziła, a Massimo od początku –co do tego nie miała wątpliwości – wiedział, że tak będzie. Zatem traktował ją jak kobietę, która się na to zgodzi – bo przecież tak postąpiła. Czy w

takim razie nie miał racji?

Nie, zawołał jej wewnętrzny obrońca. Istniały okoliczności łagodzące: była tak chora, słaba, w obcym kraju, on zaś tak przystojny i tak troskliwie się nią opiekujący. Wszystko potoczyło się tak naturalnie i łatwo. Nie zaistniała sytuacja, w której Lucy musiałaby podjąć decyzję, która, jakby za pomocą magii, nie została już podjęta wcześniej.

W zamyśleniu rozejrzała się wokoło. Barokowa willa pełna luksusowych rzeźb nie nastrajała do przeżywania rozterek moralnych. Puste marmurowe oczy cesarzy patrzyły na nią obojętnie. Marmurowe ciała, wyglądające na tak ciepłe i giętkie, w rzeczywistości były martwe i zimne, wydawały się śmiać z jej słabej cielesności. Ty nie przetrwasz, głosiły kamienne głowy. Zestarzejesz się, zeszywniejesz, pomarszczysz, umrzesz, ale my wciąż tu będziemy.

Mężczyzna, wysoki i przystojny, niedbale ubrany, z ramionami lekko zgarbionymi pod ciężarem plecaka ukazującego jego narodowość wszedł do sali drzwiami, których Lucy dotąd jeszcze nie otwierała. Dołączyła do niego młoda kobieta, oglądająca się jeszcze do tyłu, najwyraźniej niechętnie opuszczająca pokój.

– To fantastyczne. Prawda, że fantastyczne? – odezwała się płaską intonacją amerykańskiego Środkowego Zachodu.

Lucy spojrzała za nią, w głąb sali, gdzie kobieta przeżyła fantastyczne doświadczenie. Dojrzała zaledwie podniesione w górę ramię, liściaste, wyciągnięte przed siebie palce Dafne. Tam było to, po co tu przyszła. Zbliżyła się do dwójki Amerykanów nie zwracających na nią uwagi.

– Mam dość oglądania posągów – jęknął mężczyzna, kiedy Lucy przechodziła obok.

– Ale te są naprawdę dobre – odparła dziewczyna. – Nie sądzisz?

Lucy uśmiechnęła się, wchodząc do sali, w której osiemnastowieczny ponury nastrój wpadła grupa *Apolla i Dafne*, rozsadzając ją niemal z żywiołowością dwójki dzikich koni. Znów kontrapunktowe przegięcie ciała, znów kulminacyjny moment napięcia przed walką –

jednak tym razem nie wydarzy się nic heroicznego ani szlachetnego. Dafne miała przeżyć jeden horror zamiast innego, a jej otwarte usta, twarz, oczy uniesione ku niebu, kiedy przytomność raz ją opuszczała, raz wracała, naocznie udowadniały, że pomysł jej ojca, mający ją uratować, był o wiele gorszy niż cokolwiek, co planował Apollo. Jej palce zaczęły już przekształcać się w korzenie i liście; pień drzewa unieruchomił jej nogi. Apollo również zastygł w momencie objawienia. Nie widział, co się stanie, gdyż biegł za nią, a teraz wreszcie ją doścignął. Wszystko, co wiedział, przenikało do niego przez dłoń, którą objął ją w talii, wciąż z ciała, lecz już zmienionego. Na jego twarzy, triumf (w końcu ją złapał) mieszał się ze wstrząsem – nie była tym, za co ją uważał – i współczuciem, a może rezygnacją? Jako bóg traktował ów pościg jak grę, a teraz wiedział, że przegrał. Jej skóra pod jego palcami wydawała się wciąż miękka i podatna. Czy czuł gęstnienie krwi, zamieniającej się w żywicę, skurcze serca, konwulsje płuc wciążających ostatni haust powietrza?

Lucy podeszła bliżej, by przyjrzeć się korzeniom wyrastającym z delikatnych palców stóp Dafne. Znów potęga opowieści dorównywała i łączyła się z nadprzyrodzoną maestrią rzeźbiarza. Jak kamień tak wyraźnie mógł oddać różnicę pomiędzy ciałem i korą drzewa? Lucy odstąpiła krok do tyłu, przyglądając się całej figurze przerażonej młodej kobiety wznoszącej się przed konkurentem, jakby ciągniętej przez siłę płynącą z góry. Apollo wydawał się leniwy i mdły; jego ciało nie wytrzymało porównania ze szczupłym, umięśnionym *Dawidem*, pełnym skoncentrowanej energii. Jego nogi były nawet nieco za szczupłe, a brzuch, ponad ozdobną draperią zakrywającą genitalia, wydawał się miękki i zbyt duży. Miał jednak przystojną twarz, gęste, falujące włosy, piękne, długie, zadbane stopy przypominające Lucy stopy Massima. Dbał o nie bardzo. Nigdy nie знаła mężczyzny, który tak by się nimi przejmował. Miał również łaskotki; mogła zmusić go do krzyku, kiedy przesuwiała palcem po podeszwie.

Westchnęła z rozdrażnieniem. Nie przyszła tu po to, by snuć rozmyślania na temat kochanka, lecz by podziwiać Berniniego, a o

jego stopach nie wiedziała kompletnie nic. Dwoje dzieci przebiegło zygzakami przez salę, krzycząc, nie zwracając uwagi na przerażającą walkę Dafne, za nimi zaś wolnym krokiem nadszedł ich ojciec, którego cierpliwość najwyraźniej już się wyczerpała. Lucy uśmiechnęła się do niego, gdy przechodził obok. Potrzęsął ze smutkiem głową, mrucząc coś o *i bambini*, niemożliwości upilnowania ich – *un casino* – potem zniknął.

Spojrzała znów na posąg, na niemy krzyk Dafne. Męka przekształcenia nigdy się nie kończyła; było w tym coś brutalnego. Bernini stworzył ją w ten sposób, doprowadził do chwili najwyższego przerażenia i zostawił.

Choć dla niego istniał punkt, w którym wszystko się skończyło. Dopracował każdy kosmyk włosów, doskonałą krzywiznę dolnej wargi, widoczne pod skórą zebra pod jej małymi piersiami. Poświęcił uwagę każdemu najmniejszemu szczegółowi – nic mu nie umknęło. A potem, pewnego dnia, skończył ją. Zrobił krok do tyłu, obszedł ją wokół, poczuł – co? – satysfakcję, ulgę, przyjemny smutek spełnienia, ukończenia wspaniałego dzieła, zapragnął zapłaty czy obiadu? Był wciąż młodym człowiekiem, miał przed sobą całe pracowite życie, nigdy nie miał przestać. Czy patrzył na tę młodą kobietę z nostalgią kochanka, czy też po prostu przestał się nią interesować?

Lucy stała, wpatrując się w *Apolla i Dafne*, pozwalając myślom płynąć swobodnie. Ogarnął ją wielki smutek, a cała radość i entuzjizm wynikające z faktu, że nareszcie udało się jej zobaczyć posąg, znikły. Uświadomiła sobie, że w jej uwielbieniu dla rzeźby nie było nic wspaniałego. Tylko kamień nie wzruszyłby się – o to właśnie chodziło. Wyszła przez drzwi, którymi weszła, z powrotem do pierwszej sali. Miała jeszcze dużo do obejrzenia, lecz czuła się rozdrażniona, przemęczona i smutna. Postanowiła wrócić do parku, gdzie mogła usiąść na ławce, dać kostce odpocząć i zaplanować resztę dnia.

ROZDZIAŁ 19

Ławka w parku okazała się zimna, wilgotna i niewygodna. Lucy posiedziała na niej tylko kilka minut, zanim głód nie przemógł zmęczenia i nie skierował jej w poszukiwaniu miejsca, w którym można coś zjeść. Zajrzała do przewodnika: proponował mnóstwo tras, jedną z nich był spacer na Schody Hiszpańskie. Mimo że na mapie wydawały się blisko, w rzeczywistości szło się do nich po falistym, porośniętym krzewami terenie, nierównym od korzeni drzew.

Nie napawała się widokiem na Trinità dei Monti; była zbyt zgaszona i zmęczona, aby zajmować się turystyką. Miała zamiar znaleźć bar na Via del Babuino, u stóp Schodów Hiszpańskich. Same schody, zatłoczone turystami i artystami, wydawały się niesamowicie długie i strome, a plac u ich podstawy, ze swą barokową fontanną i wysokimi palmami, był tak pełen ludzi, że Lucy musiała przeciskać się między nimi w kierunku przeciwległego chodnika. Słyszała kilka języków, wszystkie strzelające w powietrze głośno i szybko. „Dlaczego każdy jest tutaj tak ożywiony?” – zdziwiła się. „Czy to coś w powietrzu, czy kawa?”

Myśl o kawie dodała jej siły. Dojrzała przed sobą dwa szyldy barów. Pierwszy okazał się chłodnym pomieszczeniem z kilkoma wyschłymi kanapkami i stwardniałymi ciastkami ułożonymi niedaleko kasy, długą ladą i nie mającym miejsca do siedzenia. Drugi bar był znacznie większy. Z tyłu stały stoły, a długą szklaną ladę pod barem zapełniały tace pełne dymiących potraw, stopy apetycznie wyglądających kanapek i wielu rodzajów ciast. Lucy poczuła otuchę, choć nie była pewna, jak postąpić: zamówić przy kasie czy przy barze, zapłacić z góry czy po posiłku, zanieść jedzenie do stołu czy usiąść i czekać na kelnera?

Z wahaniem rozejrzała się wokoło. Panował ruch. Barmani uwijali się cały czas, przyjmowali nowe zamówienia, nie podnosząc wzroku znad potraw, które właśnie przygotowywali. Zabiegany, spocony mężczyzna wziął tacę załadowaną talerzami i filiżankami i zaniósł ją

między stoły. Nie zauważyła nigdzie menu; zapewne wybierało się z tego, co można było zobaczyć, i opisywało kelnerowi. Lucy wypatrzyła kanapkę z cienkich plastrów *prosciutto di Parma* i *rughetta* na płaskiej kromce chleba z ziarnami i drugą – z tuńczykiem i sałatą na grubej bułce.

– *Dica* – odezwał się nagle barman.

Spojrzała w jego poważne, wymagające oczy. Chętnie przyjrzałyby się zawartości parujących naczyń, lecz najwyraźniej musiała już zdecydować, więc wskazała na kanapkę z tuńczykiem. Znała właściwe słowa i na pytanie: – *Da bere?* – odpowiedziała:

– *Un cappuccino*.

Kiedy usiłowała wskazywać i mamrotać kilka prostych wyrażen w rodzaju „Czy mogę usiąść?” i „Czy płaci się teraz, czy później?” – barman, wyraźnie bardzo rozdrażniony jej lekkością i niewiedzą, machnął ręką w głąb sali. Znalazła niewielki stolik na środku sali i zmęczona usiadła wśród gwaru rozmów, szcękania talerzy, odgłosów żucia i przetykania. Laskę Antonia oparła o nogę stołu; spadła natychmiast, zagrządzając drogę kelnerowi idącemu z pełną tacą. Lucy pochyliła się pod stół, żeby ją poprawić. Mężczyzna siedzący przy sąsiednim stole powiedział coś do niej. Nie zrozumiała go, ale w jego głosie brzmiało współczucie, więc z przepaszającym uśmiechem spojrzała na niego. Nie musiała tłumaczyć, że nie rozumie – domyślił się od razu i zirytowało go to. Warknął coś i wrócił do swojego posiłku. Wziął mięso i ziemniaki, zauważyła Lucy, jak Amerykanin.

Przyniesiono jej zamówienie, natychmiast zaczęła jeść. Po kilku pierwszych kęsach przypomniała sobie, że powinna jeść powoli. Piła gorącą kawę, paradoksalnie ożywiającą i pocieszającą, i jednocześnie przyglądała się żywemu tłumowi, pośród którego czuła się niewidoczna. W sali – przepojonej zapachami kawy, pomidorów, czosnku, świeżego chleba, pełnej dymu z papierosów – panowała duchota. Nikt nie będzie jej popędział, nikt jej nawet nie zauważy. Jeśli będzie chciała rachunek, będzie musiała poprosić o niego.

Żuła swoją kanapkę. „Nigdy nie mogłabym tu żyć” – pomyślała.

Nawet gdyby mówiła doskonale po włosku, nigdy nie stanie się dość pewna siebie, by dopasować się do otoczenia; swoją nieśmiałością zawsze będzie irytować barmanów i złościć kasjerów. Żeby sobie tutaj poradzić, trzeba być pewnym siebie, silnym i najlepiej dużym. Trzeba robić na ludziach wrażenie... jak Catherine.

Mimo wniosków, do jakich doszła, a nawet wbrew swej woli Lucy musiała przed sobą przyznać, że podziwia Catherine. Miała odwagę, ktoś mógłby to nazwać „nerwem”. Gustowała w dziwnych mężczyznach, jednak wydawała się dziwnie odporna na sprawy płci i niezależna. Dla Lucy była przyjacielska i gościnna. Wyglądało na to, że cieszy się z jej towarzystwa i zaprosiła ją ponownie. „Dlaczego nie odwiedzić jej teraz?” – pomyślała Lucy. Galeria znajdowała się ledwie kilka domów dalej. Może to ostatnia szansa. Może uda się jej wyciągnąć z Catherine coś na temat jej ostatnich dni z DV.

Skończyła kanapkę i dopiła czarny, słodki płyn na dnie filiżanki. Jeśli uda się jej przed końcem świata dostać rachunek, z łatwością dotrze do galerii przed popołudniową przerwą.

Kiedy Lucy skręcała w Via Margutta, wiszący przez całe rano deszcz spadł nagle jak woda wypływająca z przepelnionego naczynia. Przemknęła pod ścianą sklepów, jednak nie dawała ona dobrej osłony, a i to zaledwie pomiędzy fontannami wody spływającymi z okapów. Mruknęła swoje ulubione włoskie wyrażenie: *porca miseria*, świńsko żalosalne – i pobiegła dalej, trafiając łaską w kałuże i już formujące się między nierównymi kamieniami strumyki. Ulica nie była długa, ale wystarczyła, by Lucy całkowicie przemokła i zmarzła, zanim dotarła do drzwi opatrzonej mosiężną tabliczką z napisem „Bultman”. Jedną ręką wykręcała włosy, a głową leoparda trzymaną w drugiej dłoni naciskała dzwonek. Nasłuchiwała, lecz nie usłyszała szczyknięcia zamka ani odgłosu kroków ze środka. Czy przyszła za późno? Czy przerwa już się rozpoczęła? W takim razie gdzie się schroni? Hotel znajdował się daleko, a deszcz nie zamierzał przestać padać. Lucy znów spróbowała nacisnąć dzwonek, tym razem trzymała go

przez długą chwilę; słyszała rozlegające się wewnątrz głośnie dzwonięcie.

– Proszę, bądź tam – powiedziała. Jakby w odpowiedzi na tę prośbę zaczęła mechanizm automatu, a drzwi poruszyły się nieco. Pchnęła je i weszła do środka, przystając, by strząsnąć wodę z szala i otrzepać nogi.

– *Vengo subito* – zawołała Catherine z zaplecza za łukiem. Jednak nie podeszła od razu, jak mówiła. Zamiast tego kontynuowała rozmowę, którą najwyraźniej zamierzała dokończyć, zanim podejdzie do potencjalnego klienta. Lucy słyszała jej głęboki głos, jej doskonały włoski i przypomniała sobie, że Antonio Cini niechętnie podziwiał jej świetny akcent. Nasłuchiwała uważnie, usiłując zrozumieć pojedyncze słowa, i uśmiechnęła się, słysząc kończący rozmowę okrzyk:

– *Ma che imbroglio!*

Rozmówca Catherine odpowiedział; uśmiech Lucy zniknął. Mężczyzna mówił szybko, z podnieceniem, jakby bał się, że mu przerwą. Choć Lucy nie rozumiała potoku słów, rozumiała jedno – i to olśnienie przeszło jej umysł jak błyskawica światła. Nie rozumiała treści, lecz rozpoznała głos. To był Massimo.

W następnej chwili mogła obejrzeć to samo zaskoczenie i niepokój na przystojnej twarzy swego kochanka. Pojawił się w łukowo sklepionym przejściu, idąc za Catherine, wciąż zwracając się do niej z beztróskim ożywieniem, jakie Lucy rzadko u niego widziała, gdyż płynęło ono z łatwości posługiwania się ojczystym językiem. Skończył zdanie, najwyraźniej pełen podziwu dla samego siebie, gdyż jego spojrzenie, które padło na Lucy, było wesołe i beztróskie. Jego dobry humor natychmiast znikł, oczy się powiększyły, a szczęki zacisnęły. Catherine przenosiła wzrok z jednego gościa na drugiego z wyrazem szczerego rozbawienia. Jak zawsze w jej obecności Lucy czuła się mała, nieciekawa i brzydka. Była boleśnie świadoma swych mokrych włosów, śliskości mokrej skóry pod wilgotną tkaniną bluzy, mało atrakcyjnego zapachu owcy wydzielanego przez przemoczony szal. Przez długą chwilę cała trójka stała, obserwując się nawzajem, a

szarpiące nimi emocje malowały się wyraźnie na ich twarzach. Potem Massimo odzyskał panowanie nad sobą, a więc także nad kobietami, pomieszczeniem i światem, westchnął z rozpaczą i podszedł do Lucy.

– Lucy, jesteś kompletnie przemoczona. Nie powinnaś wychodzić w taką pogodę, przeziębisz się. Musisz wrócić do hotelu i położyć się do łóżka. Nie doszłaś jeszcze do siebie – wygłaszając te polecenia i mroczne przepowiednie, położył ręce na jej ramionach i trzymał ją tak na odległość, uważając, jak zauważyła Lucy, by nie zamoczyć marynarki.

– Nic mi nie będzie – powiedziała. – Zachowujesz się śmiesznie.

Spojrzał na Catherine, biorąc ją na świadka szaleństwa Lucy.

– Nawet przez materiał czuję, jak jest przemarznięta! – zawołał, po czym, zwracając się do Lucy, zgnił ją: – Co cię napadło, by wychodzić w taką pogodę?

– Myślałam, że dzisiaj miałeś pracować – odparła sucho.

Wzruszyła ramionami, usiłując uwolnić się z jego uścisku, lecz trzymał ją mocno, spoglądając na nią z maską głębokiej troski dobrze przyklejoną do twarzy. Nie dał się zbić z tropu. Taką zastosował taktykę: ona była niegrzeczna, lecz on pośpieszył jej na ratunek.

Zapanowała niezręczna cisza, podczas której Lucy dosłownie wywijala się z uścisku kochanka. W tym momencie wtrąciła się Catherine, wybawiając ich wszystkich z kłopotu.

– Niech Lucy pójdzie ze mną na górę – powiedziała. – Dam jej ręcznik.

Massimo wypuścił Lucy.

– Oczywiście – przytaknął. – Musi jak najszybciej wyschnąć.

Kiedy Lucy posłusznie szła za Catherine, Massimo dreptał nerwowo za nią, łagodząc ostrzeżenia usprawiedliwieniami: nie może zostać dłużej; naprawdę miał już wychodzić, wstąpił jedynie po drodze z baru, gdzie przekąsił *panino*, ale oczywiście zaczeka na Lucy i odprowadzi ją do taksówki.

– To doprawdy zbyteczne – odparła.

Catherine odwróciła się na schodach.

– Lucy przyszła mnie odwiedzić. Powinna wypić przynajmniej filiżankę herbaty, zanim wyjdzie, potem zadzwonię po taksówkę. – Zwracając się do Lucy, dodała: – Przyjedzie dosłownie w dwie minuty. Taksówki to jedyna sprawnie działająca rzecz w Rzymie.

– Masz rację – odparł Massimo. – To nawet lepszy pomysł. Wracam do pracy, a panie spędzą mile czas. Lucy, przyjadę do ciebie do hotelu o wpół do ósmej.

Rzuciła mu ciężkie, sceptyczne spojrzenie, na które odpowiedział uniesieniem brwi i rozłożeniem dłoni w przesadnym geście prośby, tak całkowicie spontanicznym i niestosownym, że mogła się tylko uśmiechnąć.

– Do zobaczenia – odparła.

Pożegnał Catherine, która wesoło odkrzyknęła z półpiętra:

– *Ciao, Massimo.*

Lucy patrzyła za nim – stał plecami do niej – kiedy brał swój elegancki płaszcz i parasol z krzesła stojącego obok zagraconego biurka Catherine. Nie wychodził z domu, jeśli nie był przygotowany na każdą ewentualność. Przeciągnął dłonią po włosach – niepotrzebnie, gdyż jak zawsze leżały doskonale, włożył płaszcz i nie oglądając się, wyszedł pod łukiem. Lucy poszła na górę, do pracowni Catherine. Zanim tam dotarła, Catherine powiesiła ręcznik na wieszaku i postawiła czajnik na kuchni.

– Jak długo tu był? – zapytała Lucy, delikatnie wycierając twarz i włosy. Miękki ręcznik pachniał lawendą.

– Około godziny – odparła Catherine zza kuchennego parawanu. – Jadłaś coś?

– Kanapkę. – Lucy oparła łaskę Antonia o stół i opadła na najbliższe krzesło. – Jezu, jestem wykończona – mruknęła.

Catherine wyszła zza parawanu i stała ze skrzyżowanymi ramionami, uśmiechając się do gościa. – Czego chciał?

– Chyba zacieśnić znajomość.

Lucy zmarszczyła brwi.

– Jak bardzo?

– To Włoch. Usiłuje dotrzeć najdalej jak może, choć, co dziwne, często wystarcza im naprawdę mało.

– Mógł zaczekać, aż wyjadę. Opuszczam Rzym jutro po południu.

– Powiedział, że miałaś do niego pretensję o tak nagłe wyjście wczoraj, i obawiał się, iż zrobił złe wrażenie. Był w sąsiedztwie, więc zajrzał.

– Wierzysz mu?

– Nie.

– O czym mówił przez całą godzinę?

– Plotki. Jego rodzina zna rodzinę właścicieli mojego mieszkania. Opowiedział mi o nich kilka skandalicznych historii.

Czajnik zagwizdał i Catherine zniknęła za parawanem.

– Jaką chcesz herbatę? – zapytała.

– Jakąkolwiek – odparła Lucy. Złożyła ręcznik i położyła go na poręczu krzesła. Poczowała, że ogarnia ją fala znużenia i otępienia – nie miała nawet ochoty przeciwstawić się jej. Spojrzała tęsknie na cieniasty las Catherine. Jak przyjemnie byłoby położyć się w jakimś spokojnym miejscu i zasnąć. „Chyba wiem, czyje to drzewa” – pomyślała.

Pojawiła się Catherine, niosąc dwie parujące filiżanki, uśmiechnięta i troskliwa jak anioł opiekuńczy. Lucy pochyliła się, by wziąć filiżankę, i wymamrotała podziękowania. Ostra woń unosząca się znad naparpu pachniała znajomo, Lucy rozpoznała ją z radością.

– Imbir – powiedziała Catherine. – Stawia na nogi.

– Wspaniale – odparła Lucy. – Tego potrzebowałam.

Catherine usiadła naprzeciwko, trzymając filiżankę w dłoniach.

– Zapewne ty naprawdę tędy przechodziłaś.

– Naprawdę – przytaknęła Lucy. – Byłam w galerii Borghese, a potem przeszłam przez park i zjadłam coś na Via del Babuino.

– To długi spacer – zauważyła Catherine.

Lucy kiwnęła głową, masując kostkę. Nie owinęła jej bandażem i przez póżnochę prześwitywał siniak.

– Byłby przyjemny, ale jest zbyt zimno, a przez kostkę nie mogę szybko chodzić. A potem zaczęło padać.

– Zatem weszłaś tutaj i zastałaś Massima.

– Właśnie. – Lucy potrząsnęła głową. – Dokładnie tak.

Catherine z namysłem popijała herbatę.

– Ale nie jesteś w nim zakochana?

– Nie wiem, dlaczego tak mu zależało, żebym przyjechała do Rzymu. To on mnie zaprosił, a teraz zachowuje się tak, jakbym to ja go prześladowała.

– Ale ty tego nie robisz – wtrąciła Catherine kpiącym i prowokacyjnym tonem.

– Ma żonę. Za kilka dni wracam do Nowego Jorku. To miała być przygoda: żadnych pretensji, oczekiwań, po prostu zabawa, a potem: *ciao, basta*. Dlaczego on chce zamienić to w walkę?

– Jesteś naprawdę romantyczna, Lucy – odezwała się Catherine. – Oczywiście, że to walka. A jeśli nie ma oczekiwań ani pretensji, jak on mógłby w niej zwyciężyć? Musi istnieć niebezpieczeństwo, że was odkryją. Ty musisz być zagrożeniem. Inaczej jaki sens ma romans?

Lucy słuchała z ponurą miną.

– Wiem, że masz rację – przyznała. – Nie powinnam była tu przychodzić. Ale on się mną opiekował w czasie choroby, a potem poszłam za nim jak pisklę za matką.

– Rzeczywiście wydaje się troszczyć o twoje zdrowie – przyznała Catherine.

Lucy przełknęła łyk herbaty, wspominając absurdalną scenę na dole. Popatrzyła na rozmówczynię, która trzymała filiżankę przy ustach. Znad jej krawędzi wpatrywały się w nią jej szczerze i zaciekawione oczy.

– To raczej słaba wymówka, prawda?

Catherine kiwnęła głową.

– Na szczęście nie zakochałam się w nim.

– Jesteś pewna?

– Chyba tak – odparła Lucy. Catherine miała jednak tak zacie-

kawiony i łobuzerski wyraz twarzy, że dodała: – Nie wiem, naprawdę. A jak można się dowiedzieć? Czy znasz jakiś test?

Catherine postawiła filizankę na stoliku obok i zrzuciła buty, potem z zaskakującą gracją podwinęła pod siebie długie nogi.

– Nie wiem – odparła. – Nigdy nie byłam zakochana.

– Nigdy? Nawet w DV?

Catherine roześmiała się.

– Nie, na pewno nie. Nawet przez minutę.

„I założę się, że nie w Antonio Cinim” – pomyślała Lucy.

– Seks to wielka siła – rozważała Catherine. – Ma wielki wpływ na człowieka. Kiedyś w czasie studiów we Florencji poznałam mężczyznę. Był moim wykładowcą.

– Włoch?

– Nie, Amerykanin. Doskonale malował. W swej naiwności myślałam, że zależy mu na moich obrazach, lecz, jak się okazało, w ogóle ich nie rozumiał.

– Zatem zerwałeś z nim, ponieważ nie rozumiał twoich obrazów?

– Artysta nie może naprawdę troszczyć się o cokolwiek poza swoją pracą. Ona stoi na pierwszym miejscu.

Lucy siedziała w milczeniu, zastanawiając się nad wnioskami płynącymi z tak poważnego i podstawowego w swym znaczeniu doświadczenia. Była gotowa przyznać, że sztuka to wielka siła, powołanie, jak powołanie zakonne, ale czy naprawdę zwalniała swych wyznawców z obowiązków wynikających z uczuć i zaufania? Prawda, artyści często okazywali się łajdakami. Bernini słynął z wybuchów gniewu i drażliwości, choć nie był takim gwałtownikiem jak Caravaggio, który zamordował człowieka wskutek kłótni o mecz tenisa. „Catherine – przypomniała sobie Lucy – uwielbiała Caravaggia”.

To właśnie męczyło ją, kiedy stała wpatrzona w piękno i przerażenie tak nieodwołalnie splecione ze sobą na twarzy Dafne Berniniego. Wtedy już niemal ujęła w słowa myśl, że niezależnie od tego, jaki był Bernini, czy był świętym, czy potworem – krzyk wypełnia-

jący nieruchomą przestrzeń wokół marmurowej Dafne dowodził, że artysta dobrze wiedział, co to znaczy być zdradzonym. W tej chwili Lucy z dreszczem lęku zajrzała w świat, w którym liczy się jedynie sztuka, a nie moralność.

– Co byś dla niej zrobiła? – zapytała nagle. – Popęłniłabyś morderstwo?

– Dla kogo?

– Dla pracy, jak mówisz. – Spojrzała badawczo na Catherine. – Dla sztuki.

Catherine zacisnęła usta, udając, że zastanawia się nad pytaniem. Jednak Lucy zauważyła, że nie potraktowała go poważnie. Jej doświadczenie wynikało z uporu i przekory, a nie głębokiego przekonania. Była to rutynowa odpowiedź wobec wszelkiego sprzeciwu, wszystkiego, co ograniczało jej osobistą wolność, którą Catherine utożsamiała z wolnością twórczą. Odpowiedziała tak również mężczyźnie, choć go kochała i podziwiała, dlatego, że odważył się skrytykować jej malarstwo – wtedy go rzuciła.

Oczywiście tak samo potraktowała DV. Catherine patrzyła w zamysleniu w dal; usta miała rozchylone, w palcach powoli kręciła kosmyk włosów. Potem przesunęła spojrzenie na Lucy.

Znalazła satysfakcjonującą odpowiedź i pochyliła się w krześle, by ją wygłosić.

– Dotąd nie musiałam tego czynić – powiedziała i uśmiechnęła się do Lucy promiennie.

ROZDZIAŁ 20

Gdy zazdrość i gniew podsycają ogień pożądania, skutkiem bywa pożar. Kiedy Lucy podniosła kieliszek do ust i spojrzała w spokojne oczy Massima, wiedziała, że płonie.

Nie dbała o to, właściwie cieszyła ją ta sytuacja. Nie będzie musiała dodatkowo zagrzewać się do tego, co zamierzała zrobić – do

wypalenia w pamięci Massima swego wspomnienia, tak, by nie zarosło wkrótce po jej wyjeździe równą roślinnością codziennego dnia. Nie, zamierzała zostawić po sobie czarną, dymiącą polanę w nieprzeniknionym gąszczu jego świadomości.

Przyjechał do hotelu w dobrym nastroju, uprzedzając wszelkie niewygodne wzmianki o niezręcznym spotkaniu w galerii Catherine radosną wiadomością, że zostanie w hotelu na noc – ostatnią wspólną noc. Po krótkiej nieobecności wróci na obiad, a potem wyjadą do Ugolino. Lucy przyjęła informację jak wspaniałą niespodziankę – jaką miała być. Znaleźli miejsce na jego walizkę, a na wąskiej półce w łazience obok jej przyborów Massimo położył swoją szczoteczkę do zębów i maszynkę do golenia.

Teraz wyciągnął rękę poprzez stół i grzbietem dłoni dotknął policzka Lucy. Był zadowolony, jak zawsze, lecz grał rolę kochanka zasmuconego igraszkami okrutnego losu. Po zostawieniu Lucy w Ugolino miał jechać do Mediolanu na kilka dni i wrócić długo po jej wyjeździe.

- Szkoda, że wyjeżdżasz – powiedział.
- Nie mówmy o tym.

Rzeczywiście nie rozmawiali o tym, gdyż nadszedł kelner z miską śnieżnej mozzarella którą podawał im ostrożnie, jednocześnie żywo dyskutując z Massimem o jej świeżości i doskonałym smaku. Lucy kiwała głową, uśmiechała się, pomrukiwała twierdząco, chociaż nie lubiła zbytnio serów i uważała je za zbyt ciężkie na początek posiłku. Massimo szturchnął widelcem niewielką kulkę i pokroił ją na równe części, po czym powiedział, że ser jest bardzo świeży i na pewno będzie jej smakował.

– Zauważyłam – odparła ona, idąc za jego przykładem. – W kuchni mają krowę.

Massimo spochmurniał i przeżuwał swoją porcję. Ironizowanie z nim było czystą stratą czasu. Nie lubił, kiedy temperowało się jego entuzjazm. Lucy skupiła się na serze. Ku jej zaskoczeniu – lekki, soczysty, o delikatnym słonawym smaku nie przypominał niczego, co

dotąd jadła.

– Miałaś rację – powiedziała. – Smakuje wyśmienicie.

Kiwnął głową, jednak po jej uwadze zamilkł. Zjadł resztę sera bez komentarza i odsunął talerz na bok.

– Obawiam się, że masz na mnie zły wpływ, Lucy.

– Dlaczego?

– Zachowuję się niewłaściwie.

– Trochę za późno, żeby się o to martwić.

Spojrzał na nią ostro. Najwyraźniej nie chodziło mu o relacje między nimi i zdenerwowało go, że tak zrozumiła jego słowa. Wytrzymała jego spojrzenie, sama zirytowana tą grą.

– O czym mówisz? – zapytała.

– Upodabnam się do ciebie – odparł. – Staję się podejrzliwy.

Ucieszył się: dzisiaj zagrałem dla ciebie detektywa.

„Nareszcie” – pomyślała Lucy. „Będzie kłamał, żeby wytłuma-
czyć swoją wizytę u Catherine”.

– Co zrobiłeś?

– Kiedy wczoraj odnaleźliśmy twoją znajomą, zastanawiałem się,
jak może sobie pozwolić na taką galerię.

– Wynajmuje ją – odparła Lucy. – To nie tajemnica.

Roześmiał się i napelnił kieliszek.

– Lucy, jesteś naiwna. Czy masz pojęcie, ile wynoszą czynsze na
Via Margutta? To jedna z najdroższych ulic w centrum miasta. Nikt
nie mógłby pozwolić sobie na wynajęcie choćby komórki, gdyby miał
się utrzymać jedynie ze sprzedaży obrazów.

Lucy kiwnęła głową. Znów musiała przyznać mu rację. Do tej pory
przypuszczała, że galeria Catherine zarabia na sobie.

– Dzisiaj poszedłem tam, aby się czegoś na ten temat dowiedzieć.

Lucy uśmiechnęła się z przymusem. Nie prosiła go o wyjaśnienia i
nie chciała w nie wierzyć.

– Zapytałeś ją, a ona ci odpowiedziała?

– Nie, Lucy. To właśnie mnie zaintrygowało. Nie powiedziała
mi. Nawet jej nie pytałem, nie jestem głupcem. Jednak tak niechętnie

o tym mówiła, że nabrałem jeszcze większych podejrzeń. Potem wyszła na chwilę do klienta, a ja zostałem w jej pokoju niedaleko biurka. Leżała tam książeczka czekowa – taka, jakich używa się w interesach, z nazwą konta. I wtedy zachowałem się tak niewłaściwie, że nie potrafię tego wytłumaczyć. Otworzyłem książeczkę i przeczytałem nazwisko.

Pojawił się kelner z dwiema miskami zupy, które postawił przed nimi z wystudiowaną starannością. Lucy miała chwilę, by wyobrazić sobie Massima w czapce Sherlocka Holmesa, pochylającego się nad papierami Catherine i podnoszącego okładkę oprawionej w skórę książki, potem odkładającego ją z oczami błyszczącymi radością. Kelner zabrał talerze z serem i dołał wody do kieliszków, po czym pośpieszył do stolika obok, zajętego przez palących biznesmenów.

Massimo zagryzł dolną wargę, wstrzymując się, by nie wyjawić najważniejszej wiadomości zbyt wcześnie – chciał uzyskać możliwie największy efekt.

– Miałaś rację, Lucy – powiedział.

Podniosła łyżkę.

– W jakiej sprawie?

– Tam było nazwisko Cini. Konto jest na nazwisko Cini i Bultman.

Odłożyła łyżkę.

– Antonio Cini finansuje Catherine?

– Przecież cały czas to podejrzewałaś.

Podejrzewała, owszem, lecz zmieniła zdanie. Teraz ten niepodważalny dowód wprowadził ją w zakłopotanie. Co za kłamca z Antonia, z jego miną pełną znudzenia i obojętności, jego dumne zapewnienia, że niewiele wiedział o Catherine, że widywał ją tylko przelotnie, kiedy prowadziła samochód DV lub rysowała na dworze. Niemal ją przekonał, choć list zaprzeczał jego słowom. Kiedy Catherine okazała tak niewielkie zainteresowanie jego osobą – najwyraźniej był dla niej tylko użytecznym znajomym, który skierował ją do właściwych ludzi w Rzymie – Lucy uznała, że zgodnie z sugestią Massima list mógł

wysłać inny Antonio, jakiś wcześniejszy kochanek, na przykład ów florentyńczyk, którego obrazy wystawiała w swej galerii. Szczerze mówiąc, rozmowa z Antoniem podczas podróży na dworzec kolejowy przekonała Lucy, że był to człowiek zbyt pozbawiony życia i zbyt wyniosły, by wplątywać się w taki związek, dwie pogawędki z Catherine sprawiły zaś, że uznała ją za zbyt niezależną i przywiązaną do swobody, by angażować się z takim mężczyzną w związek tylko dla pieniędzy. Jeśli jednak Antonio Cini płacił jej rachunki, co innego mogło ich łączyć?

– Dlaczego wskazał mi, gdzie ją znaleźć? – zastanawiała się głośno Lucy.

– To piękna kobieta – odparł Massimo. – Czego miałby się wstydzić?

– Ale jeśli chciał, żebym się dowiedziała, mógł po prostu mi powiedzieć.

Massimo stanął w obronie swego znajomego arystokraty.

– Chciał, by Catherine ci powiedziała, Lucy. Jest dżentelmenem. Lucy prychnęła.

– Na miłość boską!

„Za chwilę powie mi, że nie rozumiem tego, gdyż jestem Amerykanką” – pomyślała.

– Może ty tego nie rozumiesz – dodał Massimo.

– Bo jestem Amerykanką?

– Bo nie jesteś Włoszką.

„Doskonale rozumiem” – pomyślała Lucy, czując pulsowanie krwi w uszach. „Kłamać we wszystkim, oto polityka”. Nie odezwała się jednak. Zamiast tego wzięła łyżkę i spróbowała zupy. Znow z wątpiewaniem podeszła do wyboru dokonanego przez Massima, jednak po pierwszym łyku zmieniła zdanie: proste składniki w idealnych proporcjach i niemal żadnej soli. Był to kolejny sekret nie do pojęcia dla cudzoziemca.

– To wspaniałe – powiedziała niechętnie.

Massimo z zadowoloną miną pokiwał głową. Znow pojawił się kelner z tacą załadowaną połyskującymi rybami wszelkich rozmiarów i kształtów, w kilku kolorach. Massimo przyjrzał się im z powagą, po czym przedyskutował swój wybór z zafascynowanym i podnieconym kelnerem. Wybrał dużego morskiego okonia, który swym okrągłym, płaskim okiem przyglądał się z uwagą rozmówcom. „Nawet ryba jest zainteresowana” – pomyślała Lucy. Okoń miał zostać upieczony na grillu z odrobiną oliwy i soli. Żadnej pietruszki, uzgodnili. Czasami się ją dodaje, lecz niepotrzebnie, gdyż w niczym nie wzbogaca doskonałego smaku dobrej, świeżej ryby.

Ku zachwytowi obu mężczyzn Lucy zgodziła się z nimi.

– *Prezzemolo, no* – powiedziała. Kiedy kelner podniósł tacę na ramię i odszedł z dumą poprzez hałas i dym wąskiej sali, Massimo zwrócił ku niej rozpromienioną twarz. Powiedział, że jej włoski naprawdę się poprawia.

Lucy przewróciła się na bok i spojrzała na zegarek: siódma. Obok prześcieradła były odrzucone na bok, a łóżko puste. Słyszała szum wody z łazienki. Spali zaledwie godzinę.

Przesunęła kołdrę pod brodę i wyciągnęła się leniwie, z przyjemnością, lecz bez zaskoczenia zauważając bóle w stawach biodrowych i ramionach.

– Znów wszystko jak trzeba – powiedziała z rozmarzeniem.

Po powrocie z restauracji Massimo przyłożył dłoń do jej czoła i policzka. Miała gorączkę, stwierdził; to skutek spacerowania w deszczu. Wpędziła się ponownie w chorobę. Lucy pełna energii roześmiała się i strząsnęła jego dłoń. Owszem, była rozgrzana, ale nie rozgorączkowana. Opowiedziała mu kilka historyjek ó świętych, którzy mieli nienaturalnie wysoką temperaturę ciała: jedna z nich pijąc wodę, wydawała ponoć dźwięki podobne do syczenia rozżarzonych węgla, a z jej ust i nosa buchała para. Inny, Włoch, nawet nie mógł zmierzyć sobie temperatury, gdyż pękały wszystkie termometry.

– Nazywa się to – powiedziała, rzucając sweter na krzesło, a za nim bluzkę – *incendium amoris*.

– Zaczynam się niepokoić, Lucy – odpowiedział Massimo. – Spłonę przy tobie.

– Nic ci nie grozi – zapewniła.

– Ale nie jestem bogiem. – Rozpiął koszulę, zsunął ją i usiadł obok niej na brzegu łóżka. Pocałowała go w policzek, ugryzła w ucho i zarzuciła mu ręce na nagie ramiona.

– To dobrze – powiedziała – bo ja nie jestem boginią.

Później pomyślała, że miała rację; on był bezpieczny, lecz jej groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Jednak wtedy była zbyt podniecona, by się tym przejmować. Mimo upływu godzin Massimo był wciąż chętny, nie zmęczony. Nie oblewał się potem, jak ona, i nie przerywał, by wielkimi łykami popijać wodę. Oczywiście uciekały mu pod powieki, nie stracił tchu. W każdej chwili był z nią, zachęcając, czasami wyrażając podziw dla jej wytrzymałości lub komplementując jakąś szczególnie wyszukaną próbę. Wydawał się błogo nieświadomy tego, że coś planowała, że jego samokontrola jeszcze bardziej dodawała jej sił i Lucy nie zamierzała się poddać, póki w końcu nie zdoła go złamać i zostawić zdyszanego, jak ona sama, gdzieś poza granicą

tak dobrze znanego mu świata.

W końcu poddała się, chód zawiodło ją ciało, nie chęć. Musiała mierzyć siły na zamiar, jaki powzięła. Może Massimo nie był bóstwem, ale na pewno twierdzą, a ona nie przedstawiała dla niego większego zagrożenia. Przypominała mysz atakującą żelazną bramę ze swym maleńkim, podobnym do wykałaczki mieczykiem. Wyobraziła to sobie w chwili, kiedy leżała na Massimie, trzymając go wyprostowanymi rękami za ramiona i bijąc w niego jak w mur. Uderzona absurdalnością tego wyobrażenia wybuchła niepowstrzymanym śmiechem i opadła.

Przytrzymał ją rozbawiony, lecz zainteresowany.

- Co się dzieje? – zapytał po chwili. – Lucy, co cię tak rozbawiło?
- Nic – odparła. – Doprowadzam się do wyczerpania.
- To prawda – przytaknął. – Będziesz wykończona.
- To mnie nie obchodzi – odparła. Jednak jej rozbawienie zmieniło się w smutek i gorycz. Smutny jest los dzielnej myszy skazanej na klęskę.

Massimo wyczuł zmianę jej nastroju. Przyciągnął jej głowę do siebie i pocałował tak czule, że przez chwilę myślała, iż jednak dotknęła jego wnętrza.

- Moja biedna Lucy – powiedział. – Naprawdę ci na mnie zależy.
- Po czym przeturlał ją pod siebie i podczas gdy Lucy starała się trzymać resztą sił, doprowadził sprawę do gwałtownego końca.

Teraz zakręcił wodę. Słyszała jego ruchy w wąskiej łazience. Drzwi się otworzyły i z ociekającymi włosami stanął przed nią, owinięty w hotelowy ręcznik, który nie wchłaniał wody.

- Dzień dobry – powiedziała.
- Jak się czujesz? – zapytał.
- Świetnie.

Podszedł od niej, usiadł na łóżku i położył dłoń na jej czole.

- Nie masz gorączki – stwierdził.
- Czuję się świetnie – powtórzyła. – Wypociłam wszystko w nocy, cokolwiek to było.

- Nie odpoczęłaś, Lucy.
- Nie przyjechałam tu odpoczywać.

Zmarszczył brwi na tę niedelikatną uwagę i poczuła, że jego aprobata słabnie.

– Co będziesz robić, kiedy wyjdę? – zapytał. Wstał i zajął się walizką, jednym uchem słuchając jej odpowiedzi, częściowo skupiony na kwestii prawidłowego wyboru skarpetek.

Lucy przeciągnęła się i ziewnęła. Ogarnęło ją wielkie zmęczenie. Uświadomiła sobie, że nie powinna stawiać czoła tłumowi na ulicach.

- Chyba po prostu zostanę w łóżku – zdecydowała.
- Mądry wybór – pochwalił Massimo. – Czy mam zamówić dla ciebie kawę do pokoju?
- Nie, później zejdę na śniadanie do baru.

Włożył koszulę i spodenki.

– Wrócę o wpół do dwunastej – powiedział. – Zjemy obiad *v/fattorii* za miastem, to piękne miejsce. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

– Wspaniale – odparła. „I to koniec” – pomyślała. Wszystko już ustalono. Massimo zostawi ją w Ugolino; jutro firma pocztowa zabierze kartony z rzeczami DV, a Antonio Cini zawiezie ją do Sansepolcro, by oddała samochód. Następnego dnia nowy kierowca przyjedzie do Mediolanu, by zawieźć ją na lotnisko.

Massimo skończył się ubierać. Schylił się nad walizką, sprawdzając, czy wszystko jest prawidłowo złożone i nic nie zostało w pokoju. Lucy odwróciła się od niego w stronę okna zasłoniętego ciężkimi zasłonami. Na dywanie kładła się cienka smuga blasku, która przedarła się przez szczelinę. Słyszając podwójny szcęk zamykanej walizki, zamknęła oczy.

„Bądź silna – powiedziała do siebie – inaczej będziesz tego żałować. On nie ma zamiaru przelewać łez, więc dlaczego ty miałabyś to robić?”

Jednak na ten rozkaz: żadnych łez – jakby w proteście – w jej oczach zebrały się gorące, gorzkie krople. Spłynęły na twarz i po-

płynęły ku włosom. Leżała bezradnie, usiłując odpędzić je mruganiem. Massimo podszedł do łóżka, pochylił się i pocałował ją w policzek, szyję, ramię... Leżała bez ruchu, opierając się impulsowi wciągnięcia go z powrotem do łóżka.

– Dlaczego płaczesz, Lucy? – zapytał. – Dlaczego jesteś smutna?

– Nie powinnam była przyjeżdżać do Rzymu – odparła, po czym głos jej się załamał. „Tyle na temat bycia silną” – pomyślała. „Ale po co? Silni ludzie nigdy nie mogą powiedzieć tego, co chcą”.

– Co mówisz, Lucy? Dlaczego nie powinnaś tu przyjeżdżać? Czy było ci tak źle? – W ostatnim pytaniu wyczuła zniecierpliwienie. Czyżby okazała się tak niewdzięczna, że ma zamiar narzekać na jego traktowanie?

– Nie. Nie chciałabym tylko wiedzieć tego, czego się dowiedziałam.

Usiadł obok niej na łóżku i położył dłoń na jej policzku. „Jak matka – pomyślała Lucy – która uspokaja niespokojne, nieszczęśliwe dziecko”.

– Czego, Lucy?

Przewróciła się na bok, odwracając od niego twarz, pociągając nosem i wycierając oczy.

– Potrzebuję chusteczki – powiedziała. Wyjął ją z kieszeni.

Chwyliła chusteczkę łapczywie, nie patrząc na niego. „Zatrzymam ją, nie oddam” – pomyślała, przyciskając chusteczkę do nosa.

– Czego nie chciałaś się dowiedzieć? – powtórzył pytanie Massimo.

– Wszystkiego – jęknęła, przecierając oczy. – Nie chciałabym wiedzieć, że Catherine rzuciła DV dla Antonia, że DV wpadł do zbiornika na ścieki...

– Zbiornika na ścieki? – powtórzył Massimo. – Co to jest? O czym ty mówisz?

– Antonio mi powiedział – odparła, odwracając się na drugi bok, by móc na niego spojrzeć. Przyjemna potrzeba udzielania informacji zatamowała nieco potok łez. – To nie była studnia, tylko szambo. Po

włosku: *pozzo nero*.

Massimo zmarszczył brwi z głębokim niedowierzaniem.

– *Pozzo nero*? Jak to możliwe?

– Sąsiad je otworzył, po tym jak zbiornik pękł.

– Proszę – powiedział Massimo. – To zbyt nieprzyjemne.

– Owszem – przytaknęła Lucy. – Zbyt nieprzyjemne. To wszystko jest zbyt nieprzyjemne.

– Nie powinnaś myśleć o takich rzeczach, Lucy, zwłaszcza kiedy jesteś przemęczona. Wciąż jeszcze nie doszłaś do siebie. Prześpij się, a kiedy się obudzisz, stwierdzisz, że to wszystko nie wygląda już tak okropnie.

– Kiedy tylko usiłuję ci powiedzieć coś o moich uczuciach, twierdzisz, że jestem chora – poskarżyła się.

– Proszę, Lucy...

– Chyba wolisz, kiedy tak jest.

Wzrokiem szybko ocenił odległość do drzwi i z powrotem.

– Proszę, Lucy, nie zaczynajmy głupiej kłótni. Zostało nam tak niewiele czasu, po co się niepotrzebnie spierać?

– Dlaczego nie? – odparła ostro, ulegając rozdrażnieniu, choć czuła, że było ono jednocześnie niebezpieczne i nie do opanowania. – Nie mamy nic do stracenia.

Wzruszył ramionami. Nie zależało mu na tej grze, lecz skoro należała, zagra w nią.

– Może to ty mnie wolisz, kiedy jesteś chora, Lucy – powiedział. – Ja jestem zawsze taki sam. To ty się zmieniasz.

Te słowa zaskoczyły ją. Czy to prawda?

– To kolejna rzecz, której nie chcę wiedzieć – odrzekła, znów odwracając się plecami do pokoju.

Nie odezwał się, jedynie delikatnie pogłaskał ją po ramieniu i dłoni. „Usiłuje mi pomóc przez to przejść” – pomyślała, kiedy kolejny potok łez zamglił jej spojrzenie. Podciągnęła kolana do góry i płakała w chusteczkę najciszej, jak potrafiła.

– Moja biedna Lucy – odezwał się Massimo.

– Zmieniłam się – odpowiedziała. – To twoja wina. Czy myślisz, że kiedykolwiek w życiu spędziłam taką noc jak dziś? I jak myślisz, jakie mam szanse na następną, Massimo? Powiem ci: mniej więcej takie, jak to, że Jezus zapuka do tych drzwi.

Położył dłoń na jej ramieniu i szybko spojrzął na drzwi.

– Mówisz, że nie będzie ci się tak podobało z kimś innym?

Lucy przewróciła się na plecy i spojrzała na niego żałośnie.

– Tak – odparła. – To właśnie chcę powiedzieć.

Ze smutnym uśmiechem wziął jej dłoń w swoją.

– Jak mógłbym chcieć czegoś innego? – zapytał.

– To nie komplement, Massimo – odparowała. – To oskarżenie.

– Komu nie pochlebiłoby takie oskarżenie?

– To przestępstwo – odparła.

– Co chcesz powiedzieć, Lucy? Że wolałabyś mnie nigdy nie spotkać? Że cię skrzywdziłem?

– Nie – przyznała. – Tego nie mogę powiedzieć.

– Czy myślisz, że ja nie czuję smutku z powodu twojego wyjazdu?

– Tak – odpowiedziała. – Tak właśnie myślę. Jesteś bardzo zajęty, mój wyjazd sprawi ci ulgę.

– To prawda, że mam dużo obowiązków – przyznał. – Ale czas, który z tobą spędziłem, sprawił, że momentami chciałbym, aby tak nie było.

– Czy to prawda?

Spojrzał na nią z wielką powagą.

– Tak, Lucy. To prawda.

Znikomość tej chłodnej pocięchy rozbawiła ją. Uświadomiła sobie, że zapewne nigdy już nie usłyszy podobnego wyznania. W zimne noce na Brooklynie będzie się ogrzewać ich wspomnieniem – sprawiła, że chciał być dla niej mniej zajęty.

– Dobrze – powiedziała. – Wierzę ci. Teraz możesz iść. Ale chusteczkę zatrzymam.

Roześmiał się lekko na znak zgody i wstał, jak wtedy, kiedy wró-

cił. Spojrzał na drzwi, ona powiedziała:

– Będę gotowa.

A potem wyszedł.

Podsunięła poduszkę pod głowę i rozłożyła nogi i ramiona, zajmując jak najwięcej przestrzeni. To jedna ze słabych pociech życia w samotności. Istniały jeszcze inne, teraz je wyliczała, zostawiając najlepsze na koniec – nigdy nie trzeba się tłumaczyć, gdzie się było.

– Dlaczego to tak boli? – zapytała, gdyż teraz do zmęczenia dołączył żal, a za nim zazdrość. To śmieszne, wiedziała o tym, czuć zazdrość o żonatego mężczyznę, zwłaszcza że nie chodziło jej o jego żonę, lecz o kobietę, którą dopiero co spotkał i z którą na pewno nie nawiązał romansu. Jednak nie wierzyła w to, co opowiedział jej o Catherine Bultman; nie wierzyła, że poszedł tam po to, by rozwiązać zagadkę. Lucy wyjeżdżała, lecz Catherine była na miejscu, łatwo osiągalna, bezpieczna, z arystokratycznym kochankiem tkwiącym na wsi i dostępem do jego majątku. Nie miała zapewne zamiaru niszczyć tego związku, lecz jak często Antonio mógł bywać w Rzymie? Massimo węszył za prawdą w swoim własnym interesie; jak sam zauważył, nie był głupcem. Dlaczego nie miałyby skorzystać z bardzo atrakcyjnej okazji?

Jedyną pociechę stanowiło dla Lucy przekonanie, że w osobie Catherine Massimo znajdzie godnego przeciwnika. Jeśli nawet wzbudzi jej zainteresowanie, to tylko na tak długo, by zdążyła go zranić.

Lucy niechętnie przyjęła do wiadomości to, co Massimo odkrył na temat Catherine, choć z pewnością brzmiało to sensownie. Antonio Cini odkrywał drugą twarz, której dotąd nawet nie podejrzewała, a Catherine, jak to zresztą sama przyznała, zrobiłaby wszystko dla swojej sztuki. Czy czyniło to z niej mniej czy bardziej szczerą artystkę? Nie wiadomo. Artyści potrzebują pieniędzy, jak każdy, a mecenas zawsze chcieli ich kontrolować. DV wierzył w ambicje Catherine, uczynił, co mógł, by pomóc jej w ich spełnieniu, lecz ona uznała go za despotę – przynajmniej tak twierdziła. Może po prostu

dowiedziała się, jakie kwoty co miesiąc płacił na alimenty. Na pewno nie zgodziłby się urządzić jej galerii w mieście, które rzadko odwiedzał. Nie, Antonio złożył lepszą ofertę.

Jak bardzo załamany musiał być DV; mimo swych przechwałek nigdy nie wierzył w siebie. Pracował ciężko, z uporem, ponieważ uznał, że sumienność i determinacja pomogą mu osiągnąć sukces. To, że Catherine – jego bogini, kobieta, w której widział swą mużę, poradziła mu, by zajął się ogrodnictwem, a potem zostawiła dla sąsiada-dandysa... Lucy rozumiała, dlaczego zamknął się w domu i całkowicie oddał piciu.

Ale dlaczego Catherine chciała przed wyjazdem zniszczyć DV szyderstwem? Czy naprawdę wmówiła sobie, że rzuciła go nie ze względu na lepszą propozycję, lecz dlatego, że uznała go za byle jakiego wyrobnika? DV nie był artystą – na tym polegał jego dramat – ale czyż nie miał prawa kochać piękna?

Tak Lucy przeszła od zazdrości i żalu nad sobą do pełnego współczucia zrozumienia dla zmarłego pracodawcy, człowieka, którego za życia nie znała za dobrze, a z tego, co o nim wiedziała, nic nie budziło jej podziwu. Znaleźli się w nieco podobnym położeniu – oboje zakochali się w pięknie, które bawiło się nimi przez krótki czas. Jednak piękna, jak i wielkiej sztuki, nie da się opanować – jednocześnie wzbudza chęć posiadania i opiera się jej. Dlatego Lucy zawsze czuła, że nie może przebić się przez pancierz Massima, i to właśnie uczucie czyniło ich spotkania w łóżku tak dla niej bolesne. „Piękno to okrutna matka” – pomyślała Lucy sennie. „Przyciąga nas, a potem porzuca. Nieuchwytnie, niepojęte”.

Wśród tych metafizycznych rozmyślań zapadła w głęboki sen, z którego obudziła się odświeżona i w znacznie lepszym nastroju. Nie będzie już scen, wybuchów żalu ani niepokoju o przyszłość. Kiedy przyszedł Massimo, powitała go ciepło. Spała tak długo, wyznała, że nie zjadła śniadania i teraz umiera z głodu. Jej dobry humor zaskoczył go. Z pewnością nie miał ochoty na pożegnanie we łzach, czy jednak jej chęć opuszczenia pokoju i pośpieszenia na posiłek nie była nieco

dla niego obraźliwa?

ROZDZIAŁ 21

– Boże! – zawołała Lucy, z całej siły wciskając sprzęgło i hamulec, by nie uderzyć w pogięty tylny zderzak samochodu Antonia Ciniego. „To niemożliwe – pomyślała – żeby Catherine Bultman mogła paść w objęcia mężczyzny, który aż tak źle prowadzi”. Kiedy tylko Antonio osiągał normalną prędkość, wydawał się wpadać w panikę i zaczynał nerwowo hamować. Na szczęście na autostradzie panował bardzo niewielki ruch.

Lucy jednocześnie bała się dnia, który ją czekał, i cieszyła na niego, gdyż jak zwykle plany zmieniały się w ostatniej chwili. Antonio odwiedził ją, by powiadomić, że przedstawiciel firmy przewozowej zgłosił się nie rano, lecz następnego popołudnia. W ten sposób Lucy miała cały dzień wolny, więc Antonio zaproponował, by po odwiezieniu samochodu DV pojechali na obiad do Sansòpolcro. Szkoda byłoby wyjeżdżać z Włoch, nie zwiedziwszy tego starego miasta.

Lucy z chęcią przyjęła zaproszenie. Przynajmniej nie musiała jeść kolejnej kolacji w willi. Poza tym za wszelką cenę chciała wydusić z Antonia jakieś zeznania; chciała go zmusić, by porzucił zwykłą obojętność, z jaką odnosił się do pytań o Catherine, i wyznał prawdę – że odciągnął ją od DV oraz emocjonalnie i finansowo związał się z nią.

Jak miałyby to osiągnąć, nie wiedziała. Do tej pory okazała się kiepskim detektywem. Nie lubiła sytuacji, kiedy usiłowała trzymać się tematu, który rozmówca najwyraźniej chciał zmienić. W rozmowie z Catherine wykazała się całkowitą naiwnością – dała się rozbroić jej szczerości i urodzie. Teraz była pewna, że ona dokładnie to sobie zaplanowała. Nawet Massimo, oczarowany urodą Catherine, wykazał więcej spostrzegawczości i dyskrecji.

Myśl o Massimie ukłuła ją. Wiedziała, że odtąd będzie mogła tylko

o nim myśleć. Rozstali się bez goryczy i określonych planów co do ponownego spotkania. Może kiedyś on pojedzie do Stanów, może ona wróci do Włoch. Na odwrocie nie wysłanej pocztówki – był na niej kot siedzący przy głowie wielkiego kamiennego lwa – napisała swój adres i telefon na Brooklynie, Massimo dał jej swoją wizytówkę z mediolańskim adresem firmy. Podziękowała mu za uratowanie życia.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł. – Kiedy tylko będziesz umierać, zadzwoń.

Uniosła wzrok znad wizytówki. Uśmiechał się do niej swym protekcyjnym, pobłażliwym uśmiechem. Jednak gdy ich spojrzenia spotkały się, spoważniał, a potem jego twarz przybrała wyraz prawdziwego smutku.

– Będę za tobą tęsknił, Lucy – powiedział. Wziął ją za rękę, pocałował w dłoń – po stronie zewnętrznej, potem wewnątrz – puścił ją i poszedł do samochodu.

Stała na podjeździe, patrząc, jak manewruje samochodem. Jednak zamiast odjechać, zatrzymał się, wysiadł i podszedł do niej z kocim wdziękiem, który tak jej się podobał.

– Chcę cię jeszcze raz pocałować – powiedział. Pocałunek był tak gorący i pełen tęsknoty, że Lucy postanowiła mu uwierzyć. Przycisnęła się do niego i objęła za szyję. Nigdy nie pozna jego prawdziwych uczuć, ukrytych pod maską nonszalancji, jednak z własnych doskonale zdawała sobie sprawę.

Teraz Antonio włączył kierunkowskaz, choć nigdzie nie było widać skrzyżowania. Znów zahamował obok pola słoneczników i Lucy wyobraziła sobie, jak wpada w gęstwinę ciemnych, suchych łądyg. Wlókł się przez kilka kilometrów, póki nie ukazała się droga, której wypatrywał, a potem triumfalnie przyśpieszył i skręcił na nowy pas.

Lucy jechała ze wspomnieniem pocałunku Massima – choć nie chciała tego rozpamiętywać – zakłóconym irytacją na Antonia Cieniego. Nowa droga była pełna kolein i kręta, więc Antonio przyśpieszył. Przed sobą, w oślepiającym porannym słońcu widziała trzęsący się i skręcający co chwilę jego staroć. Kiedy zakręciła, by ominąć

dziurę w asfalcie, zobaczyła, że jego tylne koło wpadło w kolejną.

– Gdzie ten człowiek uczył się jeździć? – zapytała.

W ten sposób przejechali kilkanaście kilometrów bocznymi drogami, na których jedyną oznaką życia było głośne, chrapliwe krakanie wron na polach. Potem minęli kilka niskich budynków, brudne gospodarstwo zawałone maszynami, drugie – mniejsze, na którego podwórku stało kilka nowych samochodów, a maleńki betonowy budynek ledwie mieścił okno i drzwi. Wjeżdżając za Antoniem na parking, Lucy zauważyła znak w zakurzonej oknie. „EURAUTO” – głosiły wyblakłe czerwone, białe i zielone litery. Wyłączyła silnik i dołączyła do Antonia stojącego na chodniku.

– Jakim cudem udało ci się znaleźć to miejsce? – zapytała.

– To nietrudne – odpowiedział.

– Oczywiście – przytaknęła, idąc za nim. Weszli do biura, gdzie nerwowy młody człowiek wyposażony w komputer, o którego obsłudze nie miał pojęcia, przez kilka minut usiłował zdobyć jakąś ważną informację o umowie, którą pokazała mu Lucy. Z nadzieją przyglądał się ekranowi.

– *Niente* – powiedział.

Antonio był cierpliwy, jednak najwyraźniej znudzony.

– Te maszyny niczego nie ułatwiają – odezwał się do Lucy. Młody człowiek znów przebiegł palcami po klawiaturze, po czym stał, mrugając nerwowo i wpatrując się w ekran.

– *No, niente* – powiedział znów. Omówił problem z Antoniem, który przetłumaczył Lucy ustalenia. Zdecydowali się zdjąć odcisk karty kredytowej Lucy i obciążyć ją później, kiedy przyjdzie ktoś, kto zna się na systemie i będzie wiedział, o co chodzi.

– Ale nie powinno być żadnego obciążenia – zaprotestowała Lucy. – Wszystko zostało zapłacone z góry, tak jest napisane w umowie.

Antonio wydawał się zdezorientowany.

– To czego chcemy?

– Rachunku – odparła. – Poproś go, żeby skopiował umowę.

Antonio przetłumaczył jej słowa. Nastąpiła kolejna długa wymiana zdań. Obejrzano dokładnie umowę, Lucy wskazała miejsce, w którym potwierdzono dokonanie płatności. Była to pojedyncza kartka, a w biurze brakowało kserokopiarki.

– Jak to zapłacono? – zapytała Lucy Antonia, choć nie spodziewała się, by wiedział. Nie znalazła żadnego rachunku, a wiedziała, że DV dbał o takie rzeczy.

– Na tak dużą kwotę nie przyjmuje się płatności kartą – wyjaśnił Antonio. – Twój przyjaciel zapłacił gotówką. Wiem, bo zawiozłem go do banku po pieniądze, a potem przyjechaliśmy tutaj po samochód.

– Zatem wiesz, że wszystko zostało uregulowane! – zawołała Lucy. – Więc dlaczego miałabym dawać im swoją kartę i zgadzać się na nie wiadomo jaką płatność? To nie ma sensu. Ja chcę tylko potwierdzenia, że to już zapłacono! Nie możesz mu tego powiedzieć?

Antonio także tracił już cierpliwość, lecz starał się zachować spokój.

– Karta kredytowa potrzebna jest na wypadek dodatkowych niewielkich opłat – wyjaśnił – lub w przypadku uszkodzenia samochodu.

– Uszkodzenia! – Lucy poczuła, że krew uderza jej do głowy. – Możemy wyjść na zewnątrz i przekonać się, że nie ma żadnych uszkodzeń! Zresztą został ubezpieczony. To też zawarto w umowie.

– Proszę, Lucia – jęknął Antonio. Czuł się wyjątkowo niezręcznie w tej sytuacji, uświadomiła sobie Lucy. Tępy urzędnik, uparta amerykańska turystka – scena z koszmaru. Był nieszczęśliwy, zerkał na boki i przez moment Lucy miała wrażenie, że zemdleje albo po prostu ucieknie. Jednak opanował się i mówił dalej: – To głupiec, ale nie chce cię oszukać. Tak się tu postępuje. Na pewno, jeśli zgodzisz się dać mu kartę, przekonam go, by wypisał ci rachunek, i załatwimy tę sprawę. Jeżeli stwierdzisz, że obciążono twój rachunek, prześlij do mnie wyciąg z konta, a ja się tym zajmę. Jednak zapewniam cię, że to się nie zdarzy.

– Tak się tu robi? – zapytała Lucy, otworzyła torebkę i wyjęła

kartę, o którą wybuchła awantura. – Po prostu przekazuje się duże sumy pieniędzy i zostawia na wierzchu puste kwitki kart kredytowych, nigdzie później nie rejestrowanych?

– Na pewno w Ameryce wszystko jest lepsze – mruknął Antonio, po czym wygłosił przed urzędnikiem, który skwapliwie przyjął kartę, długą tyradę, uzupełnioną, jak zauważyła Lucy, wspomnianym kilkakrotnie nazwiskiem jego rodziny. Biedny młody człowiek był tak zdenerwowany, że podając Lucy kartę i pół kartki papieru z sumą zapłaconą przez DV – z liczbą zer biegnącą przez pół szerokości strony – zapomniał poprosić ją o podpis na kwicie. Jak zauważyła, na rachunku nie umieszczono daty, jednak na dole strony wydrukowano nazwę EURAUTO. Antonio nic nie zauważył. Najbardziej na świecie chciał się stąd wydostać, więc stanął przy drzwiach jak pies czekający, by go wypuszczono.

– *Grazie* – powiedziała Lucy do urzędnika, który nadął się i odpowiedział:

– *Prego, signora.*

Załatwił sprawę tak, jak zamierzał. Lucy wepchnęła papiery do torebki i poszła za Antoniem na parking. Była ciekawa, po jakim czasie mężczyzna odkryje swoją pomyłkę.

Antonio uruchomił samochód i w milczeniu ruszyli dalej zakurzoną szosą. Panował hałas i ruch: silnik wył i skrzypiał, opony dudniły po dziurach, hamulce trzeszczały. „Powinien natychmiast je naprawić” – pomyślała Lucy, jednak wiedziała, że nie jest to chwila na dawanie porad technicznych. Kiedy dotarli do dwupasmowej szosy do Sansepolcro, samochód znów zaczął wydawać z siebie zwykły niski ryk.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała Lucy. – Nie poradziłabym sobie bez ciebie.

Uśmiechnął się, nie patrząc na nią, zajęty obserwacją drogi przed sobą. „Jest na mnie zły – pomyślała – bo zdenerwowałam się na tego urzędnika, choć on też uważa go za idiotę”. Postanowiła nie poruszać więcej tego tematu. Na pewno nie przyzna się, że nie podpisała kwitu

z karty kredytowej. Dojechali do okolicy zastawionej brzydkimi magazynami i Lucy w ponurym milczeniu zaczęła wyglądać przez okno. „I nie powiem nic przez cały obiad” – obiecała sobie. „A potem zaproponuję nowy temat do rozmowy”.

– Powiedz, Lucia – odezwał się Antonio – jak ci się podobał Rzym?

– Hałaśliwy – odrzekła.

– Nie podobała ci się wycieczka?

Zmiękła. Miała ochotę opowiedzieć mu o niej.

– Nie, przeciwnie, świetnie się bawiłam. Poszłam do muzeum w Villa Borghese, widziałam *Apolla i Dafne* – choćby dlatego było warto.

– Ach, jesteś wielbicielką Berniniego.

– O tak – odrzekła. – A ty nie?

– Oczywiście – przytaknął. – Jak każdy. On nie daje wyboru.

– Przeżyłam tam dziwne doświadczenie – ciągnęła. – Opowiedzieć ci o nim?

Kiwnął głową.

– Od lat chciałam zobaczyć tę rzeźbę. Widziałam ją jedynie na zdjęciach, a tu... Oczywiście wiesz, zdjęcia nie oddają rzeczywistości...

Antonio machnął ręką, całkowicie się z nią zgadzając. Na ułamek sekundy spojrzął na nią z ostrożnym zainteresowaniem.

– Była o wiele wspanialsza, niż ją sobie wyobrażałam. Początkowo chciałam tylko patrzeć i patrzeć, miałam wrażenie – podobnie jak większość ludzi – że ona do mnie przemawia. Do mnie samej.

Antonio uniósł brwi, lecz nie oderwał wzroku od szosy.

– Potem jednak uświadomiłam sobie, co to za zwyczajna reakcja. Jakie to nudne i próżne myśleć, że mam cokolwiek wspólnego z Berninim lub on ze mną.

Antonio znów na nią spojrzął, szczerze zaciekawiony, jakby powiedziała coś naprawdę nieoczekiwanego.

– Przecież – ciągnęła – ktoś taki jak ja, Amerykanka, nie znajęca

nawet jego języka, żyjąca w świecie... – pokazała ręką sklep ogrodniczy za oknem – gdzie ludzie budują takie rzeczy i nic nie trwa długo... – Zamilkła na chwilę. Czy tak się właśnie wtedy czuła? Trudno było sobie przypomnieć, a bardzo chciała znaleźć właściwe słowa. Antonio milczał, lecz czuła, że czeka z uwagą. – Zaczęłam więc myśleć o Berninim, o tym, jak ciężko pracował, jak robił to dla siebie, dla nikogo innego, a już z pewnością nie dla mnie, jak nie mógł przewidzieć przyszłości, ale dzięki niemu ja mogę choć trochę zajrzeć w przeszłość. Poczułam wtedy taką wdzięczność dla niego, za to tylko, że żył – tak wielką, że aż smutną. Miałam łzy w oczach.

- Płakałaś w galerii Borghese? – zapytał Antonio.
- Chwilę. Na pewno nikt nie zauważył.

Antonio jechał dalej bez słowa, a Lucy została sama ze swoimi myślami. Oczywiście nie wspomniała o swojej podatności na wszelkie wzruszenia, spowodowanej niepokojem o Massima. „Jednak to był warunek wstępny – pomyślała – który nie powinien nikogo obchodzić”. Wyjrzała przez okno, podczas gdy Antonio skręcał w szeroką, ocienioną drzewami ulicę z dwoma czy trzema rzędami zaparkowanych samochodów. Wzdłuż chodnika biegingy niewielkie sklepy i kilka barów ze stolikami wystawionymi na słońce.

– Dlaczego ludzie tak często wierzą w to, co mi opisałaś, Lucia, to znaczy, że dzieło sztuki ma im osobiście coś przekazać? – zapytał Antonio.

Lucy spojrzała na niego z uwagą. W jego głosie nie wyczuła znudzenia ani ironii. Było to pierwsze szczere pytanie, jakie jej zadał. Chciała dać mu przemyślaną odpowiedź.

– To chyba pragnienie – odparła. – Kiedy widzimy coś, co każe nam się zatrzymać... – zamilkła, gdyż nie podobało jej się nieuchronne zakończenie tej myśli – coś, co każe nam stanąć w miejscu, uświadamiamy sobie, jak krótkie i puste jest nasze życie. To trudno znieść.

Przed nimi wyrosły mury Sansepolcro. Antonio zajął się wyprzedzaniem samochodów i nie mógł jej odpowiedzieć. Ku jej zdziwieniu zlekceważył parkingi po obu stronach ulicy i pojechał wprost na

wąskie przejście w murze. Za nim ujrzeli zupełnie inny świat. Wąskie, brukowane ulice, sklepy ściśnięte po jednej stronie uliczki, tworzące jednolitą kamienną ścianę, okna czyste i błyszczące w słońcu. Antonio skręcił w boczną uliczkę, zaprojektowaną chyba jedynie dla koni. Wjechał częściowo na chodnik, wyłączył silnik.

– Jesteś bardzo głodna?

Wzruszyła ramionami.

– Trochę. Właściwie zawsze jestem głodna.

– Czy nie masz nic przeciwko temu, żebyś pokazał ci coś, zanim pójdziemy na obiad?

– Oczywiście, że nie.

– To fresk – powiedział. – Znasz prace Piera della Francesca?

Kiwnęła głową.

– Urodził się w tym mieście. – Sięgnął po marynarkę, leżącą na tylnym siedzeniu, i otworzył drzwi samochodu. – To tutaj – powiedział, wskazując na budynek naprzeciwko.

Lucy wysiadła i poszła za nim wzdłuż wysokiej, nagiej ściany – gdyż Antonio zaparkował na tyłach budynku – ku szerokim schodom i ciężkim podwójnym drzwiom frontowym. Na drzwiach wisiała tablica z napisem „Museo Civico” i godzinami otwarcia. Lucy zauważyła, że zostało im tylko pół godziny.

Kiedy Antonio kupował w kasie bilety, weszła do pierwszej sali o wysokim suficie i białych ścianach. Ciężkie drzwi o dębowych framugach otwierały się na kolejne dwa pomieszczenia. Na ścianach wisiały obrazy o tematyce religijnej, według Lucy nic niezwykłego czy ciekawego. Antonio dołączył do niej i zaprowadził do bliższych drzwi.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – powiedział – ale wystarczy, żebyś zobaczyła *Zmartwychwstanie*.

Idąc za nim przez kilka sal z obrazami, relikwiarzami, freskami tak uszkodzonymi przez czas, że ledwo można było domyślić się, co przedstawiają, Lucy przebiegała w myśli listę znanych przedstawień zmartwychwstania. Nie było ich tak wiele, jak obrazów zwiastowania,

ale też nie potrafiła przypomnieć sobie żadnego szczególnego dzieła.

– Jesteśmy – powiedział Antonio, stając w drzwiach kolejnej sali. Lucy podeszła do niego, starając się utrzymać wyraz zainteresowania na twarzy, choć bała się, że obraz ją rozczaruje. Znaleźli się w małej, okrągłej sali, rodzaju kaplicy, gdzie sklepienie spadało wolutami na ściany jak biały spadochron układający się na terakotowej podłodze. Lucy podeszła za Antoniem do drewnianej ławki stojącej naprzeciwko niszy, w której scena zmartwychwstania płonęła niesamowitym, niezmiernym światłem, jak okno otwarte na inny świat. Antonio usiadł na ławce, a ona podeszła do fresku.

Postać Chrystusa wydawała się wychodzić jej na spotkanie. Był jednocześnie nieporuszony i w ruchu, z jedną stopą na krawędzi marmurowego grobu, jedną dłonią trzymającą drzewce prostej cho-
rągwi. Za chwilę wyjdzie z grobu, wejdzie pomiędzy czterech żołnierzy śpiących u jego stóp i zadziwi świat. Miał na sobie jedynie niemal przezroczyste, leciutko różowe prześcieradło luźno owinięte wokół bioder, z jednym końcem przewieszonym przez ramię na kształt togi. Zwracała uwagę Jego zaskakująco blada skóra. Był szczupły, lecz silny i umięśniony, a biceps uniesionego ramienia rzucał cień na jego dolną krzywiznę. Miał przeciętne rysy, krótką brodę, jednak wyraz twarzy tak niezwykle, oddający tyle emocji – wstrząs, gniew, krańcowe zmęczenie, determinację, że Lucy poczuła, iż mogłaby odczytać całą historię Jego przebudzenia w przerażającym ciemnym grobowcu, odsunięcie kamienia, zebranie całunu, przypomnienie sobie, kim jest, skąd się tu wziął, kto Go zdradził i co musi teraz zrobić. Kiedy wstał, zobaczył zapewne śpiących przy grobie strażników. Był wczesny ranek, świt dopiero, a chociaż dwóch strażników oparło głowy o kamień grobu, spali twardo i nic nie słyszeli. Będzie musiał ich obudzić, by móc przejść. Stanął więc, oparł przebitą dłoń o podniesione kolano, by znów spojrzeć na świat, który tak kochał. Za Nim widniały niskie wzgórza, szare drzewa dopiero wracające do życia po długiej zimie, wąska linia chmur płynących po niebie koloru jajek rudzika – cała natura spokojna i uciszona. Jedynie

On czuł, jedynie On wiedział, że dotrzymał słowa i powrócił.

Przez kilka minut Lucy stała jak wmurowana przed malowidłem. Podwójna perspektywa była jednocześnie nierealna i magiczna, gdyż strażników ukazano w skrócie z dołu, Chrystusa zaś – dokładnie przodem do widza. Kolory również jakby żywcem wzięto z legendy: głęboki, niebieskozielony, jak stary brąz, powtórzony w pończochach i hełmach strażników, tarcza i kapelusz koloru sieni palonej. Nie wykorzystano tam zbyt wielu barw, jednak jedną położono obok drugiej z pełną miłości precyzją. Kompozycja kierowała spojrzenie na scenę rozgrywającą się wewnątrz namalowanych marmurowych kolumn tworzących dla niej ramę; nie było od niej ucieczki, całkowicie pochłaniała uwagę. Wystarczyło stać i patrzeć, by czuć się zajęтым.

W końcu odwróciła się i dołączyła do Antonia na ławce.

– Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś – powiedziała.

Kiwnął głową, z rozmarzonym spojrzeniem utkwionym we fresku.

– Wygląda na zaskoczonego, jakby dopiero co się obudził – odezwała się.

– Był w piekle – odrzekł Antonio.

Spojrzała na obraz.

– W piekle?

– Po śmierci poszedł do piekła, by uwolnić dusze tych, którzy nie mogli Go poznać.

– Oczywiście – przytaknęła. – Zapomniałam. Zstąpienie do piekła.

Antonio wydawał się zdziwiony.

– Tak się na to mówi – wyjaśniła. – W poezji. Dobra nazwa, prawda?

– Owszem – przytaknął.

Siedzieli razem w milczeniu przez kilka minut, przyglądając się obrazowi.

– W młodości doświadczałem przed tym malowidłem uczucia podobnego do tego, które opisywałaś – odezwał się Antonio. –

Wierzyłem, że artysta mówi specjalnie do mnie.

Lucy spojrzała na niego z ciekawością. Miał powiedzieć coś osobistego, nie przychodziło mu to łatwo. Nie odezwała się, pozwalając mu zebrać myśli.

– Dla mnie nie istniała bariera języka – ciągnął. – Może lepiej, gdyby tak było. Wydawało mi się, że między mną a nim nie ma nic. Pochodzimy z tego samego miasta, zostałem tu ochrzczony, zapewne w tym samym kościele co on, byłem na tyle młody, by wierzyć, że dzielące nas stulecia nie są wielką przeszkodą. Początkowo zainteresowałem się jego życiem – nie zajęło mi to wiele czasu, gdyż bardzo niewiele o nim wiemy. Jeździłem, by obejrzeć wszystkie jego dzieła, do których mogłem dotrzeć. Nie ma ich dużo, a to, co zostało, często jest mocno uszkodzone. Wiele z jego fresków zniszczono. Pozostały jedynie relacje tych, którzy je widzieli.

– Jaka szkoda – powiedziała Lucy.

– Owszem. To bardzo smutne. Wywarł największy wpływ na sztukę, ale żył jak wielu innych – podróżował z miasta do miasta w poszukiwaniu zleceń. W końcu przestał malować. Wzrok mu się pogarszał... przed śmiercią oślepl.

Lucy spojrzała znów na zaskoczone, ciemne oczy Chrystusa. Czy oślepił je blask dnia? Czy dlatego wyglądał na tak bezbronny?

– Potem sam zacząłem malować – kontynuował. – Założyłem w domu pracownię. Moja rodzina popierała te ambicje, brałem lekcje u różnych nauczycieli... Studiowałem również matematykę, ponieważ on ją studiował. – Antonio podniósł brodę, wskazując na malowidło, jakby stał przed nim sam artysta. – Napisał o niej długi, bardzo nudny traktat, który przeczytałem.

Zamilkł znów. Jeszcze nie skończył, ale szukał najlepszych słów. „Teraz będzie najgorsze” – pomyślała Lucy. Zdradzały to zaciśnięta szczęka i nieobecne spojrzenie.

– Przychodziłem tu często, by popatrzeć na ten obraz. Zawsze dostarczał mi inspiracji, lecz zacząłem tracić poczucie, że do mnie mówi. Nie, nieprawda. Wciąż do mnie mówił, lecz teraz wrogo. –

Uśmiechnął się na te słowa. Lucy pomyślała, że był to bardzo łagodny sposób wyrażenia prawdy. – To trwało kilka lat. Moje wysiłki były ogromne, zamiary... szlachetne. Nauczyciele mnie zachęcali. W końcu powiedzieli, że nie nauczą mnie niczego więcej. Namalowałem wiele obrazów, lecz żaden mnie nie zadowolił. Były sprawne, ci, co się nie znali, chwalili je. Jednak brakowało w nich życia. Wszystko, co do mnie dotarło, było już martwe. – Z ponurą miną spojrzął na swoje ręce, jakby to one odpowiadały za tę porażkę. Potem popatrzył na obraz. – Tak martwe – powiedział – jak na pewno żywy jest ten martwy mężczyzna.

Zamilkł, a Lucy zastanawiała się nad tym, do kogo odnosiły się jego słowa – do postaci zmartwychwstałego Chrystusa czy artysty, który Go stworzył? Antonio siedział zgarbiony obok niej, z rękami opuszczonymi między kolanami.

– Porzuciłeś więc malowanie? – zapytała.

– Tak, rzuciłem je. Wszystkie obrazy schowałem. Nie przychodzę tu zbyt często. Ten fresk jest dla mnie wyrzutem. Jednak po tym, co mi powiedziałaś, Lucia, uznałem, że jesteś mądrzejsza ode mnie, i wiedziałem, że docenisz wielkie malarstwo, nie niszcząc sobie życia.

Lucy roześmiała się.

– Doceniam je naprawdę – powiedziała. – Ale to nie dzięki mądrości jestem bezpieczna. Nie umiałabym narysować nawet pudełka.

Skwitował to stwierdzenie kiwnięciem głowy i zwykłym wyrazem znudzonej rezygnacji.

– Chodźmy teraz coś zjeść – zaproponował. – W pobliżu znajduje się restauracja.

Na zewnątrz był ciepły i słoneczny dzień, a ulice zatłoczone kupującymi z paczkami – zbliżała się godzina zamknięcia sklepów. Lucy szła obok Antonia, ciesząc się zarówno scenerią, jak i tym, że mogła swobodnie spacerować. Jej kostka przetrwała zdradliwe pułapki rzymskich ulic i najwyraźniej nawet się na nich wzmocniła. Antonio szedł bardzo powoli, więc nie musiała się obawiać potknięcia lub zostania z tyłu. Jego wyznanie zaskoczyło ją i sprawiło jej przy-

jemność; widziała go teraz w innym świetle.

Jego pociąg do Catherine okazał się czymś o wiele bardziej skomplikowanym i niematerialnym niż czysta żądza, jaką sobie wyobraziła. „Może – zastanawiała się – rzeczywiście był tylko jej patronem i niczym więcej”. Skarciła się za swoją małoduszność. Przypuszczała, że jedynym powodem, dla którego bogaty mężczyzna inwestuje pieniądze w piękną kobietę, jest prymitywna chęć posiadania. Nie, Antonio rozpoznał w Catherine ten sam ogień, który pielęgnował w sobie tak pilnie i z nadzieją. Widział, jak układają się jej stosunki z DV, jak nie był on zdolny dać Catherine jedynej potrzebnej jej rzeczy – wolności. Wkroczył więc, kiedy dostrzegł sposobność. Nie był artystą, lecz służył przy ołtarzu sztuki, uczestniczył w świętych obrzędach i widział w Catherine współwyznawczynię, która przy odrobinie szczęścia mogła wejść do rodziny świętych.

Z tych górnołotnych rozważań ściągnęło ją na ziemię wejście do wybranej przez Antonia *trattorii*. Wkroczyli do prostego pomieszczenia z odsłoniętymi belkami sufitu, kamienną posadzką i dobrymi lnianymi serwetami na rozrzuconych wewnątrz stołach. Antonio był tu najwyraźniej dobrze znany i szanowany, gdyż ledwie usiedli, a już podeszło do nich dwóch kelnerów i sam szef kuchni, by omówić szczegóły posiłku. Usłyszeli, że gościem Antonia jest Amerykanka wracająca nazajutrz do kraju, i zdecydowali, iż nie może wyjechać, nie spróbowałaś przedtem prawdziwej toskańskiej kuchni. Lucy wyraziła chęć zjedzenia wszystkiego, co przed nią postawią, i niemal natychmiast rozpoczęło się wnoszenie dań. Antonio próbował, chwalił, lecz, jak zauważyła, sam jadł tylko przepiórki. „Żywi się ptaszkami” – pomyślała, wbijając widelec w kielbaskę na półmisku z wędlinami. Wino było miejscowe, krwistoczerwone, i Antonio usilnie namawiał Lucy do picia, napełniając jej kieliszek dwa razy częściej niż własny. „To nie ma znaczenia” – pomyślała. „Odepię po powrocie. Na Brooklynie wino nie leje się strumieniami”.

Rozmowa toczyła się niespiesznie, przerywana przez pełnych en-

tuzjazzmu kelnerów i okrzyki zachwyty Lucy po każdym nowym daniu. Zauważyła, że w tym otoczeniu Antonio czuł się swobodniej niż we własnym domu. Zdobył się nawet na sarkastyczny humor, choć nikt nie nazwałby go wesołym. Rozmawiali o jedzeniu, mieście, jej planach powrotu do Stanów, wspaniałej pogodzie. W końcu wyniesiono talerze i podano dwie filiżanki czarnej espresso, oraz – na życzenie Lucy – dzbanuszek gorącego mleka, a także dwa wąskie kieliszki z różowym truskawkowym winem produkowanym, jak wyznał kelner, przez jego rodzinę i nie przeznaczonym na sprzedaż.

Rozmawiali znów o Rzymie. Lucy nie była pewna, które z nich wróciło do tego tematu. Uważała, by nie wspominać Massima, ale to staranne omijanie jego imienia zaciążyło nad rozmową jak cień. Antonio wyraził żal, że nie udało jej się zobaczyć więcej dzieł sztuki, a Lucy nie chciała tłumaczyć się, że stało się tak częściowo z powodu spędzania tak długiego czasu w łóżku z Massimem.

– Staralam się – odpowiedziała – ale wszystko zamykano akurat w chwili, kiedy docierałam na miejsce.

– Poza tym miałaś przecież sprawy do załatwienia.

– Racja – przytaknęła, wpatrując się w filiżankę, by nie zobaczyć poczucia winy na jej twarzy. Zauważył je. Specjalnie podsunął jej wymówkę, o której nieprawdziwości oboje wiedzieli, aby z przyjemnością ujrzeć jej zmieszanie. Uznała zatem, że może pozwolić sobie na poruszenie tematu równie niewygodnego dla Antonia.

– Widziałam się z Catherine Bultman – powiedziała.

– O – odparł. – Zatem znalazłaś jej galerię?

– Znalazłam. Odbyłam z nią dwie długie rozmowy. Wstrząsnęła nią wiadomość o śmierci DV.

Antonio podniósł filiżankę do ust i wypił jej zawartość jednym haustem, jakby w desperacji, jak człowiek przełykający truciznę. Potem oparł podbródek na dłoni i spojrzał na Lucy uważnie, badawczo, ale nie wrogo.

– Bez wątpienia – powiedział – w tych rozmowach wspomniała ci o... – słowo, jakiego miał użyć, wydawało się go ranić – ...o swych

powiązaniach z moją rodziną.

– Właściwie nie – odparła Lucy. – Była bardzo dyskretna. Ale odgadłam co nieco. Po tym, co mi dzisiaj powiedziałeś, chyba rozumiem.

– Nie można tego zrozumieć – westchnął. – Nie ma na to wytłumaczenia. Ale pokażę ci coś, co może nieco wyjaśni tę sytuację. – Z kieszeni marynarki wyjął stary skórzany portfel, a z niego – małą wyblakłą fotografię i podał ją jej przez stół.

Kobieta na zdjęciu opierała się o kamienny łuk, w którym Lucy rozpoznała element willi Cinich. Uśmiechała się, a jej oczy lśniły pewnością siebie i radością. Jasne włosy spięte na karku były tak gęste i kręcone, że kilka kosmyków wysunęło się i utworzyło jasną otoczkę wokół twarzy. Miała orli nos, silną szczękę sugerującą upór i duże, białe, równe zęby odsłonięte w szerokim uśmiechu, nadające jej wygląd gwałtowny i bezwzględny. Przywodziła na myśl kota, jednocześnie pełnego wdzięku i niebezpiecznego. Nosiła marynarkę z grubo wywatowanymi ramionami, obszytą ciemną taśmą przy mankietach i kołnierzu, zwężaną w talii i poszerzaną w biodrach – w stylu lat czterdziestych.

– Przypomina Catherine – powiedziała Lucy.

– Tak mówią – przytaknął Antonio, biorąc zdjęcie i wkładając je z powrotem do portfela. – Ja tego nie widzę. Ale moja matka umarła, kiedy byłem bardzo mały. Miała na imię Elena. Nie pamiętam jej. Od tych, którzy ją znali, słyszałem, że podobieństwo jest uderzające, nie tylko w wyglądzie, ale i w głosie, nawet gestach. Ja w to nie wierzę.

– Jak zmarła?

– Zginęła w wypadku samochodowym. Bardzo nieostrożnie prowadziła.

Lucy ze współczuciem pokiwała głową. Czy przedwczesna śmierć matki wyjaśniała denerwującą bojaźliwość syna za kierownicą? Nalała sobie do kawy pół dzbanka mleka i upiła łyk. Antonio patrzył na nią z dłońmi skrzyżowanymi na kolanach. Wyglądał inaczej. Znikł jego wyraz zwykłego znudzenia i wyższości; teraz zauważyła w jego

oczach niemal żal. Czy myślał o zmarłej matce, czy o Catherine? Spotkanie kobiety, jednocześnie będącej artystką, o czym on sam mógł tylko marzyć, oraz wcieleniem ukochanej, utraconej matki, musiało być dla niego wstrząsające. „Nie” – zdecydowała Lucy. „Nie jest tylko mecenasem Catherine. Jest człowiekiem opętanym obsesją, jakżeby inaczej?” Przypomniała sobie pełne pasji zwroty z listu: „*Carissima, amatissima*” – i poczuła litość.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyznała. – Widziałam list, który wysłałeś do Catherine. Przeglądając rzeczy DV, znalazłam go w szufladzie. Catherine musiała go tam zostawić. – Przyszła jej do głowy jeszcze inna możliwość. – Albo zabrał go DV i ukrył przed nią.

Antonio przetarł oczy z wyrazem, jak pomyślała Lucy, zaskoczenia i zdziwienia.

– O jakim liście mówisz?

Zamilkła na chwilę. Przecież nie zaprzeczy, że jest związany z Catherine po tym, jak odkrył przed nią dwa silne powody, dla których tak całkowicie się jej poddał: miłość do sztuki i podobieństwo Catherine do jego matki.

– Nie czytałam go – powiedziała pośpiesznie. – Nie mogłam. Widziałam tylko, że to list miłosny, a podpis brzmiał „Antonio”.

Zakrył usta dłonią i mrugając, patrzył na nią, starając się to zrozumieć, jak człowiek obudzony z głębokiego snu. Potem stopniowo coś zaczęło do niego docierać.

– *Dio* – powiedział cicho. – Więc ty myślisz... – Cokolwiek sobie uzmysłowił, musiało go niezwykle rozśmieszyć. Przedtem nie widziała go roześmianego. Nie był to przyjemny widok. Jego usta rozciągnęły się szeroko w grymasie raczej bólu niż radości, a ciemne oczy ponad szeroko otwartymi ustami wypełniła dzika, niezwykła jak na niego wesołość.

– Oj, Lucia – powiedział, przecierając swą długą twarz dłonią, jakby chciał rozluźnić zaciśniętą szczękę. – Co ty musisz o mnie myśleć?

– Chyba rozumiem – odparła obronnie Lucy. – Chyba wiem,

dlaczego...

– Nie, nie – przerwał jej. – Proszę, przestań, bo umrę ze śmiechu.

Lucy bezradnie rozejrzała się po restauracji. Było pustawo, nikt nie zauważył, że wzbudziła taką wesołość swego towarzysza. Kiedy wróciła spojrzeniem do stolika, Antonio już się uspokoił.

Patrzył nawet na nią z czymś w rodzaju sympatii.

– Lucia – odezwał się – proszę, wybac. Muszę ci wyjaśnić, bo znów padłaś ofiarą wielkiego nieporozumienia.

– Nie rozumiem – odparła.

– Zrozumiesz, jak tylko przypomnę ci o jednym małym szczególe. Zapewne o nim zapomniałaś.

– O czym? – zapytała ostrożnie, gdyż jego pełna wyższości wesołość zaczęła ją drażnić.

– Widzisz, Lucia, nie ja jedyny w mojej rodzinie noszę imię Antonio.

Spojrzała na niego badawczo; starając się przetrwać tę oczywistą wskazówkę, lecz nie mogła doszukać się w niej sensu.

– Noszę imię po ojcu – wyjaśnił Antonio. – On ma na imię Giuseppe, lecz w czasie wojny, w partyzantce, używał imienia Antonio. Nadal go używa w rodzinie i między przyjaciółmi, którzy znają go z tamtych czasów.

Lucy przypomniała sobie wyrazisty podpis pod listem. „*Ti abbraccio, Antonio*”.

– Twój ojciec? – zapytała, a wszystkie elementy łamigłówek wskoczyły na swoje miejsce. – To twój ojciec napisał ten list?

– Obawiam się, że tak, choć oczywiście aż do teraz nic o tym nie wiedziałem.

– I do twojego ojca należy galeria Catherine, on ją finansuje?

– Niestety, o tym wiem aż za dobrze.

– I on ukradł Catherine DV?

– To akurat nie okazało się zbyt trudne – zauważył Antonio, broniąc ojca. – Od samego przyjazdu wiadomo było, że nie zamierza być z nim zbyt długo. Tylko raz zaprosiliśmy ich na kolację, kłócili się

cały wieczór. Uznałem ją za pretensjonalną, niewychowaną i bardzo zarozumiałą, lecz oczarowała ojca! Catherine nie interesowała się mną nawet przez chwilę. Widzisz, ja nie mam pieniędzy, nie podziwiam także jej obrazów.

– Uważam ją za dobrą malarzkę – odparła Lucy.

– Proszę, Lucia. – Podniósł dłoń i cofnął głowę, jakby poczuł nieprzyjemny zapach. – Maluje tak, jak ją nauczono. Jej nauczyciele może i byli utalentowani, ale ona tylko ich naśladowe.

– Czy twój ojciec ceni jej malarstwo?

– Mój ojciec jest głupcem – zawołał. – Nie chciałbym w to wierzyć, ale nie dał mi wyboru. Jednak na temat jej malarstwa nie ma zdania.

– Rozumiem – powiedziała Lucy. Skończyła kawę z nadzieją, że splucze nią ostatki swego zmieszania. Antonio miał rację: malarstwo Catherine cechowała sztuczność, akademizm. Jej obrazy były poprawne warsztatowo, nawet bardzo zręczne. Lucy dała się przekonać o ich wartości i oryginalności przez samą Catherine, a nie przez to, co widziała na płótnie. Antonio przerwał jej rozmyślania.

– Słuchaj, Lucia – powiedział. – Czy naprawdę wyobrażałaś sobie, że wysłałem miłosny list do tej kobiety? – Wydawał się poważny, nieco oschły, ale jednak nie oburzony jej pomysłem.

– Muszę przyznać – odparła – że to było mi najtrudniej sobie wyobrazić. Ale co innego mogłabym myśleć?

– A w rozmowie nie powiedziała nic, co mogłoby cię wprowadzić z błędu?

– Nie. Zachowywała się tak, jakby była zupełnie niezależna. Uwierzyłam, że galeria należy do niej. Jednak Massimo domyślił się, ponieważ zobaczył wasze nazwisko na czeku.

Na tę wiadomość dobry humor Antonia zniknął i powróciło zwykłe zniecierpliwienie. Odsunął filiżankę na bok, jakby i ona go drażniła.

– Oczywiście, signor Compitelli. Czy on również interesował się moją rodziną?

– Przepraszam – powiedziała Lucy. – Nie chciał tego robić, to ja go w to wciągnęłam. Powiedział mi, że uważa to za niewłaściwe.

– Ciekawe, skąd o tym wiedział. – Spojrzał na nią z chłodną arogancją, której nie mogła wytrzymać. Spuściła wzrok, wpatrując się w obrus, we wzór przedstawiający łabędzie płynące spokojnie pod puszystymi obłokami.

– Proszę, nie mów o nim nic złego.

– Z tego, co wiem, nie ma nic złego do powiedzenia – odparł. – On nic nie znaczy, jest *noioso*, przedstawicielem pewnego typu. To chyba właściwe stwierdzenie.

Lucy nadal wpatrywała się w łabędzie. Była świadoma ogarniającej ją gwałtownej chęci mówienia o Massimie, choćby po to, by usłyszeć jego imię, by przywołać go na kilka chwil, z kimś, kto go widział. To może być ostatnia okazja. Jednak powstrzymywała ją wyraźna dezaprobata Antonia. Już pozbawił ją kilku złudzeń – prawdziwego i okropnego powodu śmierci DV, motywów postępowania i zdolności Catherine, własnego z nią związku – i Lucy chciała, nawet bardzo chciała, usłyszeć jego kolejne cenne spostrzeżenia. Był czujny i spostrzegawczy – teraz to widziała – nic mu nie uciekało. Jego zdanie na temat Massima mogło być naprawdę wiarygodne.

„Ale Massimo wyjechał” – pomyślała. „Nie muszę niczego się o nim dowiadywać. Czy nie lepiej owinąć jego wspomnienie w srebrną nic i nie mącić go sceptycznymi uwagami osoby z zewnątrz?” W zamyśleniu przesunęła palcem po wdzięcznym zgięciu szyi łabędzia.

– Co to za typ? – odezwała się w końcu.

– Człowiek bez majątku i bez wychowania.

– Pochodzi z bardzo starej rodziny – zaprotestowała Lucy. – Mieszkającej w Rzymie od tysiąca lat.

– Tak ci powiedział. – Nie odpowiedziała, gdyż najwyraźniej nie było to pytanie. Popatrzyła na niego uważnie, Antonio wzruszył ramionami. – Cóż, może to i prawda. Rodzina jego kuzyna jest naprawdę bardzo stara.

– Znasz jego kuzyna?

– Znam rodzinę – odparł. – Tacchino. Mieli dom niedaleko stąd, obok supermarketu w Granagno. Jak skwapliwie poinformował nas signor Compitelli, już nie są w stanie utrzymać posiadłości. Sprzedali gospodarstwo i większość winnic. Twój przyjaciel włączył się w nieprzyjemną sprawę sądową przeciwko kuzynowi. Ma nadzieję na zyski ze sprzedaży ziemi, jednocześnie zachęca kuzyna, by nie sprzedawał domu, bo lubi się tam zatrzymywać. Oczywiście nie ma tam żadnych praw. Kuzyn go toleruje, gdyż ich ojcowie byli sobie bardzo bliscy i ponieważ signor Compitelli jest tak zakochany w domu... marzy o pięknej willi, choć nie ma nadziei na kupno chociażby własnego apartamentu.

Lucy popijała słodkie wino, zastanawiając się nad nową charakterystyką Massima – ubogi krewny, biedny z domu, lecz dumny ze swojej krwi. Otworzył książeczkę czekową Catherine, gdyż chciał sprawdzić, ile posiada; było to zupełnie prawdopodobne. „Jego wielkie marzenie” – pomyślała.

– Nie podoba mi się, że ktoś taki cię unieszczęśliwił – powiedział Antonio.

Lucy w końcu podniosła wzrok. Patrzył na nią łagodnie, ze współczującym zainteresowaniem.

– To moja własna głupota – odparła. – Wiedziałam, co robię. I nie jestem nieszczęśliwa.

– Jesteś nadzwyczajna, Lucia! – zawołał. – Pomyślałem tak już za pierwszym razem, kiedy cię zobaczyłem, na pogrzebie twojego przyjaciela. Byłaś taka spokojna i zrównoważona. Mówiłaś mi o świętej Łucji, pamiętasz? Za każdym razem, gdy się widzimy, mówisz coś, co mnie zaskakuje. Dzisiaj, kiedy opowiedziałaś mi o swych odczuciach przy oglądaniu Berniniego w Rzymie, pomyślałem: ona mówi o moich własnych cierpieniach i pokazuje, jak je znieść.

Lucy z otwartymi ustami słuchała tej nieoczekiwanej pochwały.

– Myślałam, że mną gardzisz – powiedziała.

– Nie, absolutnie – zapewnił. – Po prostu tak rzadko spotykam kogoś, kogo podziwiam, że wprawia mnie to w zakłopotanie i nie

umiem okazać swoich uczuć. Dlatego mam niewielu przyjaciół. Jednak byłbym szczęśliwy, gdybyś znalazła się wśród nich, Lucia. Byłby to dla mnie zaszczyt.

„Jaka to ironia – pomyślała Lucy – że jedyny przyjaciel, jakiego zdobyłam w czasie tego pobytu, to ten brzydki mężczyzna z podupa-
dłej rodziny, o nie spełnionych ambicjach i ze zrujnowanym życiem”.
Od początku był jej przyjacielem, cały czas trzymając się na uboczu i
życząc jej dobrze. Teraz patrzył na nią z nadzieją, czekając na odpo-
wiedź na swoją skromną prośbę.

– Dla mnie również – powiedziała – będzie to zaszczyt.

ROZDZIAŁ 22

Wieczór był jasny i spokojny. Po kolacji przyniesionej przez
signore Panatellę, bardzo podobnej do pierwszego posiłku – zimne
mięso, ser, szpinak, chleb i owoce – Lucy wzięła karafkę wina i
kieliszek i poszła na taras. Siedziała tam, słuchając śpiewu nocnych
ptaków i patrząc na coraz jaśniejsze gwiazdy na ciemniejącym niebie.
Samotność i cisza nie przeszkadzały jej, gdyż od przyjazdu do Włoch
nie miała ich zbyt wiele i teraz ucieszyła się z tej okazji do refleksji.
Oderwane wrażenia, strzępki rozmów, na pół sformułowane wnioski z
obserwacji i opinie przebiegały jej przez głowę, Czuła się spokojna i
zadomowiona. Odzyskała pewność siebie, miała teraz jeszcze sil-
niejszą świadomość przyjemności, jaką sprawiało jej własne towa-
rzystwo. Usiadła wygodnie w żelaznym krześle i bez pośpiechu
popijała wino. „Co za spokojne, ciche miejsce” – pomyślała. Usły-
szała sceptyczną odpowiedź Massima: „Spokojne? Spokojny jest
grób”. Jak zauważyła, zapamiętała jego głos z zadziwiającą dokła-
dnością; wysokość, ton, intonacja – wszystko zapadło jej w pamięć i
pojawiało się w myślach nawet bez przywoływania. On zaś, uznała, w
żadnej rozmowie w przyszłości – co prawda było to raczej niepraw-
dopodobne, by do takiej rozmowy doszło – nie przywoła jej głosu, jej

opinii. Rozróżnianie i rejestrowanie głosów innych wymaga żywej ciekawości, której jemu brakowało. Wiedziała, że prawie jej nie słuchał.

Może kiedyś będzie patrzyła na ten krótki romans jak na czarujące interludium, jednak teraz boleśnie uświadamiała sobie całe rozczarowanie, jakim się okazał. Nie mogła – i nie zrobiłaby tego – uznać go za wielką namiętność, ale i nie będzie go lekceważyć. Chciała ocenić go sprawiedliwie. Massimo się nie zmienił, ale ona tak; w tym wyznaniu kryło się upokorzenie. Wiedziała teraz więcej o sobie, ale nie podobało jej się to, co wiedziała.

Wykazała się absolutną nieznajomością charakterów – tyle na pewno. Właściwie wszystko odebrała na opak. Antonio Cini nie kłamał, Massimo owszem. Catherine Bultman nie była artystką walczącą o zachowanie swojej osobowości, lecz egocentryczną oportunistką. DV nie padł ofiarą czegokolwiek innego niż własne pijaństwo i beznadziejne zaślepienie.

A Lucy Stark nie była praktyczną kobietą z zasadami, zadowolającą się pobłażliwym obserwowaniem szaleństw innych ludzi, lecz głupią, naiwną osobą, łatwym łupem swych tęsknot i pragnień, gotową usprawdziwić swoje impulsywne zachowanie wyższością uczuć nad rozumem – jak każdy. Jak zauważył Massimo, naprawdę niewiele wiedziała o tym, co leży w jej naturze. Teraz dowiedziała się więcej. Siedziała pod gwiazdami w piękną noc, w romantycznym otoczeniu, usiłując dojść do ładu z samą sobą, z nowym obrazem siebie. On bowiem – oprócz innych, niespodziewanych rodzajów swobody – pozwolił jej przyznać się, że nadal tęskni za objęciami mężczyzny, którego naprawdę nieszczególnie lubiła. Taka wiedza prowadzi do cynizmu. Lucy dostrzegła to niebezpieczeństwo i postanowiła mu się nie poddać. Wiedziała, że kiedy sami sobie wydajemy się mali, bardzo łatwo jest uznać resztę świata za jeszcze mniejszą.

Siedziała długo w nocy, pogrążona w trudnym zadaniu obserwacji siebie. Kiedy w końcu wzięła kieliszek i pustą butelkę, była wyczer-

pana wysiłkiem, ale osiągnęła spokój. Umyła naczynia i z wdzięcznością padła na wąskie łóżko.

Jednak spała źle. Budziła się, zdezorientowana i niespokojna, ze wspomnieniami strzępków rozmów, mając wrażenie, że mówiła w ciemność pokoju – lub ktoś mówił do niej. Ledwo zapadła w głęboki i spokojny sen, kiedy obudził ją dźwięk samochodu na podjeździe. „Firma przewozowa” – pomyślała, choć spojrzenie na zegarek upewniło ją, że jest o wiele za wcześnie – mieli przyjechać około południa. Włożyła dzinsy i koszulkę, ręką przeczesła włosy i pobiegła do drzwi na tarasie. Tam natknęła się na signore Panatellę, w przekrzywionym fartuchu, ze śladami mąki na włosach i rękach, która w wielkim pośpiechu podała jej zapakowaną w brązowy papier paczkę.

– *Buon giorno, signora* – powiedziała Lucy, biorąc paczkę.

Signora Panatella zatrzymała się na chwilę, mruknęła: *Buon giorno* i znikła na dole. „Niechętny posłaniec” – pomyślała Lucy.

– *Grazie, signora!* – zawołała za nią. – *Grazie tante e arriverderla!*

Nie otrzymała odpowiedzi. „Nigdy mnie nie lubiła” – pomyślała Lucy, wracając do kuchni. Sennie obejrzała paczkę. Niebyło na niej adresata, jedynie imię „Lucia” napisane na papierze niezwykle, fioletowym atramentem.

– Antonio – powiedziała. – Czyżby pożegnalny podarunek?

Poszła do blatu, nożem przecięła sznurek, rozdzierając papier, i usiadła przy stole. Wewnątrz znalazła ręcznie napisany list i maszynopis liczący około stu stron. Rozpoznała czcionkę – stary Royal. „To jest to” – pomyślała. Zakończenie książki o duchu. Strony były niezwykle czyste jak na DV, nieliczne błędy literowe starannie poprawiono niebieskim długopisem. Wzięła do ręki list i przeczytała:

Cara Lucia,
mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż nie oddałem Ci go wcześniej –
jak również to, iż przekazałem Ci pewne nieprawdziwe informacje co

do tego, co się tu wydarzyło przed Twoim przyjazdem.

Kiedy signor Vandam zginął, poszedłem do jego domu, by pomóc signorze Panatelli poszukać nazwiska kogoś, kogo należy zawiadomić w Stanach. Znalazłem ten tekst na biurku. Zapewne Twój przyjaciel pracował nad nim przed śmiercią. Spojrzałem na niego przelotnie, ale potem uświadomiłem sobie, że dotyczy mojej rodziny. Signor Vandam nie zadał sobie nawet trudu zmienienia nazwiska. Od razu zabrałem tekst.

Gdy przyszłaś do nas pierwszego wieczoru, mówiłaś o nie skończonej powieści. Myślałem, że chodzi Ci o to, ale kiedy ją opisałaś, wiedziałem, że nie. Szukałaś powieści o duchu; to zaś, jak się przekonasz, jest opowiadanie wojenne.

Nie lubiłem Twego przyjaciela, Lucia, ale widywałem go częściej, niż dałem Ci do zrozumienia. Po wyjeździe Catheriny zaczął sprawiać tu kłopoty. Rano często chodził na dalekie spacery do miasta. By zabić czas i nie tracić go z oka, kilka razy dołączyłem do niego. Od początku bardzo interesował się historią śmierci mojego wuja, a potem wszelkimi wojennymi opowieściami z sąsiedztwa. Znam ich bardzo dużo. Moja babcia zawsze lubiła wspominać te czasy, jednak tylko pod nieobecność mojego ojca, który nie może o nich słuchać. Pomyślałem, że Twój przyjaciel powinien dowiedzieć się czegoś o tej okolicy. Wiedziałem, że jest pisarzem, ale nie przyszło mi do głowy, że jego zainteresowanie, często bardzo żywe, wypływa z chęci wykorzystania tych opowieści – często powtarzania moich słów – do własnych celów.

Wieczorami wiele pił – zbyt wiele, a potem stawał się nieprzyjemny, wpadał we wściekłość i zaczynał się nad sobą użalać. Sam siebie nie znał. W takich chwilach był przekonany, że moja rodzina spiskuje przeciwko niemu. Więcej niż raz budziły mnie jego krzyki pod domem – żądał, by mój ojciec zszedł na dół i stawiał mu czoło. Następnego dnia, kiedy wytrzeźwiał, wydawał się nie pamiętać o swoim zachowaniu.

Często zachęcałem go do powrotu do kraju. Wówczas powtarzał, że nie wyjedzie, póki nie przekona Catheriny, by wróciła. Któregoś

dnia wydobył ode mnie jej adres, a już dzień później wziął samochód i pojechał do Rzymu. Jednak nie mógł znaleźć drogi i wieczorem bardzo zniechęcony wrócił. Odtąd nigdzie nie jeździł samochodem.

Oczywiście wolałbym, by opowiadania nie zostały opublikowane, lecz po naszym dzisiejszym rozstaniu wiedziałem, że dla spokoju sumienia muszę je oddać i zaufać Ci. Mówiłaś, że książki signora Vandama są słabe i pełne opisów jego samego. Oczywiście nie znam się na tym, jednak ten tekst wydaje mi się niezły.

Jest melodramatyczny, ale nie kłamliwy, a signor Vandam w nim nie występuje.

Cara Lucia, tak bardzo chciałbym, żebyś została dłużej i żebyśmy mogli spędzić znów równie wspaniałe popołudnie jak dzisiejsze. Cały wieczór wspominałem nasze rozmowy. Poproszę signore Panatellę, by zaniósła Ci tę paczkę i list. Mam nadzieję, że napiszesz, i przy następnej okazji, kiedy przyjedziesz, zatrzymasz się u mnie. Jest tyle obrazów i miejsc, które chciałbym Ci pokazać. Tymczasem życzę Ci szczęśliwej podróży.

Przesyłam Ci najserdeczniejsze pozdrowienia,

Twój przyjaciel

Antonio Cini

Lucy odłożyła list i spojrzała na pierwszą stronę maszynopisu. „Nie znał samego siebie” – pomyślała. Antonio bardzo trafnie to ujął. Wyobraziła sobie Antonia i DV idących razem zakurzoną drogą do Ugolino. Chyba nigdy nie widziano w okolicy dwóch bardziej niedobrych spacerowiczów. Popatrzyła na zegarek. Nie miała wystarczająco dużo czasu, aby przeczytać całość, lecz mogła przejrzeć tekst, a skończyć jego lekturę w samolocie. Nalała sobie z kranu wody do szklanki i usiadła przed maszynopisem, po raz pierwszy czując żywą ciekawość tego, co będzie czytała.

Tekst nie miał tytułu. Rozpoczął się opisem okolicy – willa, gospodarstwo, rynek w Ugolino – tak, jak wyglądała w czasie wojny. Był to krótki szkic rodziny Cinich. Matka – surowa, pobożna wład-

czyni, której mąż zmarł wkrótce po narodzinach drugiego syna. Był o wiele starszy od żony, więc jego śmierć, choć nagła, nie była nienaturalna. Dwóch chłopców, Gian Carlo i Giuseppe, bardzo do siebie przywiązanych, choć różniących się we wszystkim. Wysoki, zamyślony i chorowity Gian Carlo – dziedzic rodu – był czytany chłopcem o artystycznych zainteresowaniach, który rysował architekturę i czytał zakurzone, przyniesione ze strychu tomiska, chcąc poznać historię rodziny. Dobrze zbudowany Giuseppe lubił polowania i zajęcia na świeżym powietrzu. Interesował się posiadłością, zwłaszcza winnicami, i już w młodym wieku planował je ulepszyć i powiększyć.

DV opisał to wszystko w dużym streszczeniu. Najwidoczniej znał szczegóły od Antonia, a resztę dopowiedział sobie z obserwacji dokonanych podczas wspólnych spacerów.

Potem czas skoczył naprzód. Zbliżał się koniec wojny, Włosi poddali się aliantom, partyzanci dopadli Mussoliniego i powiesili go na Piazza Loreto w Mediolanie. Bracia Cini początkowo byli gorącymi zwolennikami Mussoliniego, jednak potem, w miarę przedłużania się wojny, Giuseppe zwątpił, stawiając czoło matce i bratu, i dołączył do partyzantki. Na Sycylii wylądowali Amerykanie i zaczęli posuwać się na północ. Armia niemiecka, kiedyś sojusznica, stała się teraz siłą okupacyjną, mszczącą się na Włochach za zdradę. Na wzgórzach całej Toskanii rozgrywały się potyczki. Po jednej z nich niemiecki oddział przejeżdżający w pobliżu willi dowiedział się od informatora, że dowódca lokalnej partyzantki pochodzi z rodziny Cinich. Na ścieżce w pobliżu domu zobaczyli Gian Carla, wzięli go za jego brata i zastrzelili.

– Co za historia – powiedziała do siebie Lucy. Przebiegła strony, docierając do sceny pogrzebu Gian Carla.

Wyszli w pochmurne, zimne i wilgotne popołudnie. Podmuchy wiatru podrywały z ziemi liście, które kręciły się w kółko. Szło ich sześciu, przed trumną Giuseppe, reszta wokół niej. Trumnę zbili w

nocy z desek pochodzących ze skrzyń na broń. Choć był to kiepski materiał, kuzyn Giuseppe, Lorenzo Pica ze Spello, doskonały stolarz, pokazał im, jak wygładzić deski, jak przyciąć krawędzie i jak dopasować je do siebie, by nie przepuszczały wody – zbili trumnę lepszą od wielu innych tej wojny. Kobiety – signora Cini i sąsiadka, Elena Carovita, oraz jej matka – czuwały przy ciele przez całą noc. Umyły Gian Carla i ubrały, potem znów umyły własnymi łzami. Uczesały gęste włosy, obcięły paznokcie, na palec matka wsunęła mu obrączkę ojca, a do ręki włożyła własny złoty krzyżyk. Rano kobiety zeszły na dół i wyścieliły trumnę kocami, a potem sztuką niebieskiego jedwabiu, który Elena przyniosła z własnej skrzyni. Oszczędzała go na wiosnę w nadziei, że wojna się skończy i będzie mogła uszyć sobie nową sukienkę, by móc świętować. Położyły Gian Carla na jedwabiu i zostały trumnę otwartą na stole. Zaparzyły kawę i wszyscy poszli do kuchni, by się napić i zjeść twarde chleb. Mężczyźni wyszli na swoje punkty obserwacyjne, by sprawdzić, czy można będzie bezpiecznie pochować Gian Carla. Wtedy dowiedzieli się, że Amerykanie nacierają na Rzym i że w odwecie za atak partyzantów na Via Rasella Niemcy aresztowali stu pięćdziesięciu mieszkańców miasta, zawieźli ciężarówkami do jaskiń na obrzeżach miasta i zastrzelili.

Z rozpaczą w sercach spotkali się ponownie w willi i usiedli do gorzkiego, ponurego posiłku w kuchni. Kiedy przekazali kobietom wieści z południa, nie było łez, jedynie smutek zamykający każdego w jego własnej ciszy. Jedli w milczeniu, pili wino w milczeniu, a kiedy posiłek się skończył, jedynym dźwiękiem było skrzypienie odsuwanych od stołu krzesel. Poszli do jadalni, gdzie Gian Carlo leżał w biednej trumnie. Zabili wieko, stanęli po bokach, podnieśli trumnę na ramiona i wyszli na długą cyprysową aleję wiodącą do bramy willi.

Wiatr targał ich ubrania i przenikał do skóry, kiedy szli z ciężarem na ramionach i ciężkimi sercami. Przenieśli trumnę nad głębokimi koleinami zostawionymi przez ciężarówki, czołgi i samochody dostawcze, obok porzuconych opon, stosów łusek po pociskach, zepsutego sprzętu łącznościowego, pustych puszek po przydzielach żyw-

nościowych i nie kończących się ścieżek niedopalków. Ramię Giuseppe bolało od ciężaru trumny. Krawędź jej wbiła mu się w mięsień i za każdym krokiem czuł ją głębiej w ciele. Nie przeszkadzał mu ból, nie chciał się zatrzymać. Elena i jego matka szły przodem, trzymając się za ręce. Co jakiś czas Elena podnosiła rękę, by odsunąć z twarzy włosy. Związała je mocno czarną wstążką, lecz złociste kosmyki uciekały na wietrze. Spódnica czarnej sukni przywarła do jej nóg. Dziewczyna pochylała się, by osłonić twarz przed wiatrem. Giuseppe oparł policzek o trumnę i utkwiał wzrok w plecach Eleny. On, Gian Carlo i Elena bawili się razem w dzieciństwie, lecz teraz przestali być już dziećmi. Wojna sprawiła, że zbyt szybko dorośli. Teraz Gian Carla już nie było, choć ledwo przestał być chłopcem, a Elena Carovita – dzika, beztraska dziewczyna, z którą przekrzykiwali się i wspólnie śpiewali w długie, leniwe lata dzieciństwa – stała się pełną goryczy młodą kobietą prowadzącą pogrzeb. Giuseppe od jakiegoś czasu wiedział, że kocha Elenę bardziej niż kogokolwiek – może z wyjątkiem Gian Carla.

Kiedy dotarli do bramy cmentarza, lunął deszcz. „Niebo oplakuje Gian Carla” – pomyślał Giuseppe. Donieśli ciężar pomiędzy grobami do nowego dołu, głębokiego i ciemnego. Mężczyźni zdjęli trumnę z ramion. Giuseppe stał przed matką, lecz ona na niego nie patrzyła. Elena płakała z głową opartą na jej ramieniu i matka głaskała ją po włosach. Kiedy mężczyźni opuścili trumnę, Elena padła na kolana, łapiąc spódnicę jego matki. Obróciła się ku mężczyznom. Była oślepiąca deszczem, łzami i rozpaczą. Z jej ust wydobył się zwierzęcy krzyk bólu. Upadła twarzą na ziemię i nie poruszała się, nawet nie odwróciła głowy. Jego matka uklękła obok niej, głaszcząc ją po plecach i ramionach. Giuseppe poczuł, że coś w nim lodowacieje. Spojrzał na trumnę. Kochała Gian Carla, byli kochankami; teraz to wiedział. Według Eleny zabity został niewłaściwy brat. To on powinien zginąć. Nigdy nie zmieni zdania.

– Smutne – powiedziała Lucy. Było również szatańsko ironiczne.

Zgadzała się z Antoniem, że DV miał melodramatyczny styl, ale to pasowało do tej historii. Przejrzała strony do końca: przybyli Amerykanie, na posterunku policji w Ugolino założyli tymczasową kwaterę. W barze rozdawali puszki i czekoladę. Elena i Giuseppe razem z sąsiadami świętowali na placu.

I to wszystko, nie doszedł dalej. Lucy przejrzała tekst jeszcze raz. Strony były ponumerowane do siedemdziesięciu, potem na dziesięciu stronach brakowało numerów. „Osiemdziesiąt stron” – pomyślała. „Wyjątkowo niewydawnicza objętość”. Pisanie zajęło mu pięć miesięcy – mniej niż strona dziennie. Kiedy po wyjeździe Catherine porzucił powieść o duchu, oddał się całkowicie na pastwę swej wyobraźni. Przypominał człowieka biegnącego w zapamiętaniu przez las, nagle tkniętego ślepotą, co zmusza go do szukania drogi słuchem, ostrożnego wyczuwania przeszkód, zwolnienia kroku. Do tego portretu DV Lucy dodała wyobrażenie wyciągającej się z ciemnego lasu ręki, która go podnosi, otrzepuje z kurzu i prowadzi na otwartą przestrzeń. Stopniowo, z Antoniem jako przewodnikiem, DV zdobywał wiedzę o całkowicie obcym mu dotąd świecie. Wyobrażał sobie siebie w czasie wojny, w umyśle rywala – tak chciał odzyskać Catherine. Pił, doprowadzał Antonia do wściekłości, ale również pracował – powoli, oczywiście, ale pracował. Lucy wstała i postawiła czajnik na kuchni, potem wyjęła torebki z herbatą i filiżankę. Na pewno DV nie był amerykańskim pisarzem usiłującym zdobyć popularność wśród miejscowych, ale może nie czuł się tak zupełnie nieszczęśliwy. Chociaż musiał się czuć osaczony, zwłaszcza po tym, jak Antonio dał mu adres Catherine, a on spróbował pojechać do Rzymu i poniósł porażkę.

„DV zawsze się gubił – pomyślała Lucy – nawet kiedy miał dobrą mapę”. Czasami dzwonił do niej, mówiąc, że nie może trafić do księgarni, w której za pięć minut rozpoczyna spotkanie. „Nie wiem, gdzie jestem” – mówił, a ona pytała: „Czy widzisz gdzieś wokół bank z nazwą miasta, a może drogowskaz?” Potem dzwoniła do księgarni i tłumaczyła, że DV się spóźni, gdyż zablądził, po czym następowała

wymiana kilku żartów o tym, jak to pisarze zawsze błędzą, gdyż wciąż przebywają w świecie fantazji. Woda się zagotowała i Lucy napełniła filiżankę. „Zgubił się” – pomyślała. „Na zawsze zgubił się we Włoszech”.

Zrobi tak, jak prosił Antonio, nie tylko dlatego, że zależało mu na ukryciu tekstu. Miała pewność, że nikt, nawet Stanton Cutler, nie zechce go wydać. Był zbyt krótki i nie dokończony. Nawet gdyby był skończony, czytelnicy DV nie przyjąłby książki o ginących na wojnie Włochach, w której ich ulubiony pisarz w ogóle nie występuje.

Potem Lucy schowała tekst do podręcznej torby, umyła się i przebrała do podróży. Kiedy w południe przyjechali ludzie z firmy przewozowej po rzeczy DV, czekała gotowa. Byli to dwaj przystojni mężczyźni, jeden wysoki, jeden niski, znający tylko kilka słów po angielsku. Lucy zaprowadziła ich do mieszkania DV i wskazała pudła, do których natychmiast się zabrali, owijając je taśmą i numerując tak szybko i sprawnie, że uznała Włochy za kraj kontrastów. Pudła zaczęły znikać w jasnej, nowej furgonetce, stojącej tuż pod drzewem bugenwilli. Wyższy dał Lucy formularz w czterech językach, gdzie wpisała adres i telefon Jean McKay, informację o zawartości pudeł – książki, papiery i rzeczy osobiste – oraz zobowiązanie do zapłacenia kosztów transportu po przybyciu przesyłki do Stanów. Wszystko trwało mniej niż godzinę. Otrzymała jedną z wielu kopii listu przewozowego, nastąpiła krótka wymiana podziękowań i pożegnań, po czym mężczyźni odjechali.

Stała w drzwiach, pobrzękując kluczami, póki nie straciła samochodu z oczu. Potem wróciła do mieszkania. Pozostał jeszcze jeden drobiazg do załatwienia.

Nie spakowała listu z resztą papierów DV z prostego powodu: uważała, że nie należy do niego. Zostawiła go tam, gdzie znalazła, w szufladzie obok łóżka. Wiedziała jednak, że jeśli go nie zabierze, list wpadnie w ręce signory Panatelli, która, jak ją ostrzegł Antonio, natychmiast po jej wyjeździe zacznie przygotowywać miejsce dla następnych gości. „W pewnym sensie – pomyślała Lucy – stary Cini

miałby nauczkę, gdyby dowód jego najnowszego szaleństwa wpadł w ręce byłych dzierżawców”. Oni nie daliby się zbić z tropu podpisowi, jak ona, gdyż bez wątpienia widzieli nie raz podpisy wszystkich trzech pokoleń Cinich mieszkających teraz w willi. Lucy wszakże nie miała ochoty wystawiać swych gospodarzy na takie ryzyko. Mimo że było niemal nieprawdopodobne, by dowiedział się o tym Antonio, to jednak gdyby tak się stało, czułby się głęboko zraniony. Lucy znalazła się w niezręcznej sytuacji: chciała uchronić go przed upokorzeniem, którego może by nawet nie poczuł. „A jednak poczułby” – pomyślała. „Jest wrażliwy na punkcie rodziny. Związek jego ojca z Catherine ranił jego wybujałą miłość własną i groził w każdej chwili wybuchem skandalu”.

„Nie” – uznała. „To nie powinno obchodzić ani rodziny Panatella, ani nikogo innego”. Wybór był jasny: list należy odesłać Catherine, oddać autorowi lub zniszczyć. Kiedy wsuwała klucz do zamka w drzwiach pod drzewkiem bugenwilli, pomyślała o jeszcze innej możliwości: przesłać list Antoniemu i jemu zostawić decyzję.

Poprzedniego dnia, przy pożegnaniu, wymienili się adresami. On zapisał go w jej notesie starannym, drobnym pismem, zupełnie różnym od charakteru pisma ojca.

– Jak myślisz, uda ci się kiedykolwiek przyjechać do Stanów? – zapytała Lucy, wydzierając pustą kartkę z książeczki czekowej, by dać mu swój adres.

– To mało prawdopodobne – odparł. – Ja zawsze jestem tutaj. – Rozłożył ręce, obejmując tym ruchem wzgórze, drzewa i kopułę nieba. Kąciki jego ust podniosły się lekko w grymasie, który kiedyś Lucy uznałaby za cyniczny, a teraz odczytała jako autoironiczny; rodzaj skromności. W najdziwniejszy sposób, jaki mogłaby sobie wyobrazić, był to człowiek skromny.

– Ale jeśli ty przyjedziesz do Włoch – powiedział – nie zapomnisz mnie odwiedzić, mam nadzieję. I nie zamieszkaż w tym... – Spojrzał z pogardą na budynek. – Mój dom ma wiele pokoi. Jeśli będziesz chciała, zawiozę cię do fresków Piera w Arezzo i Madonny

del Parto. To trzeba zobaczyć.

– Chciałabym – odparła. – Bardzo bym chciała.

„Jeśli przeżyję podróż samochodem” – pomyślała teraz, otwierając drzwi. Może uda się jej przekonać go, by pozwolił jej poprowadzić. Drżąc mimowolnie, przeszła przez zimny pokój w kierunku schodów. To mieszkanie zawsze było chłodniejsze niż drugie. Kiedy mieszkała tu z Massimem, przyniósł on wszystkie koce i położył je na wielkim łóżku na górze – jedynym w domu, na którym wygodnie mogło się pomieścić dwoje ludzi.

Spojrzała w górę szerokich schodów, przypominając sobie, z jakim trudem się na nie wspinała, jak opierała się na jego ramieniu, odpoczywając na każdym stopniu, jak podniecała ją myśl o spędzeniu z nim całej długiej nocy. Teraz pobiegła pod górę, odpędzając wspomnienia, które wydawały się pochodzić z przeszłości o wiele głębszej niż w rzeczywistości. Na półpiętrze zatrzymała się i spojrzała w głąb gabinetu DV, uderzona jeszcze wyraźniejszym wspomnieniem zamykania drzwi i schodzenia za odważnymi ludźmi wynoszącymi jego rzeczy. Nie miała żadnego szczególnego powodu, by je zamykać, ale wiedziała, że to zrobiła. Czuła zamykający się zamek, kiedy przekręcała ciężką szklaną klamkę. Teraz jednak drzwi stały otwarte na oścież.

– Ten dom ma własną duszę – powiedziała. Weszła do pokoju i rozejrzała się. Okiennice były zamknięte, a światło przyćmione, ale widziała, że panuje taki sam porządek, jaki zostawiła: łóżko schludnie pościelone, stół uprzątnięty, krzesło przysunięte do niego. Przytknęła drzwi i odeszła kilka kroków, by sprawdzić, czy same się otworzą, na przykład z powodu niewidocznej nierówności podłogi. Zostały jednak dokładnie w tym samym miejscu.

– Tracę głowę – odezwała się, odwracając. Chyba się pomyliła. Poszła do sypialni, otworzyła szufladę w nocnej szafce i wyjęła list. Odgłos drewna trącego o drewno przy otwieraniu szuflady i szelest papieru, kiedy wyjmowała list, zabrzmiały dziwnie głośno w ciężkiej ciszy panującej w domu. Czuła ją wiszącą nad sobą jak ciężkie,

pierzaste, tłumiące wszelkie odgłosy stworzenie, sadowiące się na gładkich, twardych skorupkach własnej przyszłości. Mimo że nie musiała otwierać listu i początkowo wcale nie miała takiego zamiaru, poczuła chęć przzerwania martwej ciszy, a szelest papieru nadawał się do tego równie dobrze jak każdy inny dźwięk.

Jeszcze raz przeczytała długi początek: „*Carissima, amatissima*”, jednak tym razem wyobraziła sobie nie zmęczoną światem, wyblakłą twarz młodszego Cini, tylko przenikliwe oczy i orle rysy jego ojca. Starszy mężczyzna zalecał się do Catherine z całą namiętą bezpośredniością starego, już nie istniejącego świata, w którym dorastał. Był to jedyny znany mu sposób. Catherine jednak dbała o niego tak mało, że nawet nie pofatygowała się, by przechować jego dowody. A może specjalnie zostawiła tu list, żeby rozwścieczyć DV, zmuszonego posiedzieć nad słownikiem, by dojść do tego, co rozgrywało się pod jego nosem. Lucy wyobraziła sobie scenę rozpaczy swego nieżyjącego pracodawcy. Równie tajemniczo, jak weszła w jego życie – gdyż pojawienie się kogoś, kto może całkowicie zniszczyć szczęście, jest zawsze sprawą niespodziewaną, o posmaku intrygi – Catherine z niego zniknęła, a DV został sam w obcym kraju, bez kogokolwiek, kto mógłby złagodzić jej surowy osąd jego sztuki. DV nie był szczególnie lotnym człowiekiem, a jego kreatywność równała się kreatywności kamienia. Catherine, jak wierzył, miała być tą, której potrzebował, miała mu otworzyć drzwi do świętego królestwa sztuki, gdzie natchnienie i mądrość płyną wiecznie dwoma bliźniaczymi strumieniami, biorąc początek w tym samym mitycznym źródle. Zamiast tego rzuciła go, trzasnęła mu drzwiami przed nosem i poradziła, by zajął się ogrodnictwem.

Ostatnia myśl wywołała uśmiech na twarzy Lucy. Przypominało to wygnanie, które, jak sobie wyobraziła, przedstawiały również obrazy Catherine – wygnany z raju DV został skazany na Toskanię.

Ciszę panującą w pokoju przerwał chrapliwy krzyk gawrona za oknem i kolejny, dalszy.

„Wszyscy chcieli po prostu się go pozbyć” – pomyślała Lucy.

Catherine, stary mężczyzna, Antonio, Panatella – jednak on nie chciał wyjechać. A po śmierci wszyscy chcieli go zapomnieć, pogrzebać, rozproszyc to, co po nim zostało, zamknąć książki. Przypomniała sobie noc, kiedy miała gorączkę i DV odwiedził ją. Wściekły, potrząsał nią tak gwałtownie, że miała wrażenie, iż za chwilę złamie jej kark. Rywał ukradł mu miłość, Antonio – rękopis. DV zginął w zamroczeniu, pijany, anonimowy, włócząc się samotnie w ciemności. Nic dziwnego, że był wściekły.

Poczuła ukłucie smutku i poczucia winy. Chciała odwiedzić jego grób, by sprawdzić, jak położono nagrobek, i posadzić roślinę, która będzie rosła bez opieki, lecz tak się zajęła swoim niemądrym romansem, że nie zrobiła tego, a teraz było za późno.

– Zrobię to, gdy tu wrócę – powiedziała, choć nie miała pojęcia, kiedy to nastąpi. Złożyła list i wsunęła go z powrotem do koperty. Później go zniszczy; narobił już wystarczająco dużo szkody. Wyciągnęła rękę, by zamknąć szufladę, lecz zatrzymała się w połowie ruchu, gdyż jednocześnie obróciła się w stronę wejścia i uchwyciła spojrzeniem coś, od czego zamarła, znieruchomiła jak zamieniona w słupek soli. Drzwi do gabinetu DV stały otwarte.

Oczy omal nie wyskoczyły jej z orbit. Przypomniała sobie niejasno, że od jakiegoś czasu dobiegał ją ledwie słyszalny dźwięk. Przypomniała go sobie z trudnością poprzez oszalałe bicie własnego serca – ciągły, skrzypiący odgłos, jakby paznokci drapiących o drewno. Stała chwilę bez ruchu, zanim zdołała zamrużyć. Niemożliwe, by ktoś był w pokoju, z którego właśnie wyszła; jedyne wejście do niego prowadziło z podestu. Ten dźwięk słyszała już wcześniej – zapewne wydawały go myszy lub korniki między ścianami. Otwarte drzwi były najwidoczniej... cóż, najwidoczniej były to jedne z tych drzwi. Ostatnie wytłumaczenie bardziej ją zakłopotало, niż pocieszyło. Nie mogła przypomnieć sobie, by kiedykolwiek wcześniej widziała takie drzwi. Jednak to rozgrzające rozumowanie wystarczyło, by serce przestało walić, a zaczęło bić mniej więcej równo, jak odległy młot. Mogła również unieść dłoń do góry i wytrzeć

wilgoć, jaka pokryła jej czoło i górną wargę. Oprócz drapiącego odgłosu, który teraz dobiegał nieregularnie, wokół panowała kompletna cisza. Lucy zrobiła jeden, potem drugi krok w kierunku wyjścia, skradając się z przesadną ostrożnością, jakby chciała zaskoczyć intruza, chociaż w rzeczywistości, jak to sobie uświadomiła, poruszała się bardzo szybko. W ten sposób przeszła przez korytarz. „Gdyby tylko okiennice nie były zamknięte” – pomyślała. Całe drżenie i ostrożność nie miałyby sensu w świetle wlewającego się do pokoju słonecznego blasku. Weszłyby do środka, rozejrzała się odważnie dookoła i wyszła.

Na progu zatrzymała się i tęsknie spojrzała na klatkę schodową. Czy rzeczywiście musi zgłębiać niepokojącą tajemnicę otwierających się drzwi? Miała list, tylko po niego tu przyszła. Mogła po prostu zejść na dół, zamknąć drzwi i odejść. Na pewno nie będzie miała powodu, by tu wracać. Kiedy to wszystko przebiegło jej przez myśl, znów usłyszała drapanie, które wcześniej ucichło, jak myślała, na dobre. Potem uświadomiła sobie coś jeszcze – drobny szczegół, lecz tak jasny i łatwo dostrzegalny, że jej serce znów podskoczyło, a uszy jakby urosły dziesięciokrotnie – delikatny szelest kartki papieru ześlizgującej się ze stołu na podłogę. Teraz stała na tyle blisko, by wychylając się, zajrzeć do pokoju. Jeśli to zrobi, nie dojrzy jedynie łóżka. „Tylko zajrzyj” – powiedziała sobie. „Spojrzyj szybko i odejdz”. Nastąpił kolejny moment ciszy, bez drapiącego dźwięku i bez odgłosu oddechu. Potem Lucy położyła dłoń na krawędzi drzwi, wyciągnęła szyję i zajrzała do pokoju.

Przy stole, tyłem do drzwi, siedział mężczyzna schylony nad kartką papieru. W jednej ręce, uniesionej nad kartką, trzymał długopis, a na dłoni drugiej opierał policzek. Mimo że widok ten powinien wywołać u Lucy przerażenie – wystarczył fakt, że było to coś absolutnie niemożliwego – w samym mężczyźnie nie wyczuła nic groźnego ani niebezpiecznego. Wydawał się nie zauważać jej obecności, a jeśli nawet – nie interesował się nią. Lucy patrzyła, czując w głowie zamęt, nie wiedząc, co jest rzeczywistością i gdzie się znalazła,

mężczyzna zaś opuścił rękę z długopisem, napisał kilka słów i znów ją podniósł. Rozprostował palce dłoni, na której wspierał głowę, i przetarł oczy, potem poprawił się w krzesło, opierając policzek o zagięcie dłoni. Lucy nie poruszyła się nawet o milimetr. Ledwie ośmieliła się odetchnąć od czasu, kiedy go zobaczyła. Nieznajomy obserwował kartkę, a Lucy jego – oboje nieporuszeni i zajęci bez reszty. Mężczyzna przypominał jej kogoś, choć w półmroku pokoju trudno było dojrzeć szczegóły. W jego postaci półmrok wydawał się wręcz pogłębiać, jakby pochłaniał on te niewiele światła, jakie jeszcze zostało – otaczał go ciemny kontur. Jak mógł dojrzeć cokolwiek z tego, co pisał? Najwyraźniej jednak mógł, gdyż znów opuścił dłoń z długopisem, tym razem wykonując kilka szybkich ruchów – kreśląc to, co właśnie napisał. Rzucił długopis i ukrył twarz w dłoniach. Jego ramiona drżały; czyżby płakał?

Lucy rozluźniła uścisk na futrynie drzwi, jednak kolana miała zbyt miękkie, a umysł zbyt oszołomiony, by wykonać ruch lub wydobyć z siebie słowo. Stała tak w pełnej napięcia, niewygodnej pozycji, obserwując niewiarygodną scenę. Długopis potoczył się w kierunku krawędzi stołu, domagając się uwagi właściciela, który podniósł głowę i spojrzał na niego. Zatrzymał długopis, wziął go do ręki i w tej chwili coś zwróciło jego uwagę. Lekko odwrócił głowę. Lucy dojrzała jego profil. Przy jego stopie leżała kartka papieru. Wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby niepewny, co z nią zrobić. Potem powoli, ze strasliwym, zupełnie nieproporcjonalnym do zamierzonego celu wysiłkiem odsunął krzesło i przez ciemność wyciągnął w dół rękę, by podnieść kartkę. Lucy wstrzymała oddech. Otworzyła usta i już ich nie zamknęła, w gardle uwiązał jej okrzyk, a serce omal nie wyskoczyło z piersi. Kiedy mężczyzna pochylił się nad podłogą, odwrócił się w kierunku drzwi, a wtedy Lucy dojrzała jego twarz. Był to DV.

W głowie się jej zakręciło, świat dookoła zaczął wirować. Zaraz zemdleje i wpadnie do pokoju. On znieruchomiał z jedną ręką wyciągniętą po papier, z twarzą zwróconą ku niej przez ramię, wpatrzoną w nią, gdyż też ją dostrzegł, nie miała wątpliwości. Jego twarz zmie-

niła się niemal nie do poznania. Szara, pomarszczona skóra naciągnięta na kości, usta przypominające raczej czarną szczelinę, czerwone, zapadnięte oczy, szeroko otwarte w niemym przerażeniu, jakby zobaczył swoje odbicie. Te oczy przebiegły dzielącą ich przestrzeń i wbiły się w Lucy z taką siłą, że przygwoździły ją do miejsca, w którym stała. Jakie niewyobrażalne cierpienia musiał przejść, jak wielki ból? Patrzył na nią przez kilka minut z tak wyraźnym i niemym błaganiem na twarzy, że jej strach zniknął. Zrozumiała, że nie mógł skrzywdzić nikogo, nie był zdolny do niczego oprócz cierpienia. Kiedy to zrozumiała, uwolnił ją. Wydając z siebie westchnienie tak głębokie, jakby pochodziło z głębi ziemi, odwrócił się ku swojej kartce papieru, podnosząc ją w końcu. Potem wziął do ręki długopis, pochylił się nad stołem i podjął wieczny trud pisania.

– O Boże – powiedziała Lucy. Oparła się o ścianę, zsunęła na podłogę i usiadła z wyciągniętymi nogami, nie mogąc i nie chcąc się poruszyć. Zamknęła oczy. To niemożliwe – to wszystko, co wiedziała. DV nie żył. Nie siedział wciąż w tym przeklętym domu, usiłując napisać przyzwoite zdanie. Ludzie miewają halucynacje – może i jej się to zdarzyło? Otworzyła oczy. Wciąż trzymała list; ścisnęła go tak mocno, że był pognieciony i wilgotny.

– Spalę go – odezwała się – przy pierwszej okazji.

Przycisnęła dłoń do piersi. Jej serce wciąż biło, w zwyczajny sposób pompując krew. Przeczougała się do schodów. Nie zaglądała już do pokoju, nie musiała. Wiedziała, że zniknął, czuła to w powietrzu, wyraźnie cieplejszym i jaśniejszym. Widziała smugę światła na podłodze u stóp schodów, wlewającą się przez okno przy drzwiach. „Zejdź tam” – powiedziała sobie. Jak dziecko zmusiła się do pierwszych kilku kroków w dół. Potem wsunęła list za pasek od spodni, obiema rękami chwyciła się poręczy i podniosła, po czym zeszła do salonu. Serce biło jej już nieco wolniej, jednak myśli przebiegały przez głowę jak szalone, zderzając się i goniąc jedna drugą, uderzając o ścianę rozsądku i przytomności. Teraz cieszyła się z tego, że tyle lat poświęciła jej stawianiu.

– Nie oszalałam – powiedziała głośno. Przeszła przez salon i gwałtownie otworzyła drzwi na świeże, jasne światło dnia. To coś przerażającego, cokolwiek to było, zostało za nią; zniknęło, a ona nie powie o tym nigdy i nikomu. Oddychała powoli, licząc, potem przez chwilę skupiła się na uspokajającej urodzie kwiatów bugenwilli, wciąż kwitnącej mimo późnej pory. Z daleka usłyszała dźwięk samochodu, zbliżającego się szybko drogą do wzgórza. Podniosła głowę i nasłuchiwała uważnie. Tak, skręcił pod górę. To kierowca, który mają zabrać na lotnisko, a stamtąd już poleci do domu. Na tę myśl poczuła przepelniającą ją radość. Z powrotem na Brooklynie! – wyszła na podjazd, dostrzegła jadący ku niej samochód. Przyglądając mu się, poczuła triumf. DV zostanie tu na zawsze, ale ona nie musi.

– *Andiamo* – powiedziała, śpiesząc na powitanie gościa.

PODZIĘKOWANIA

Rzym, Wieczne Miasto, zapewne zawdzięcza swój przydomek nie kończącym się pracom renowacyjnym, od stuleci zajmującym jego zapobiegliwych mieszkańców. Od czasu wizyty Lucy Stark ruszowanie, które przez wiele lat skrywało galerię Borghese przed wzrokiem przechodniów, zdjęto, odsłaniając imponującą, niemal oślepiającą białą fasadę o zachwycających proporcjach. Teraz zwiedzający wchodzi do środka wielkimi schodami, a tam zastaje nowoczesne łazienki, sklep z pamiątkami i długie, długie kolejki miłośników sztuki czekających na wstęp.

Chciałabym podziękować Stefanowi i Annie Rizzo, Robertowi Chiappiniemu, Mavi Cini, Alice Falconi i Walterowi Falconiemu za ich gościnność oraz cierpliwość dla moich pytań o wszystko, co dotyczy Włoch – od prawa o nieruchomościach po kanalizację.

Dziękuję również mojej agentce, Nikki Smith, za to, że niestrudzenie broni moich interesów; wydawcy, Robin Desser, za jej energię i entuzjizm; Johnowi Cullenowi za kilkakrotne przeczytanie i przenikliwą, wyrozumiałą korektę rękopisu; a córce, Adrienne, jak zawsze – za inspirację.